

**KSIĘGA  
ZDZIWIENÍ**

**ISKRY · WARSZAWA · 1972**

Kazimierz  
Dziewanowski

**KSIĘGA  
ZDZIWIENÍ**

Obwolutę i okładkę projektował:  
WOJCIECH FREUDENREICH

Zdjęcia w książce:  
JAN KOSIDOWSKI, HALINA KRZYWDZIANKA,  
ZBIGNIEW STOLAREK, ZBIGNIEW STASZYSZYN,  
CAF, archiwalne

Zdjęcie na obwolutcie:  
KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

Redaktor: MARIA FUKSIEWICZ  
Redaktor techniczny: JOZEF GRABOWSKI  
Korektor: AGATA BOŁDOK

PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry” — Warszawa 1972 r.  
Wydanie I.  
Nakład 15 000 + 275 egz.  
Ark. wyd. 12.  
Ark. druk. 17 + 2 ark. druk. wkładek.  
Papier druk. mat. kl. IV, 65 g, 82 × 104.  
Druk ukończono w grudniu 1972 r.  
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie  
ul. Miedziąna 11.  
Zam. nr 1402/12. A-87. Cena zł 22.—

*Jeżeli słyszałeś głos Wschodu,  
nie będziesz już nigdy słuchał  
innego.*

(Kipling: „Mandalay”)



## Dlaczego nie wstydzę się zdziwienia

Jeżeli ktoś powiada, że go już nic nie dziwi — nie wierzę. A jeśli przekona mnie, że tak jest naprawdę — współczuję mu. Czy w siedemdziesiątych latach dwudziestego wieku można się oprzeć zdziwieniu? Ten pędzący tak szybko świat, w którym starcza czasem dziesięciu lat, by zmienić oblicze całych krajów, a nawet kontynentów, gdzie obok szczytów racjonalnego myślenia jest w tym samym czasie tak wiele rzeczy absurdalnych, ciemnych, wywodzących się prosto z epok pradawnych — czy ten świat może nie budzić zdumienia?

Nie ufam ludziom, których nic nie dziwi. Utracili ciekawość świata, ten wspaniały instynkt, który popychał żagle karawel Kolumba, rozjaśniał mikroskop Pasteura, wyostrzał obraz w lunecie Galileusza. Człowiek, który dziwił się, że biją pioruny i myślał o tym, skąd bierze się ogień — rozpałił w końcu pierwsze ognisko. Człowiek, który nie pozwalał sobie na zdziwienie, a jego uczucia wobec potęgi żywiołów nie przekraczały granic strachu, ten człowiek był skazany na życie w ciemnościach.

Nie trzeba więc dziwić się zdziwieniu, nie trzeba się go wstydzić, a zwłaszcza nie powinien wstydzić się reporter. Reporterem można być tylko tak długo, dopóki człowiek nie zatracił skłonności do zdumiewania się tym, co niezwykle, cudowania tym, co inne, dziwowania tym,

co nieoczekiwane. Reportaż tym się różni od pracy naukowej, że może być spontaniczny, nie musi ukrywać uczuć, a jednym z uczuć bardziej pobudzających do myślenia, jak ziarnko piasku pobudza perłopława do wytwarzania perlistej wydzieliny — jest właśnie zdziwienie.

Oto, dlaczego nazwałem tę książkę „Księgą zdziwień”. Mowa w niej będzie o wschodniej Azji, która jest z pewnością jednym z najciekawszych dziś — i najbardziej niezwykłych rejonów świata.

Czym jest dla nas Azja, dla nas, z naszą historią, naszą kulturą, z naszą literaturą, która wchodzi nam w krew od najwcześniejszego dzieciństwa z naszymi romańskimi, gotyckimi i barokowymi kamienicami, z hejnałem mariackim przerwany przez strzałę mongolskiego najeźdźcy, z tatarskim lajkonikiem tańczącym ku uciesze gawiedzi, z sędziwymi przepowiedniami o „żółtym niebezpieczeństwie”, z wszeptanym nam w ucho przez niańki lękiem przed skośnymi oczami, z niechęcią do żółtych twarzy skrywających rzekomo za swym pozornym bezruchem nieprzeniknione i groźne zamysły. Czym jest dla nas Azja? Fascynacją i przekleństwem, tęsknotą za drogimi kamieniami, za wonnym kadzidłem i wyrafinowanym smakiem niezwykłych przypraw, a zarazem słowem obraźliwym, czymś, co nas straszy. „Azjatyckość” to czasem synonim przepychu i niezwykłych rozkoszy, czasem zaś znaczy po prostu „dzickość”. W tym podwójnym brzmieniu słowa „azjatycki” wyraża się legat naszych dziejów, huczy echo bitew pod Legnicą i Chocimiem, Cecorą i Beresteczkiem, a także słyszalny w biciu dzwonów europejskich pogłos peregrynacji Marco Polo, Vasco da Gamy, Bougainville’a. Kiedy Sienkiewicz chciał nakreślić obraz dzikiego człowieka, wroga naszej kultury i naszych obyczajów, nazwał go Azją Tuhajbejowiczem.

Tak nas wychowywano, a kropkę nad „i” położył Rudyard Kipling: „Wschód jest wschodem, a zachód zachodem i nigdy się one nie zetkną”.

A przecież człowiek rozumny nie powinien ulegać zastarzałym, zakutym w tradycję, wczepionym w podświadomość odruchom. Nie powinien myśleć skojarzeniami zaczerpniętymi z czytanek o najazdach tatarskich przed wiekami ani wierzyć mitom opowiadanym przez babcię. Powinien oceniać świat na podstawie faktów, a nie uprzedzeń, powinien mieć oczy otwarte.

W ciągu półtora roku byłem czterokrotnie na Dalekim Wschodzie. Otworzył się przede mną olbrzymi świat. Słyszałem o nim przedtem i czytałem, ale póki go sam nie zobaczyłem, byłem jak uczeń, co recytuje lekcję o dalekim dorzeczu Amazonki, a palmy widział tylko w doniczkach. Świat półtora miliarda ludzi o innych twarzach, o różnych od naszych obyczajach, innej filozofii i historii.

Odsłoniły się przede mną czarno-białe pałace i świątynie Japonii obramowane ciemnymi sosnami o delikatnym rysunku gałęzi. Ujrzałem też drobne, pąsowe kwiatki na szarym tle rozoranego przez bomby muru świątyni buddyjskiej w Wietnamie, stojącej wśród niewiarygodnie zielonych ryżowisk, na których połyskuje woda. Tam, gdzie woda tworzy regularne smugi — wojny nie widać, ale tam, gdzie srebrzą się wielkie rozlewiska, oznacza to, że na tym polu padły bomby i nikt dotąd nie zdołał załatać wybitych przez nie wyrw. I widziałem też prawdziwie biblijną klęskę, straszliwą odyseję milionów uchodźców pakistańskich umierających na cholere wśród rozszalałej roślinności Bengalu zachodniego.

Zagłębiałem się w nieskończone, jakby zaondulowane stepy Mongolii, trawę i łagodne wzgórza, na których pojedyncze, osamotnione jurty widoczne są z odległości

dwudziestu kilometrów. Pograżałem się w tłoku i krętaninie uliczek pekińskich, którymi od świtu do nocy płynę granatowy tłum ludzi w takich samych waciakach, lecz o różnych obliczach.

To prawda, że czasem trudno zrozumieć tych ludzi. Ot, choćby uśmiech azjatyckich twarzy o skośnych oczach i wystających kościach policzkowych. Bywa nieraz, że uśmiech ten pojawia się w chwilach zupełnie, według naszych zwyczajów, nieodpowiednich. Wybuchy śmiechu w groźnych albo smutnych sytuacjach, chichot w obliczu pytań o zasadniczym znaczeniu, uśmiech na widok naszego zdenerwowania. Jakże łatwo wtedy o nieporozumienie, jeśli kto nie wie, co to znaczy! I trzeba dopiero zapytać ludzi, którzy spędzili w Azji wiele lat, aby się dowiedzieć, że ten uśmiech oznacza co innego niż u nas. Bywa często wyrazem zakłopotania, nieśmiałości, zażenowania. Nieraz ukazuje się wtedy, gdy rozmówca nie wie, co odpowiedzieć, gdy jest bezradny, gdy nie udało mu się czegoś osiągnąć.

Ludzie Azji. Pamiętam wietnamskiego oficera, który z kamienną, nie wyrażającą uczuć twarzą opowiadał, że piętnaście lat temu zostawił w Sajgonie całą swoją rodzinę. Opowiadał o tym w taki sposób, jakby to był fakt bez znaczenia. Dopiero po namyśle, wnioskując z tego, iż jednak przecież opowiadał, można było przekonać się, że obojętność jest tylko pozorem. Ten człowiek nie wzruszał się mówiąc o swoim losie. Wzruszył się dopiero wtedy i odprężył, gdy zobaczył, że pragnę, by odczuł moją sympatię. On po prostu opancerzył się przeciw rzeczywistości i poruszył go dopiero błysk zrozumienia w oczach człowieka z dalekich stron. Działo się to w kraju, gdzie młodzież uczy następujących przykazań: „jeśli spotkasz dziewczynę — nie zakochaj się; jeśli się zakochasz — nie żęń się; jeśli się ożenisz — nie miej dzieci”. Ta triada jest skutkiem konieczności wojennych,

ale głoszenie jej opierać się musi na głębokiej wierze w dyscyplinę społeczną.

Pamiętam wietnamskiego chłopca, który siedział przed progiem swej chaty, gdy nad głowami przelatywały amerykańskie odrzutowce. Niedaleko strzelała do nich artyleria przeciwlotnicza, a huk motorów i łoskot wystrzałów odbijały się o okoliczne szczyty i przelewały w wąwozach tworząc groźną symfonię wojny. Ale on nie uniósł głowy, nie zmienił pozycji. Zastanawiałem się wtedy, czy to po prostu było przyzwyczajenie, czy też fatalistyczne przekonanie, że w tej sprawie nic od niego nie zależy. Ale pamiętam też chłopca japońskiego, który pokazywał mi swoje gospodarstwo i żalił się, że syn nie chce pozostać na ziemi, wyrывa się do wielkiego miasta. Żeby go zatrzymać, ojciec kupił sportowy samochód, jakiego we wsi nikt jeszcze nie ma.

Kiedy jechałem terenowym „Gazikiem” przez mongolski step, napotkałem jurte, w której mieszkał z matką młody inżynier. Pracował w położonej opodal stacji maszynowej obsługującej somon, czyli spółdzielnię produkcyjną. W jurcie było radio na baterię, leżało też sporo książek, głównie technicznych, po rosyjsku. Inżynier skończył studia w Moskwie i wiedział dużo o świecie. Natomiast matka była żywcem przeniesiona ze starej Mongolii. Chcąc nas godnie przywitać, wyjęła spod łóżka kawał suszonego mięsa, położyła na ziemi, zaczęła krajać nożem na drobne kawałki, by potem ugotować je w garnku, w którym przedtem moczyła się brudna bielizna.

O parę tysięcy kilometrów dalej na wschód, w Japonii, zwiedzałem wielki kombinat przemysłowy, którego załoga składała się w połowie z ludzi z maturami. W jednej z hal fabrycznych zajrzałem do toalety: unosił się tam zapach wody kolońskiej, a podobnej czystości nie spotyka się w najlepszych naszych hotelach.

Widziałem też, jak ubrani w białe fartuchy kucharze którejs z pekińskich restauracji kopali schron przeciwlotniczy wynosząc koszykami ziemię i sypiąc ją na chodniki. Ulica zawałona była gliną do wysokości pierwszego piętra. I widziałem żołnierzy Chińskiej Armii Ludowej pomagających czyścicielom kloak w wywożeniu nieczystości. Nie poczytując tego za ujmę dla munduru, żołnierze ciągnęli beczki na kołach, a po ulicach niósł się dławiący fetor.

Widziałem to wszystko i widziałem jeszcze wiele innych rzeczy. Oglądałem w Pekinie rozbite przez hunwejbínów stele marmurowe z imionami dawnych cesarzy i tekstami dawnych filozofów, zaś w Hanoi pokazywano mi inne stele i pomniki z dawnych czasów królewskich osłonięte ceglanyymi murami, by im zapewnić ochronę przed rakietami z samolotów amerykańskich. Każdy dzień, każdy tydzień, każdy kilometr moich podróży odślaniał mi coś nowego, ukazywał mi nowy kawałek tej nieogarnionej zawilóści, tego gigantycznego quizu, tej miliardowej szarady. Pojąłem w końcu, że wschodnia Azja jest nieskończoną różnorodnością, zadziwiająco do tego stopnia, jak chyba żaden kontynent na świecie.

Azja, jej daleki, wschodni kraniec. Z dala wygląda to jak jednolity, żółty obszar, którego ani przeniknąć, ani zrozumieć. A przecież dzieli się on na tyle różnych światów! Nigdzie nie sąsiadują ze sobą szczyty przemysłu elektronicznego i najgłębsze zacofanie, technika z wieku dwudziestego pierwszego i narzędzia z wieku trzynastego, najwyższy, sięgający szczytów sublimacji i poświęcenia patriotyzm — jak w Wietnamie — i drapieżna, chciwa, kupiecka prywata — jak na Filipinach, w Hongkongu, czy Singapurze.

Smakowanie kontrastów należy do starych i prymitywnych chwytów reporterskich. Ale bo też zwykle po-

lega ono na opisywaniu przeciwieństw widocznych na ulicy, w sklepach, w domach, na spostrzeganiu wykwintnych samochodów przesuających się obok starych kieratów do pompowania wody na ryżowiskach, na porównywaniu willi milionerów z lepiankami nędzarzy. Ale bywają przecież i inne kontrasty.

Wschodnia Azja. Są tam skomputeryzowane wyspy japońskie, gdzie ścina się wierzolki gór, zasypuje zatoki morskie, a na uzyskanym w ten sposób terenie buduje w ciągu czterech lat huty produkujące dziesięć milionów ton stali rocznie. Japonia autostrad przerzucanych ponad miastami na wysokości ósmego piętra, Japonia kolorowej telewizji, wideokaset — i zatrutych, zielono-fioletowych, umarłych rzek. Japonia, w której zakłady przemysłowe zbudowane przed dziesięciu laty uważane są za bardzo stare i gdzie egzystują również tysiące maleńkich warsztatików obsługiwanych przez rodzinę właściciela. A obok są Chiny, których władze głoszą, że każda wieś, każda komuna winna być samowystarczalna: sama produkować najpotrzebniejsze narzędzia, budować tamy i kanały, wznosić małe elektrownie, produkować buty, odzienie, a nawet opracowywać podręczniki szkolne. Ale w tychże Chinach, gdzie głównym środkiem lokomocji jest rower, a głównymi narzędziami motyka i wiklinowy koszyk — buduje się rakiety i wystrzeliwuje sputniki. Są w Chinach rejony, gdzie na każdym kilometrze mieszka kilka tysięcy osób, a są również ogromne, puste obszary.

Tego rodzaju przeciwieństw i paradoksów jest we wschodniej Azji nieskończona mnogość. Niedaleko chińskich centrów atomowych leży Mongolia, która buduje socjalizm, a opiera się nadal na gospodarce pastersko-koczowniczej. Profesorowie ułan-batorskiego uniwersytetu, ludzie o ustalonej za granicą reputacji naukowej, spędzają lato koczując w jurtach w ślad za wędrującymi

po stepie stadami. Na południe od Chin leży Wietnam. Na północy kraj o surowych obyczajach przywodzących na myśl starożytną Spartę; na południe porównywalny raczej do starożytnego Koryntu.

Oto rejon, w którym powstała banduńska idea pokojowej współpracy między państwami, a gdzie od lat toczy się najbardziej brutalna i bezlitosna wojna. A jakaż tam różnorodność polityczna! Są w tym rejonie takie dyktatury, jak na Tajwanie, ale jest też parlamentarna demokracja indyjska. Są w tej strefie świata wszystkie odcienie socjalizmu i wszelkie odmiany kapitalistyczne. Są rządy wojskowe i rozmaite gatunki rządów prezydenckich. Żyją obok siebie najważniejsze religie świata i nie brak również wierzeń pogańskich. Japońscy mistrzowie obwodów scalonych i programowania liniowego są poganami, natomiast wśród wietnamskich ryżowisk, w kraju uporczywie ogłaszanych przez Amerykanów za barbarzyński — pełno katolickich kościołów.

Są tam łowcy głów — Dajakowie i są tacy filozofowie, jak Radhakrisznan. Są malezyjscy piraci i ci, co wzorem Ghandiego wyrzekli się przemocy. Są ci, co żyją z dostaw dla armii amerykańskiej lub służą jej jako najemnicy — i ci, co od wielu lat skutecznie z nią walczą. Wyruszyły z tego rejonu w świat takie idee, jak buddyzm, jak ghandyzm, jak maoizm. Zaiste, gdy patrzy się ze wschodniej Azji na zachód, odczuwa się chwilami pokusę, by myśląc o Europie przyjąć tezę Mao Tse tunga: „Ten półwysep nie ma większego znaczenia”...

Wszystko można powiedzieć o Azji, tylko nie to, że jest jednolita.

Płyną z tego kontynentu znoju i łez, głodu i chorób, bohaterstwa i zdrady, myśli, które odzywają się echem w najdalszych zakątkach kuli ziemskiej. Kipling napisał: „Azja nie zostanie ucywilizowana podług wzorów Zachodu. Jest jej na to zbyt wiele i jest też na to za sta-

ra". Azjatycka różnorodność i to azjatyckie poszukiwanie nowych dróg wskazują, że miał rację, chociaż — Bogiem a prawdą — nie wiemy dokładnie, co chciał rzeczywiście powiedzieć. Może myślał, że Azja nigdy nie będzie cywilizowana? Przyglądając się Azji w początku lat siedemdziesiątych, trzeba sformułować inny wniosek: Azja na pewno stworzy — i już to czyni — nową cywilizację, która będzie różna od zachodniej. A jaka będzie? Któż to może wiedzieć? Co powstanie z popiołu zalewanych napalmem dżungli wietnamskich, ze wstrząsanego konwulsjami walk wewnętrznych ogromnego cielska chińskiego smoka, z japońskiej eksplozji technologicznej? Nikt, nawet najtężsi futurologowie, nie może na to odpowiedzieć. Możemy się tylko domyślać, że będzie to cywilizacja bez służalczej imitacji wzorów zachodnich, bez kompleksu niższości, oparta o własną, przebogatą tradycję i historię. Cywilizacja, w której koncepcje człowieka i stosunków między ludźmi będą inne niż u nas, odmienny będzie sens ludzkiego życia, mniej może będzie w życiu człowieka pogoni za towarami, więcej medytacji i poszukiwania rzeczy pięknych. A może mi się tylko tak zdaje. Może przemawia przeze mnie wieczna tęsknota za światem mniej bezsensownym, bardziej logicznym?

Jest w Azji wiele niespokojnych myśli, wiele śmiałych, czasem nieudanych prób. A przede wszystkim jest wielu wybitnych ludzi, którzy lepiej może rozumieją dzisiejszy świat niż ludzie na pełnych dostatkach i powodzenia obszarach Europy i Ameryki.

Są w Azji ogromne, budzące się dopiero możliwości. Kiedy wreszcie staną się ciałem? Kiedy przemienią się w ryż dla głodnych, książkę dla niepiśmiennych, myśl nową dla złąknionych światła? Nie wiemy. Gdy spojrzysz się na skalę tego, co musi tam zostać zrobione, ręka cofa się przed sformułowaniem przepowiedni. Trudno odtwo-

rzyć piórem obraz chińskich wsi ciągnących się na przestrzeni dziesiątków kilometrów, złożonych z glinianych lepianek, pozbawionych światła i dróg. Trudno przybliżyć monotonię życia na wietnamskich ryżowiskach, gdzie każda szklanka wody musi być ręcznie przelana na pola i gdzie pola nieustannie lśnią lustrem wciąż wylewanej wody.

A mimo to, trzeba pamiętać o Azji. Jeszcze niejedno narodzi się na jej obszarach. Nie są one ani jednolite, ani uśpione. Ta wielka masa pulsuje, a jej rytm, podobny do oddechu odległego oceanu, odczuwany jest bardzo daleko. Jej waga i znaczenie będą rosły — to chyba jedyna pewna rzecz w niepewnym świecie lat siedemdziesiątych.

Któregoś dnia, na Wystawie Światowej w Osace, przysiadłem zmożony upałem na ławeczce ustawionej w pobliżu wejścia do kilku pawilonów japońskich. Grzmiały gigantofony, przesuwwały się taśmy ruchomych chodników, śmigały wagoniki kolei linowej. U wejścia do przedziwnych struktur w formie latających talerzy cisnął się tłum Japończyków. Było tam wiele młodzieży szkolnej w śnieżnobiałych koszulach lub bluzkach, sporo starszych panów w ciemnych krawatach, młode kobiety w lekkich sukienkach, starsze — w kimonach. Byli mężczyźni o wyglądzie angielskich urzędników bankowych, młodzieńcy przypominający amerykańskich hipiesów, chłopcy przypominający chłopów z każdej szerokości geograficznej. Wszyscy byli zmęczeni zwiedzaniem i dusznym upałem unoszącym się nad Osaką. Ale wszyscy też mieli rozjaśnione twarze, na których malował się zachwyt, podziw i radość. Przepełniała ich duma z rozpostartej wokoło, na podobieństwo japońskiego wachlarza, nowoczesności: tych setek komputerów, tej gry światła i elektonowego dźwięku, niezwykłych maszyn, niebywałych urządzeń. Zrozumiałem, że w tym tłumie

plonie entuzjazm, że smakują nowy świat, jak my smakujemy stare wino. Uzmysłowiłem sobie, że pochodzę ze zmęczonego kontynentu.

Nigdy nie sądziłem, że uświadomię to sobie właśnie w Azji. Poczułem zdziwienie. I tak oto zrodził się ten tytuł: „Księga zdziwień”.



## Zdziwienie pierwsze:

### **Mongolia, czyli jak zabudować step**

I

Długie, złote trąby wydają chrapliwy ryk, to znów basowe buczenie rosnące do takiej potęgi, aż dziw, że strop się jeszcze nie wali. Migotanie kolorowych świateł, połyskują nisko pochylone łysiny mnichów. Wyszczерzone maski demonów, groza granicząca ze śmiesznością. Atakujące ze wszystkich stron barwy: złoto, czerwień, fiolety i zielenie.

Po raz pierwszy w życiu uczestniczę w nabożeństwie buddyjskim. Później, w następnych podróżach zobaczę wspanialsze świątynie, bardziej niesamowite posągi i jeszcze dziwniejsze kolory. A jednak to pierwsze nabożeństwo robi najgłębsze wrażenie. Przyleciałem do Ułan Bator — siedem godzin różnicy w stosunku do czasu warszawskiego. Daleko. Kiedy u nas południe — tam siódma wieczorem. A przecież to dopiero przedsiónek Dalekiego Wschodu, stepowa aleja prowadząca do tronu Azji.

Pierwsze wrażenie skromne, miasto raczej ubogie, z trudem spełniające rolę stolicy. Z rzadka rozrzucone domy z białymi kolumnami, kilka większych sklepów, kilkanaście mniejszych, co pewien czas przejeżdża samochód, częściej widać konie, czasem wielbłądy, a nawet jaki. Światła na skrzyżowaniach są raczej fantazją niż potrzebą. Opera, teatr, kino, kilka muzeów, kilka fabryk. Więcej ambasad niż miejscowych urzędów. Co

kilkaset metrów wysokie, drewniane płoty osłaniają nie zabudowane miejsca — stoją tam rzędy płóciennych jurt, przed którymi kręcą się kobiety gotując strawę na żelaznych piecykach. Zapach baraniego łoju niesie się daleko, wypełnia ulicę, wciska do pokoiów hotelowych. Asfaltowe drogi urywają się na granicach miasta, dalej step i brunatnozielone wzgórza, widoczne z każdego punktu, bo nie zdołano ich jeszcze zasłonić budynkami. To małe, niepozorne miasto, które dopiero zaczyna pączkować na pustym stepie. Trudno porównywać je z miastami europejskimi. Ale czy takie porównania są w ogóle właściwe?

Oto idę odwrócony plecami do nowego Ulan Bator w stronę miasta takiego, jakim było dawniej, przed laty, w stronę starej Urgi. Było to tajemnicze miasto, o którym opowiadano legendy na koczowiskach całej Azji środkowej i dalej — w Chinach, w Tybecie, w Rosji i w Afganistanie.

Idę w kierunku tego, co pozostało z dawnego miasta chińskiego i lamajskiego. Dzielnica wznosi się na wysokim wzgórzu chroniącym ją przed powodzią. Naokoło jest opasana szeroką wstęgą asfaltową z chodnikami, z wymalowanymi na biało zebrami dla pieszych, z trawnikami i jarzeniowym oświetleniem. Na poboczu jezdnii stoją spychacze, szykują jakąś wielką budowę. Za to na wzgórzu...

Już z daleka widać niebieskie płoty — palisady z belek. W palisadach bramy — też niebieskie lub czerwone, przykryte podwiniętymi na chińską modłę daszkami. W środku, za ogrodzeniem, drewniane domki przypominające trochę podhalańskie szałas pasterskie, gdzieś stoi jurta. Błoto, kałuże, pada deszcz, niskie chmury pełzną po zboczach gór na horyzoncie, zupełnie jak w Zakopanem, a może to raczej Tybet. Jesteśmy na wysokości tysiąca trzystu metrów, to tak jak na Giewoncie.

Idą kobiety w jedwabnych szatach zwanych deli, przepasanym szerokim, kolorowym pasem. Mieszka w tej dzielnicy wiele ludzi, ale jest cicho, nie ma orientalnego zgiełku, jaki dotąd kojarzył mi się z Azją. Zresztą w całym mieście jest zadziwiająco cicho — Mongołowie są małomówni.

Zza błota i gliny, stert pni i zza drewnianych płotów wychyla się nagle złocista budowla, zawile wyrzeźbiona jak klejnot jubilera. Obok zielone, spiczaste dachy pagód, otoczone wysokim murem. Trzy bramy, każda przykryta dachem jak czółno. Przy najbliższej siedzi w kuczki stary człowiek. Ze środka dobiega śpiew i dziwne tony instrumentów. Pytam, czy można wejść. Kiwa głową, można.

Dziedziniec, zielone i złote budynki otoczone mgiełką wiosennych modrzewi. Ich zapach będzie mi odtąd zawsze przypominał Urgę. Przed świątynią na pochyło położonych deskach leżą modlące się kobiety. Trąbienie i śpiew są coraz głośniejsze. Otwarte drzwi, czerwone jak krew, na nich wyszczerzone paszcze złotych snoków. Przy drzwiach ciżba, przeważają ludzie starzy, ale są i młodzi, przepychają się też i hałasują dzieci. Wchodzę do środka, przystaję z szacunkiem na boku.

Karmazynowe, błękitne, szmaragdowe ściany. Złote napisy w piśmie tybetańskim. Malowane wszystkimi kolorami tęczy słupy. Plafonu nie widać, bo zwieszają się z niego niezliczone chorągwie: białe, żółte, ultramarynowe, w purpurze lub w fiolecie. Pod ścianami wiszą ogromne bębny, znowu w papuzich barwach, ze złocnymi tekstami. Oświetlenie elektryczne, ale w głębi, przy ołtarzu, przed zasłoniętym kratką i ledwie widocznym posągami Wiecznego i Dobrotliwego Buddy — kilkadziesiąt płonących lampek. Drgające płomyki ozywają oblicze bóstwa. W środku świątyni, po lewej i prawej stronie siedzą zwrócenii twarzami do środka lamo-

wie. Czerwone lub brunatne opończe, ogolone głowy. Opończe upięte na jednym ramieniu, drugie odłożone, widać złotą bluzę. W głębi, na podwyższeniu — dwóch starszych lamów.

Złote i czarne trąby. Jedne prowadzą melodię, inne podkreślają nastrój bucząc głęboko i ponuro. Część lamów uderza w miedziane i mosiężne talerze. Dwóch innych bije w dwa ogromne bębny zawieszzone za ich plecami. Biją wygiętymi na podobieństwo łuku pałkami uderzając do tyłu, nie patrząc, ale nie myląc się. Starsi lamowie, na podwyższeniu, kręcą młynki modlitewne. Grzmoty, buczenie trąb, chóralnie powtarzana modlitwa, bez końca, dziewięćdziesiąt dziewięć razy i znowu grzmoty, potem modlitwa i znowu grzmoty. Wierni przesuwają paciorki, stara kobieta rytmicznie macha różańcem, dwóch staruszków zamienia się przy mnie misternymi buteleczkami. Z korków sterczą długie szpilki. Lekki? Talizmany? Relikwie? Starsi lamowie ujmują długie pióropusze na drążkach, machają nimi, dzwonią dzwoneczkami. Monotonny rytm i trąby, i bębny, i modlitewny chór, i dzwonki, i talerze.

Potęzną falą powraca do mnie wszystko, co przeczytałem o Wschodzie: Kipling, Ossendowski, Malraux, Paul Morand, Sieroszewski. Modły wzmagają się, lamowie czynią gesty rozrzucania ziarna, hieratyczne gesty, napięte i pełne skupienia. Kilka kobiet podchodzi do ołtarza. Kłaniają się, unoszą złożone ku górze dłonie, potem całują rąbek szaty starszych lamów, znowu ręce w górze i ukłon. Lamowie wkładają czapki. Starsi — wysokie kapelusze z szerokim rondem, młodszy — żółte pirogi z frędzlami jak przystrzyżona grzywa konia.

I potem nagle koniec. Tłum wysypuje się przed świątynią, potem wychodzą lamowie — starzy, bardzo starzy ludzie, choć jest i kilku młodszych. Dziedzinięć czerwieni się i złoci. Pachną modrzewie. Poza murem we-

wnętrznym, ale jeszcze w obrębie drugiego świątynnego dziedzińca, tuż obok głównej bramy i dwóch białozielonych smoków, mongolscy chłopcy grają w piłkę nożną. Kilku czerwono odzianych lamów siada do odkrytego „Chevroleta”, zapewne sprzed trzydziestu, a może i więcej lat. Samochód rusza z chrobotaniem. Jest zupełnie tak, jakby to wymyślono dla filmu, a przecież to nie jest przedstawienie dla turystów, prócz mnie nie ma tu żadnych cudzoziemców. Jeszcze długo wśród niebieskich płotów widzę karmazynowo-żółte sylwetki przygarbionych starców, którzy zdążają do swych izdebek w starych domach starej Urgi. Podobno jeden ze starszych lamów był niegdyś w partii, zanim go usunięto. A wielu byłych lamów dzisiaj jest członkami partii.

Powoli wracałem ze wzgórza. Był wieczór. Po tym, co zobaczyłem, nowy Ułan Bator nagle przestał być biedny i początkujący. Stał się czymś bardzo wielkim. Z tyłu za otoczonym rusztowaniami, z powodu remontu, wielkim budynkiem klasztoru Gandan w starej Urdze wspięła się w niebo wysoka wieża telewizyjna. Czy chodzi o kontrasty? Bzdura. Nie ma żadnych kontrastów, ta godzina trąb i młynków, jaką spędziłem w świątyni, to coś, czego już doprawdy nie ma. Gandan to ostatni czynny klasztor w Mongolii. A przecież przed czterdziestu pięciu laty było w Mongolii sto pięćdziesiąt tysięcy lamów. Prawie jedna czwarta ówczesnej ludności, blisko połowa wszystkich mężczyzn. Byli straceni dla pracy, dla rozwoju, dla kraju. Klasztory miały ponadto sto pięćdziesiąt tysięcy „szabinarów”, to znaczy służących. Prawie połowa ludności służyła kościołowi lamaickiemu. Bębny i trąby zastępowały wszystko.

Amerykański badacz Mongolii, Gerard M. Friters, tak pisał o tym w swojej książce \*:

---

\* G. M. Friters „Outer Mongolia and its International Position”, The John Hopkins Press, Baltimore 1949 r.

„Ocenia się, że jedna trzecia (lamów) żyła stale w klasztorach. Dokładne liczby... nie są znane, ale Majski \* przytacza... cyfrę 40 tysięcy z ogólnej liczby 150 tysięcy lamów. Z tych 40 tysięcy około 20 tysięcy żyło w dwóch klasztorach w Urdze. Wszyscy ci klasztorni „stali mieszkańcy miasta”, jak również liczni lamowie wędrowni, byli całkowicie bezużyteczni z punktu widzenia zamożności kraju, jako że pędzili żywot pasożytniczy, nie robiąc nic poza powtarzaniem modlitw w języku tybetańskim rozumianym tylko przez niewielu z nich”.

Żadne społeczeństwo na świecie, chcąc wydobyć się z nędzy i zacofania, nie mogłoby sobie pozwolić na to, by większa część jego mężczyzn nie brała udziału w pracy produkcyjnej, a zajmowała się tylko odmawianiem pacierzy. Po to, aby kraj mógł się zacząć rozwijać, trzeba było zlikwidować system lamaistyczny. Odbyło się to w sposób nieobcy wszystkim rewolucjom, wszelako budzący pewne zastrzeżenia natury moralnej. W książce prezesa Mongolskiej Akademii Nauk, profesora Szyrendyba, poświęconej historii budownictwa socjalistycznego w Mongolii i wydanej w Ułan Bator, przeczytałem:

„W końcu 1929 roku kontrrewolucjoniści pod wodzą wielkiego feudała kościelnego Jugodzyra Hutuchty wykorzystali napiętą sytuację na Dalekim Wschodzie, zwłaszcza zaś konflikt wokół Chińskiej Kolei Wschodniej, by rozpocząć otwartą akcję wymierzoną przeciwko ludowi.

W spisek byli wmieszani również inni dostojnicy kościelni, jak i feudałowie świeccy. Jednakże spiskowcy zostali wkrótce zdemaskowani i unieszkodliwieni. Zgniecione zostało również kontrrewolucyjne powstanie

---

\* Iwan Majski: „Sowremiennaja Mongolia”. Chodzi o książkę znanego dyplomaty radzieckiego, który był zarazem znakomitym znawcą Mongolii.

zbrojne wywołane przez reakcyjnych przywódców lamajskich w klasztorach Tugsbujant i Budanch w początku roku 1930 oraz w niektórych zachodnich ajmach (województwach) w roku 1932. (...)

Rodzima reakcja starała się także wykorzystać błędy w pracy lokalnych władz, niedociągnięcia w budownictwie gospodarczym i kulturalnym, przesady, zacofane poglądy i niektóre tradycje. Jednakże władza ludowa w oparciu o aktywność polityczną ludu pracującego zdemaskowała rodzimych reakcjonistów i ujawniła ludowi ich antypatriotyczne korzenie. W walce przeciwko tym siłom trzeba było użyć przemocy stosownie do natężenia ich złej woli i charakteru zbrodni, jakie popełnili, ale przemoc ta była koniecznością narzuconą władzy oporem stawianym przez obalone klasy” \*.

Przeoglądając oficjalne dane statystyczne łatwo spostrzec, że w latach trzydziestych Mongolia utraciła co najmniej 11 procent swej ludności męskiej, a może nawet więcej. Proces likwidacji struktury społecznej utworzonej przez kościół lamaistyczny był zabiegiem bardzo krwawym. I tak oto w dalekiej Mongolii objawił się stary dylemat lewicy rewolucyjnej: stosunku między celem a środkami. Cel — likwidacja potwornej narośli teokratycznej uniemożliwiającej całemu narodowi dotrzymanie kroku epoce współczesnej — został osiągnięty. Jednakże tego rodzaju środki zwykle wyrządzają wielkie szkody społeczne. Trudności gospodarcze i rozwojowe, jakie przez wiele następnych lat przeżywała Mongolia, były niewątpliwie wynikiem tych właśnie wydarzeń.

Kościół lamajski w Mongolii zlikwidowano i pozostał tylko jeden czynny klasztor — Gandan w Ułan Bator, a w nim kilkudziesięciu mnichów. Wielka liczba lamów

---

\* B. Szyrendyb „By — passing Capitalism”, MPR State Publishers, Ulan Bator 1968 r.

włączyła się zresztą w normalne życie społeczeństwa, wielu z nich doszło nawet do wysokich funkcji państwowych i partyjnych. Odtąd uważa się, że w kraju nie ma problemu religijnego. Po prostu religia została zlikwidowana. Przybyszowi z Polski trudno w to uwierzyć, ale potwierdzają to nie tylko źródła oficjalne, lecz i obserwacje cudzoziemców: mongolistów, czy też studentów odbywających praktyki w środowisku mongolskim. Jedynie w odległych, trudno dostępnych rejonach kraju można się spotkać z praktykami szamanistycznymi. Podobne zjawisko można zaobserwować w wielu krajach Azji, gdzie, jak się okazuje, buddyzm czy konfucjonizm wywarły wprawdzie głęboki wpływ na mentalność narodów, ich kulturę i sztukę, ale zewnętrzne przejawy kultu okazały się, wbrew pozorom, słabsze niż przypuszczano. Różni się to bardzo od wpływu, jaki w niektórych krajach wywarł katolicyzm, a w innych — protestantyzm. Oto jedno z dalekowschodnich zdziwień.

Ze wzgórze Gandan, ze starej Urgi wracałem do nowego miasta. Zobaczyłem je teraz inaczej. Asfalty, jarmazynki, hotele, gmachy rządowe, sklepy samoobsługowe. Wielkie okna, samochody, kominy fabryk. Przylatując z Europy patrzy się na to w niewłaściwy sposób. Trzeba wyjść ze starej Urgi. A przecież nie można pominąć tych zamkniętych w Gandanie i w kilku innych, zamienionych na muzea, klasztorach — smoków, demonów, bóstw. Są one historią tego kraju, historią zamkniętą, a przecież jednak obecną. I dopiero poznawszy to wszystko, można spojrzeć na bezmiar stepów o powietrzu jakby odlanym z miki, na stada spółdzielczego bydła i koni, na fabryki, na szkoły i uniwersytet, na jurty i plany gospodarcze.

Kraj w samym sercu Azji, pięć razy większy od Polski, ale mający tylko tyle ludności, ile jej liczy Warszawa. Więcej kilometrów kwadratowych niż ludzi. Step,

gdzie nieraz można przejechać sześćdziesiąt i więcej kilometrów i nie napotkać żywego człowieka. Kraj piaszczystych pustyni i skalistych gór, obszarów wyschłych jak stara skóra od chleba — i potężnych rzek o dzikim prądzie. Kraj mający tylko dwóch sąsiadów, z których jeden ma dwieście czterdzieści, a drugi siedemset milionów mieszkańców. Jeden z najmniejszych narodów wśród dwóch — najliczniejszych. A przecież naród świadomy swej tożsamości, swego języka, historii i kultury.

Z jednej strony, od północy, promieniuje na ten kraj nowoczesna, tutaj dopiero widać jak bardzo sprawna, technologiczna machina radziecka. Eksperci, inżynierowie, uczeni, instytuty, wielkie przedsiębiorstwa ze Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Z drugiej, od południa, zawsze obecny oddech ogromnych Chin, biednych, a przecież potężnych, groźnych w czasach cesarskich, groźnych i dziś. Na jednego obywatela Mongolii przypada sześciuset Chińczyków...

Kraj jest jak wyspa między dwoma oceanami, wyspa rozległa, lecz słabo zaludniona. Jego stepy i łąki, jego spokojnie pasące się stada, rozrzucone jurty, z których rozpościera się niezmierny widok... Jak ten pasterski, żyjący tradycyjnym rytmem kraj przetrwał między dwoma ogromnymi morzami, falującymi tchnieniem niezliczonych mas ludzkich? Jak to się stało, że jego odrębność nie zatarła się w ciągu wieków, kiedy to graniczył z wielkimi imperiami, którym nadawały ruch ludzkie pragnienia i zamysły tak odległe od pragnień koczowniczych plemion mongolskich? W chwili uzyskania niepodległości, w roku 1911, kiedy kraj wyzwolił się spod władzy chińskich satrapów, ale nie uwolnił się jeszcze spod władzy lamajskiego kleru i Bogdo Gegena, czyli Żyjącego Wcielenia Buddy — Mongolia liczyła około 600 tysięcy mieszkańców. Dziś liczy ich dwa razy tyle, ale to wciąż bardzo mało jak na półtora miliona kilo-

metrów kwadratowych. Fakt utrzymania odrębności narodowej przez tak małą garstkę ludzi przez tak długi czas, na styku dwóch najrozleglejszych i najludniejszych państw świata — jest godny podziwu i szacunku. Mongolia jest więc fenomenem historycznym, który mógł powstać pewnie właśnie dlatego, że leży na styku. Przez długi czas władzę sprawowały tam Chiny i one miały największe wpływy. Jednakże ówczesna Rosja, rozbudowująca swoje państwo na Dalekim Wschodzie, przeważała cywilizacyjnie i technicznie. Toteż już w dziewiętnastym wieku okazało się, że wpływ Rosji, a więc współczesnego świata, jest silniejszy.

Oba niezmierzone oceany: rosyjsko-radziecki i chiński oddziałują na Mongolię i dziś. Tak dawniej jak i dziś jest to oddziaływanie bardzo różne i trudno je porównywać. A przecież — trzeba to robić.

Rosjanie w dzisiejszej Mongolii reprezentują rozmach, nowoczesną technikę, sprawność, wysokie umiejętności — jednym słowem wiarę w ludzkie możliwości cechującą obywateli wysoko rozwiniętych — i wysoko mierzących — państw przemysłowych. Daje się to streścić w jednym powiedzeniu „wszystko jest do zrobienia, nic nie jest niemożliwe”.

Najbardziej wymownym tego przykładem jest miasto Darchan. Leży trzysta kilometrów na północ od Ułan Bator, w dolinie rzeki Orchon, w tych właśnie okolicach, gdzie przed wiekami stała rodzinna jurta Czyngis-chana. W szczerym, pofałdowanym stepie ze wzgórzami na horyzoncie nowoczesne miasto: kolorowe domy, sklepy, asfaltowe jezdnie, jarzeniowe światło, komunikacja autobusowa. Zupełne zaskoczenie. Ale najważniejszym elementem miasta są ukryte w kotlinie za grzbieciem górskim chroniącym miasto przed dymem — zakłady przemysłowe. Darchan to bodaj najważniejszy z rozwijanych obecnie w Mongolii ośrodków przemysłowych.

wych. Jest budowany przy udziale przedsiębiorstw i specjalistów ze Związku Radzieckiego, Polski, Czechosłowacji i Bułgarii.

Rosjanie zbudowali w Darchanie elektrociepłownię o mocy 48 megawatów. Wyposażyli ją w zestaw laboratoriów pracujących na potrzeby całej Mongolii, dokonujących między innymi analizy wydobywanego w tym kraju węgla — w poszukiwaniu cennych pierwiastków. Radziecka elektrownia zapewniła całemu ośrodkowi przemysłowemu energię i ciepło, co umożliwiło jego dalszą rozbudowę. Prócz tego ZSRR zbudował w Darchanie wielki i całkowicie zautomatyzowany elewator zbożowy, jest to bowiem jeden z tych okręgów w Mongolii, gdzie prócz hodowli rozwija się również rolnictwo. Wreszcie radzieccy specjaliści zbudowali przy elewatorze nowoczesny zakład produkcji paszy dla bydła, co ma tutaj równie wielkie znaczenie, jak u nas kopalnie węgla. Zakład wykorzystuje otręby, słomę, plewy, to wszystko, co pozostaje przy oczyszczaniu zboża w elewatorze i mieleniu mąki w położonym opodal młynie. Podobnych zakładów produkcji paszy ma powstać w Mongolii osiemnaście. Dopiero one, wraz z budowanymi wszędzie zimowymi pomieszczeniami dla bydła, będą mogły zmienić pierwotny charakter hodowli, pomnożyć to najcenniejsze mongolskie bogactwo naturalne.

Największe wrażenie robi jednak co innego. Przed paru laty był tutaj goły step, zupełna pustka. Żeby budować, trzeba było stworzyć to, co fachowcy nazywają „infrastrukturą”. I Rosjanie zrobili to. Stworzyli ogromny kombinat zwany „trestem”. Łączy on dziesięć różnych przedsiębiorstw w jeden wielki zespół. Jest tam zakład betoniarski, asfaltowy, stacja tlenowa i acetylenowa, zakład obróbki drewna, remontu maszyn, elek-

tryczny, metalurgiczno-ślusarski. Prócz tego: baza transportowa — ponad tysiąc ciężarówek. A dalej: stołówka, sklepy, szkoła, klub i kino. Dwa tysiące pracowników radzieckich, drugie tyle mongolskich. Ten wielki kombinat „potrafi wszystko”. Buduje domy i fabryki, drogi i mosty, remontuje dźwigi i spychacze, przeprowadza linie elektryczne, organizuje transport, obsługuje samochody. Rosjanie stosują metodę tak zwanej „budowy pod klucz”, to znaczy oddają mongolskiej załodze klucze do gotowej fabryki. Prócz tego szkolą załogę. Posługują się przy tym systemem, który dawniej zwykliśmy zwać amerykańskim. To znaczy remontują maszyny tylko wtedy, gdy można to zrobić szybko i bez większego kłopotu. Jeśli zaś nie można, wtedy wyrzucają maszyny na złom i biorą nowe. Ludzie, ich praca i czas, ich umiejętności są tutaj cenniejsze niż maszyny. W tej przestrzeni i przy tym braku rąk do pracy nie ma co się cackać z zepsutą ciężarówką. Sprzętu jest dosyć...

Cały kombinat to wielka, pracująca bez wytchnienia szkoła nowoczesnej techniki. Nieustannie demonstruje ona mongolskim robotnikom, którzy dopiero niedawno zsiadli z koni, jakie są możliwości człowieka sprawnie posługującego się maszyną.

Nocami, za oknami nowych bloków w Darchanie — step bez żadnych ludzkich osiedli. Zupełna czern. Jednak na horyzoncie wciąż widać światła jadących ciężarówek.

Wpływ radzieckiej techniki i kultury jest w Mongolii bardzo silny. Większość mongolskiej inteligencji ukończyła studia w Związku Radzieckim. Ze Związku Radzieckiego pochodzi też przeważająca część maszyn, urządzeń przemysłowych, samochodów itp. Stamtąd też pochodzą — nie istniejące przedtem w stepowej republice — wzory nowoczesnej organizacji pracy, organizacji nauki, szkolnictwa, służby zdrowia, czy też życia poli-

tycznego. Wpływy te widać na każdym kroku, co jednak nie oznacza, by Mongołowie nie starali się rozwijać — i podkreślać — własnych odrębności.

W lecie, w pogodne soboty, Rosjanie wyjeżdżają na wielkie gotowanie rybnej zupy zwanej ucha. Jest wtedy prawdziwe święto i wielka radość. Gotowanie uchy to misterium na podobieństwo naszych sobótek. Najpierw po południu odbywa się powszechne łowienie ryb, w którym uczestniczą wszyscy, nawet kobiety i dzieci. Potrzeba wiele ryb, choćby zupełnie małych. Owe mniejsze ryby wrzuca się do wielkiego kotła i bardzo długo gotuje, aż powstanie z nich zawiesisty, ostro przyprawiony rosół. Wtedy trzeba zupełnie przecedzić, wyrzucić rozgotowaną papkę, a w kotle zostaje ostra, pachnąca polewka. Zapada zmierzch. Pojawiają się przy ognisku najęźsi wędkarze. Od nich zależy, czy polewka przemieni się w uche. Jeśli szczęście uśmiechnie się do nich i złapią słynnego tajmienia, którego waga dochodzi do pięćdziesięciu kilo, a na wędkę łowione są sztuki do dwudziestu kilogramów, wtedy do rosółu wrzucane są filety wielkiej ryby i całość jeszcze raz się gotuje, tym razem krótko. A później, już w nocy, rozpoczyna się uczta: smakowita, królewska zupa, chleb, herbata, gitary, bałałajki, śpiew i anegdoty. Oczywiście również i mocniejsze napoje... Tu, gwoli prawdy, trzeba powiedzieć, że napojem tym bywa czasem tak zwany „koktejl druźby”. Zapytałem, co to znaczy. Powiedziano mi:

— Kubański cukier, mongolska woda, ruska praca...

Rosjanie w Mongolii. Mają rozmach, mają humor, mają to charakterystyczne machnięcie ręką na detale. I tworzą „infrastrukturę”.

A Chińczycy? Nie ma ich dzisiaj w Mongolii, z wyjątkiem piętnastu czy dwudziestu tysięcy osiedlonych na stałe, głównie w Ułan Bator. Żyją spokojnie, są ce-

nionymi pracownikami. Wielu nosi w klapie znaczek z konterfektem Przewodniczącego. W latach rewolucji kulturalnej niektórzy z nich, zwłaszcza młodzież, próbowali organizować manifestacje, kolportować myśli i podobizny Mao, czynili trochę zamieszania. Władze mongolskie taktownie, ale stanowczo przywołały ich do porządku. Jeszcze i dzisiaj spotkać można chłopców i dziewczyny zachowujących się z pewną ledwie wyczuwalną arogancją, której nie ma śladu u młodzieży mongolskiej. Rówieśnicy tych chłopców i dziewcząt, ci, co naprawdę tworzyli w Chinach Czerwoną Gwardię, zostali przez Mao wysłani do pracy na wsi. Tutaj im to nie grozi.

Przed kilku laty było tu znacznie więcej Chińczyków. Chińskie brygady budowały fabryki, domy, kopały kanały. W Mongolii brakuje rąk do pracy, byli więc cenienni jako robotnicy. Potem wyjechali. Odtąd w Ułan Bator stoi ogromny hotel skończony tylko w połowie. Z dwóch składających się nań wieżowców czynny jest tylko jeden, nie wykończono wielkiej sali restauracyjnej, brakuje także wody. Jest też trochę nie dokończonych domów mieszkalnych, a hutę szkła niedaleko miasta musieli przerabiać i kończyć Polacy.

W mieście Charchorin pokazywano mi kanał, który wykopali Chińczycy. Zrobili to, jak trzeba, porządnie i szybko. Żywili się paru garściami ryżu dziennie, a śpiali w dołkach wykopanych tuż obok kanału.

Dziś w Mongolii praktycznie nie ma Chińczyków. A jednak wyczuwa się obecność ogromnych Chin o kilkaset kilometrów na południe i na wschód. Ułan Bator leży w niecce, w której nie można odebrać niemal żadnej z radiowych stacji radzieckich, europejskich czy amerykańskich. Eter jest natomiast przepełniony audycjami nadawanymi przez Pekin. We wszystkich językach świata, w dzień i w nocy czytane są w radiu „myśli

Przewodniczącego”. Monotonnie, z uporem, często ze złym akcentem. Mao Tse-tung o życiu, pracy, walce, kulturze, historii. Wciąż i wciąż, bez chwili przerwy.

Mongołowie niechętnie poruszają ten temat. Kiedy się jednak przełamie ich opory, mówią:

— W tak zwanej Mongolii wewnętrznej, w Chinach, było dotąd więcej Mongołów niż w naszym państwie. Czy pan słyszał o Tybecie? Otóż z Mongołami dzieje się w Chinach mniej więcej to samo. Za kilkanaście lat nie będzie już Mongołów po tamtej stronie. Przesiedla się ich, wynaradawia, dziewczyny zmusza do małżeństw z Chińczykami...

Odległa wyspa w sercu Azji, słabo zaludniona, otoczona z obu stron przez dwa olbrzymie oceany. Zamieszkujący ją naród przetrwał burze, a dziś rozwija się i wierzy w przyszłość. Niezwykły, dziwny kraj, w niebywałym położeniu. W azjatyckiej „Księdze zdziwień” trzeba mu poświęcić należne, odrębne miejsce.

## II

Przejechałem dwa i pół tysiąca kilometrów po mongolskim stepie. W polskich wymiarach to dużo, w Mongolii to niewielka przejażdżka. Samochód — radziecki „GAZ” z włączonym na cztery koła napędem i dodatkowym przełożeniem terenowym poruszał się w niezmiernie przestroni na podobieństwo okrętu. Kierowała nim nie szosa i nie drogowskazy, lecz słońce i strony świata. Kierowca, potężny mężczyzna, flegmatyczny i małomówny, był doskonale zharmonizowany z otoczeniem. Podobnie jak stepową przyrodę, tak i jego nie mogło nic poruszyć, nic zdenerwować, nawet stałe trud-

ności z benzyną, o którą w stepie trudno, nawet kłopoty z niezbyt sprawnym gaźnikiem samochodu.

Dróg na stepie nie ma, a raczej jest ich bardzo wiele. Krzyżują się wytarte kołami ciężarówek koleiny, omijają szczyty górskie zmierzając ku przełęczom, prowadzą do brodów w rzekach. Wytarte w trawie szlaki różnią się barwą od stepu i kiedy spojrzeć na nie z góry, wyglądają, jakby wylane jasnym asfaltem czy betonem. Ich prawdziwą istotę zdradza tylko zawily deseń, w jaki są ułożone. Jeśli w miarę upływu czasu stepowy trakt staje się już zbyt wyboisty, kiedy ciężki transport towarów wybije w nim już zbyt głębokie dziury, kierowcy skręcają w jeszcze nie wyjeżdżony teren, po którym jedzie się gładziej niż po utartej drodze. Na uczęszczanych szlakach powstają więc cztero-, sześćo-, a nawet dziesięciopasmowe drogi. Ciągną się równolegle przez dziesiątki kilometrów, czasem rozjeżdżają, omijając z obu stron wzniesienia, potem znów zbliżają do siebie. Zdarza się, że dwie lub trzy ciężarówki jadą godzinami obok siebie, wznosząc bliźniacze tumany kurzu, właśnie tak, jakby na morzu dymiły płynące do tego samego portu parowce albo jak lecące w stratosferze odrzutowce, które zostawiają za sobą smugi kondensacyjne.

Tego czerwca padało w Mongolii nadzwyczaj dużo deszczu, step był więc zielony i kwitnący. Step — setki i tysiące kilometrów niewysokiej trawy, wzgórz, kamieni i, jeśli padał deszcz, kwiatów. Podobno kolor kwiatów nieomylnie wskazuje ukryte w ziemi bogactwa naturalne: żółte kwiaty — złoto, czerwone — żelazo, fioletowe — inne metale. Wśród kwiatów spacerowały z powagą żurawie, biegały truchtem bażanty, kręciły się przepiórki. Step może być wspaniały i ponury, zachwycający i okropny, ciekawy i nudny. Wszystko zależy nie od stepu, ale od patrzącego nań człowieka, od jego samopoczucia i warunków, w jakich go ogląda. Spotyka-

łem ludzi, którzy wzdygali się na wspomnienie stepowej monotonii. Na mnie wywarła ona ogromne wrażenie, ani przez chwilę nie odczuwałem znużenia ani przygnębienia. Jest tam niezwykła, niespotykana chyba nigdzie na świecie przestrzeń. Widziałem afrykański busz i arabską pustynię, ale nie umywają się one do mongolskich prerii, których górskie, przejrzyste powietrze pozwala sięgać wzrokiem na niebywałą odległość. Byłem ciekawy, jak też daleko widać. Sądziłem, oceniając rzecz polskimi miarami, że pewnie z piętnaście do dwadzieścia kilometrów. Poznani w Mongolii polscy inżynierowie utrzymywali, że dwadzieścia pięć. W końcu posłużyłem się licznikiem samochodu. Okazało się, że w każdym punkcie stepu widać wzgórze odległe o trzydzieści kilometrów. Trzydzieści kilometrów w przód, tyleż w tył i na boki — nic dziwnego, że jazda samochodem przypomina podróż na morzu. Jedzie się powoli, więc nieraz mija godzina, zanim dotrze się do wzgórz, które widać było na widnokręgu.

Podobnej przestrzeni nie spotyka się nigdzie na świecie.

Tu i ówdzie stada owiec, bydła, koni lub wielbłądów. Z daleka wyglądają jak mszyce na zielonym liściu. Bydło tłoczy się przy strumieniach, a tam gdzie na dużej przestrzeni nie ma żadnych strumieni — przy pompach z długim, obracającym się ramieniem, z których spływa do poideł lodowata i czysta woda. Pompy są zdobyczą ostatnich lat, a budowali je Węgrzy, podobnie jak to czynili u siebie, na puszcze.

Co dwie lub trzy godziny jazdy — stolica somonu, czyli powiatu. Jest to zarazem spółdzielnia produkcyjna obejmująca kilka lub kilkanaście tysięcy kilometrów kwadratowych. W siedzibie somonu stoi kilka białych, murowanych budynków, do tego parę drewnianych baraków mieszczących magazyny. Biura zarządu, punkt

medyczny lub szpital, szkoła, jadłodajnia, sklep. To wszystko otoczone wianuszkami jurty. A dalej znowu pusty step aż do następnego somonu.

W siedzibie somonu mieszka tylko niewielka grupka ludzi — tych, którzy prowadzą osiadły tryb życia, choć często jeszcze mieszkają w jurtach. Są to urzędnicy i kierownictwo spółdzielni, lekarz, inżynierowie i mechanicy ze stacji maszynowej — jeśli taka jest — magazynierzy, sprzedawcy. Byłem podejmowany w jednym z somonów na zachód od Ułan Bator przez inżyniera mającego pieczę nad transportem. Mieszkał w wojłokowej, przykrytej brezentem jurcie o pięknie wymalowanych drzwiach. Gospodarstwo prowadziła mu matka gotująca baraninę na żelaznym piecyku pośrodku jurty. Wewnątrz były tylko najniezbędniejsze meble, jak we wszystkich jurtach, prócz tego ładny odbiornik radiowy, sporo książek po mongolsku i po rosyjsku, stolik z przyborami do pisania. Na honorowym miejscu pyszniła się skrzynka z zestawem polskich narzędzi ślusarskich.

Reszta mieszkańców somonu nie ma stałego adresu. Koczują pilnując stad bydła. Dziś są tu — a za tydzień o dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów dalej. Główna zmiana ostatnich lat polega na tym, że dziś do przeprowadzki częściej używa się ciężarówek niż koni czy wielbłądów. Pozwala to na używanie w gospodarstwie nieco solidniejszego sprzętu, sprawia, że jurty bardziej dziś obrastają dobytkiem, niż to było dawniej.

Pustka i koczowniczy tryb życia — oto najważniejsze cechy, a zarazem główne problemy tego kraju. Nie ma dróg, są tylko dwie linie kolejowe. Olbrzymie, niepojęte dla nas odległości sprawiają, że każda próba unowocześnienia kraju staje się wysiłkiem na cyklopiczną miarę. Oto przykład: sprawa skór. Są one, obok żywego bydła, najważniejszym artykułem eksportowym Mongolii. Mowa o skórkach surowych. Prosty, uznawany wszędzie na

świecie rachunek wskazuje, że bardziej opłaca się wywozić skórę wyprawioną niż surową, sprzedaje się wtedy nie tylko sam surowiec, ale i uszlachetniającą go pracę ludzką. Zawarto więc umowę z Bułgarią na budowę wielkiej garbarni. Ale w Mongolii zwykły, europejski rachunek często zawodzi. Albowiem, aby wyprawić skórę, potrzeba wielu chemikaliów, barwników, części zamiennych do maszyn i urządzeń. I to wszystko trzeba sprowadzać z Europy, a więc z odległości sześciu, czy siedmiu tysięcy kilometrów. Każdy kilogram chemikaliów, każdą śrubkę czy muterkę trzeba sprowadzać koleją, bo Mongolia nie ma dostępu do morza.

Prócz tego jest sprawa rąk do pracy. W Mongolii ludzie nie szukają roboty, ona szuka ludzi. Jeżeli u nas są kłopoty z robotnikami i inżynierami, którzy często zmieniają pracę rozglądając się za lepszymi warunkami, to co dopiero tam, gdzie robotnik, jeśli pokłóci się z majstrem lub praca w fabryce wydaje mu się za ciężka, zabiera jurtę i wyrusza w step, a w każdym somonie przyjmą go z otwartymi rękami. A przecież, by produkt mógł uzyskać wysoką jakość, trzeba wśród załogi wytworzyć tradycję i szacunek do pracy. A Mongoł — wolny pasterz i koczownik, najbardziej na świecie ceni konia, step i szerokie niebo nad głową. Pracy w fabryce nie nauczył się cenić, wydaje mu się ciężka i obca.

W tej sytuacji normalny, europejski rachunek zaczyna się zadziwiająco zmieniać. Okazuje się bowiem, że w wyniku uruchomienia owej garbarni dobry surowiec, sprzedawany wprawdzie tanio, ale bez kłopotu, zamienia się w bardzo kosztowny półprodukt, który ze względu na ogromne odległości i słabą jakość nie może już konkurować na światowym rynku.

Niełatwo unowocześnić ten bezbrzeżny step, te łagodnie pofalowane połoniny, na których odległość zapiera dech. Dziesiątki i setki kilometrów, które pokonuje się

powoli, od przełęczy do przełęczy, od brodu przez rzekę do brodu. Pierwszy bieg, drugi, na chwilę trzeci, potem znów drugi i pierwszy — i tak godzinami, przez całe dni. Zakopane po osie ciężarówki trzeba wyciągać wspólnym wysiłkiem załóg kilku samochodów. Kierowcy tracą przy tej pracy długie godziny liczone w innych krajach na wagę złota. Do zbudowanych w mieście Charchorin fabryk dowozi się węgiel ciężarówkami poprzez bezdroża z odległej o dwieście kilometrów kopalni. A w zimie? Co wtedy?

A przecież coś się zmienia. Poznany w Ułan Bator młody polski mongolista, pan Jerzy Tulisow, odbywający po ukończeniu studiów w Warszawie dwuletnią praktykę na uniwersytecie ułan-batorskim, opowiadał mi o swojej wyprawie do Tuwińców, pasterskiego plemienia mieszkającego wysoko w górach, w okolicy jeziora Chubsuguł. Była to odkrywcza wyprawa, odbyta częściowo na mule, częściowo na piechotę, do ludzi, z których większość nigdy w życiu nie widziała Europejczyka. Żyją Tuwińcy na niedostępnych zboczach, przełęczach i płaskowyżach, w warunkach zbliżonych do pierwotnej gospodarki naturalnej. Jedyne wyroby przemysłowe, jakie Tulisow u nich znalazł, to zapalki, strzelby i tu i ówdzie metalowy garnek. Odzież sporządzają ze skór szytych ścięgami reniferów. Ale i tam coś się zmienia. Wysoko w górach zostają już tylko ludzie starsi. Młodzi schodzą w dół, do cywilizacji.

### III

W pewnej chwili, podczas podróży po stepie, poczułem się, jakbym uczestniczył w bitwie pod Legnicą. Nasz terenowy łązik zatrzymał się, a przed moimi oczami rozegrała się pełna mocy i dzikiego piękna scena. Po

równinie toczył się w naszą stronę ogromny tuman kurzu, z którego wyłaniały się nieprzeliczone końskie pyski, grzywy i kopyta. Naprzeciw nas dudnił i galopował olbrzymi tabun koni zajmujący niemal pół horyzontu. Po stepie gnały setki, a może tysiące zwierząt. Nie były to, jak w filmie „Wszystko na sprzedaż”, dobrane, piękne konie, produkt starannej hodowli. Były to mierzyny, których przodkowie przynosili na swych grzbietach wojowników poprzez nieskończoną przestrzeń — od Pekinu po Budapeszt. Były gniade, bułane, srokate, siwe i kare, małe i duże, wyciągnięte w cwale jak cięciwa tatarskiego łuku — i były to tatarskie wierzchowce.

Zbliżały się do nas jak nawałnica i kiedy wydawało się, że przewrócą samochód i stratują załogę — rozdzieliły się na dwa skrzydła, dwa czambuły, ogarnęły nas z obu stron, tak właśnie jak szarżująca orda ogarniała niegdyś tkwiących nieruchomo — i pozbawionych szans średniowiecznych rycerzy z Europy. Owiał nas zapach końskiego potu i nawozu, zapach, który — chociaż nasiąkłem już bez reszty benzyną — wciąż wywołuje jakies prastare tęsknoty. Za tabunem pędzili na koniach pasterze trzymający w rękach — na podobieństwo lanc — długie kije zakończone pętlą — arkanem. Pozdrowili nas krzykiem.

Ulotna chwila, wrażenie w rodzaju tych, jakie człowiek kolekcjonuje przez całe życie.

Następnego dnia rozmawiałem z przewodniczącym somonu w mieście Charchorin (dawnym Karakorum, stolicy Czyngis-chana i stworzonego przezeń mongolskiego imperium), człowiekiem o wspaniałej, po mongolsku pomarszczonej twarzy i pięknym imieniu Gombosuren.

— Trzyście lat temu była tu tylko dawna lamajska świątynia Erdeni Dzu, obecnie muzeum. A dziś Charchorin jest wielkim miastem — tak mi powiedział.

I znowu, jak przedtem w Ulan Bator, można by się uśmiechnąć słysząc o tym „wielkim mieście” złożonym z kilkunastu domów, kilkuset jurt i trzech zakładów przemysłowych. Lecz tak samo, jak tam, łatwe porównania do niczego nie prowadzą.

— Mamy siedem tysięcy krów — ciągnął Gombosuren — i dwanaście tysięcy koni.

— Po co wam tyle koni? — zapytałem zdumiony.

— Transport — odpowiedział przewodniczący. Wydało mi się to dziwne. Mongołowie nie używają koni do żadnego transportu, z wyjątkiem jazdy wierzchem. Do transportu towarów używa się wielbłądów albo jaków, przede wszystkim zaś — już od dłuższego czasu — ciężarówek. Musiałem mieć zdziwienie wyrysowane na twarzy, bo przewodniczący dodał jeszcze z naciskiem:

— Kumys.

No, tak. Kumys odgrywa na stepie taką mniej więcej rolę, jak chleb u nas: jest najpowszechniejszym, najulubieńszym i najbardziej szanowanym pożywieniem. Sfermentowane i utrząśnięte w skórzanych bukłakach mleko kobyłe (otrzymywane drogą oszustwa, jako że najpierw pokazuje się kobyłe jej własnego źrebaka, a potem, kiedy klacz zdecyduje się nakarmić małego — spuszcza się mleko do podstawionego wiadra) — jest ożywczym i smacznym napojem wyrównującym braki witaminowe w normalnej, baraniej diecie mongolskiej. Ale nawet, jeśli odliczyć kumys, pozostaje fakt, że koni jest więcej niż krów — nie tylko u Gombosurena, ale i w całym kraju. Do tego połowa koni to ogiery, które nie dają mleka, podobnie jak połowa bydła rogatego — to byki. Hodowla odbywa się w sposób najzupełniej naturalny, bez selekcji. A przecież tak dawniej, jak i teraz, właśnie hodowla jest najbardziej opłacalnym — niemal jedynym opłacalnym — rodzajem gospodarki narodowej. Przemysł w warunkach mongolskich jest na

ogół deficytowy. Skóry zaś i mięso można sprzedać zawsze.

Hodowla... Wielkie stada zwierząt wędrujące swobodnie po stepie, zimą i w lecie, zawsze na wolności, bez żadnych zagród, obór czy stajni. Na powietrzu nawet przy czterdziestostopniowych mrozach. Dlatego są wytrzymałe i dlatego też mało wydajne — tak samo jak w czasach wędrowek ludów. Odporne — ale i ginące masowo. Jeśli zimą spadnie zbyt duży śnieg, by zwierzęta mogły spod niego wygrzebać pożywienie, wtedy przychodzi „dzut”, czyli wielkie padanie bydła. To „biały dzut”, ale jest i „czarny”. Ten drugi zdarza się w lecie, podczas suszy.

W roku 1965 było w Mongolii około 24 milionów sztuk bydła. W tym 700 tysięcy wielbłądów, 2 430 tysięcy koni, 2 100 tysięcy krów, 13 840 tysięcy owiec, 4 800 tysięcy kóz. Te ogólne liczby prawie się nie zmieniają od wielu już lat. W latach 1966—67 ilość bydła wprawdzie wzrosła, ale w roku 1968 „dzut” pochłoniął prawie 5 milionów sztuk zwierząt. A przecież już w latach dwudziestych eksperci i rewolucyjny rząd mongolski zgodnie uważali, że kraj może bez trudu hodować co najmniej 60 milionów sztuk bydła albo i więcej.

Nie udało się dotąd osiągnąć poważnego wzrostu hodowli. Jednocześnie w ciągu ostatnich czterdziestu lat zorganizowano w Mongolii nowoczesną służbę zdrowia i radykalnie zmniejszono śmiertelność wśród dzieci, przedłużono czas trwania ludzkiego życia, zwiększając tym samym przyrost naturalny ludności. W rezultacie, jeśli w roku 1947 na każdego mieszkańca przypadało 2,6 konia, 2,4 krowy oraz 14,1 owiec — to w roku 1965 liczby te przedstawiały się następująco: 2,2; 1,9 i 12,5.

Jest się nad czym zastanowić. Przecież według danych z roku 1960 bydło, wełna, skóry i przetwory mięsne stanowiły łącznie 88,6 procent całego mongolskiego

eksportu. Proporcje te nie uległy większej zmianie do dziś. Dlatego niektórzy znawcy mongolskiej gospodarki twierdzą, że każda inwestycja przemysłowa, która pochłania środki, jakie można by przeznaczyć na rozwój hodowli, oznacza w gruncie rzeczy zubożenie kraju — i, że Mongolia relatywnie ubożeje. Nie osiągnięto też, tak swego czasu zalecanego, wzrostu produkcji rolniczej, a ściślej produkcji zboża i siana. Zanotowano nawet zmniejszenie produkcji, co wiąże się z przeprowadzoną w latach 1956—57 kolektywizacją. O ile w roku 1957 produkcja siana (które ma wielkie znaczenie jako zimowa pasza dla bydła) wynosiła 1590 tysięcy ton, to w roku 1965 wynosiła ona 917 tysięcy ton.

I tak docieramy do zasadniczego pytania, które wciąż zadawałem sobie podczas pobytu w Ułan Bator, w czasie zwiedzania pokazywanych mi z dumą zakładów przemysłowych i przy wizytach w stepowych somonach: jaka będzie przyszłość tego kraju, czym jest i czym będzie socjalizm w Mongolii? Jest przecież rzeczą jasną, że utarte europejskie formuły tutaj nie wystarczają, zwłaszcza że i w Europie też patrzy się dziś na wiele rzeczy inaczej.

Przez lata odpowiedź brzmiała tak jak w podręczniku: socjalizm w Mongolii, podobnie jak i w innych krajach, oznacza wszechstronny rozwój i unowocześnienie kraju, oznacza jego intensywne uprzemysłowienie. W pewnych dziedzinach, jak w oświacie, osiągnięto bardzo wiele. W roku 1940 było w szkołach ogólnokształcących 26 tysięcy uczniów — dziś jest ich 190 tysięcy. Studentów było w roku czterdziestym półtora tysiąca — dziś jest jedenaście tysięcy. W Mongolskiej Akademii Nauk i podległych jej zakładach pracuje ponad tysiąc osób. Natomiast sprawa uprzemysłowienia okazała się bardziej skomplikowana niż sądzono. Kraj w samym sercu Azji, z dala od wielkich centrów przemysłowych

i komunikacyjnych ma ogromne trudności w rozwijaniu wielkiego przemysłu. Tym bardziej że nie ma go kto rozwijać, jako że wszędzie, w każdej dziedzinie brakuje ludzi. Pewien znawca zagadnienia powiedział mi:

— Wciąż się tutaj słyszy powiedzenie: potrzeba nam ludzi, bo nie możemy rozwijać przemysłu. Ale skoro nie ma ludzi, którym by trzeba zapewnić pracę — to po co koniecznie rozwijać przemysł? Czy ludzie są dla przemysłu, czy przemysł dla ludzi?

Nie ulega zatem wątpliwości, że w Mongolii, gdzie powietrze jest przejrzyste, step szeroki, a ludzi mało, łatwiej niż gdzie indziej zaobserwować, dokąd prowadzą pewne wyniesione z przeszłości obciążenia dogmatyczne, dające o sobie znać i w innych, bardziej rozwiniętych krajach. Chodzi po prostu o pytanie: czy celem socjalizmu jest produkcja przemysłowa, czy może raczej poprawienie warunków życia ludzi, ustanowienie między nimi bardziej sprawiedliwych stosunków, a ponadto: rozwój kultury, umożliwienie ludziom bardziej wszechstronnego rozwijania ich osobowości? Jeżeli rozwój przemysłu może — w swych końcowych efektach — służyć tym celom, to w porządku. Ale jeśli nie służy, a nawet przeszkadza?

Oto pytanie. Czy socjalizm w Mongolii naprawdę musi oznaczać uprzemysłowienie? Czy cały świat powinien zostać pokryty fabrykami? Chyba nie.

W Mongolii zlikwidowano pasożytniczy kościół lamaicki, który trzymał z dala od życia narodu i od pracy produkcyjnej niemal połowę wszystkich mężczyzn, podczas gdy reszta ludności musiała na nich pracować. Zlikwidowano system feudalny, zadłużenie aratów, czyli chłopów, lichwiarski wyzysk. Rozwinięto oświatę i służbę zdrowia, zapewniono równość wobec prawa i równość szans. Nadal jednak pozostaje pytanie: jak najskuteczniej i najszybciej podnieść ogólny poziom życia? Sądzę,

że jak w każdym innym kraju, wszystkie środki powinny służyć temu właśnie celowi. Oznacza to położenie nacisku na te dziedziny, w których można osiągnąć najlepsze efekty w sposób możliwie najprostszy i zrozumiały dla narodu. W Mongolii oznacza to przede wszystkim rozwój hodowli, czyli tej dziedziny, która jest najbardziej opłacalna, na której Mongołowie się znają i która wzbudza powszechne zainteresowanie; nie oznacza natomiast budowy hut w stepie.

I tak właśnie zaczyna się tam obecnie pojmować dalszy rozwój. Coraz powszechniejsza staje się świadomość, że podstawowym bogactwem naturalnym kraju jest step i wielka hodowla, tradycyjne źródło bogactwa narodowego. Żeby zapobiec czarnemu „dzutowi”, kopie się setki studzien. Żeby zapobiec białemu, rozwija się produkcję paszy na zapas, umacnia opiekę weterynaryjną, buduje piętnaście tysięcy krytych, drewnianych zagród dla bydła, w których będzie ono spędzało zimę. Dziewiczy, stepowy krajobraz Mongolii zmienia się nieodwracalnie — nie poprzez kominy fabryczne, ale właśnie przez podobne do podhalańskich zagrody — widomy znak ludzkiej ręki, dostrzegalny dziś już niemal wszędzie.

Jest w tej zmianie głęboka mądrość: dostosowanie się do warunków, w jakich przyszło żyć, i próba wyciągnięcia z nich jak najwięcej korzyści. Przecież rozwijając hodowlę i udoskonalając ją, a jednocześnie budując tylko taki przemysł, jaki jest pomocny hodowli — Mongolia może się stać zamożnym i kwitnącym krajem. I to nie łamiąc tradycji, lecz przeciwnie — wykorzystując je.

Wiele poznanych w Ulan Bator ludzi, zwłaszcza wśród działaczy, ludzi kultury, dziennikarzy, nie oswoiło się jeszcze z nowym podejściem do sprawy. Wciąż uważają, że ich kraj, aby się unowocześnić, powinien jednak budować przemysł. Jest w tym patriotyczne pragnienie,

aby ich ojczyzna zajęła równe miejsce wśród innych narodów. Uważają, że — jak to głoszono dawniej — Mongolia powinna stać się krajem przemysłowo-rolniczym. A przecież nie mają racji. Obfitość kumysu nie jest wcale sprzeczna z socjalizmem.

Zostałem przyjęty przez Prezesa Mongolskiej Akademii Nauk, profesora Szyrendyba. Szczupły, szpakowaty pan o ujmującym sposobie bycia odgrywa wybitną rolę w swym kraju. Zna też dobrze Polskę, jest przewodniczącym Towarzystwa Przyjaźni Mongolsko-Polskiej, ma wiele zaprzyjaźnionych ludzi w polskim środowisku naukowym.

Profesor opowiedział mi o osiągnięciach Instytutu Historii, który opracował trzytomową historię Mongolii, pierwsze takie dzieło na świecie, prowadzi prace archeologiczne, obejmuje badaniami zarówno okres prehistoryczny, jak epokę świetności państwa mongolskiego, okres przedrewolucyjny i dzieje najnowsze. Opublikowano wiele dokumentów, wydano kilkadziesiąt monografii. W ubiegłych latach niektórzy ludzie głosili pogląd, że zajmowanie się dawną historią kraju nie jest wskazane, ponieważ brakowało w niej tradycji rewolucyjnych. Chcieli oni odciąć się od historii i tradycji, jednak dziś uważa się, że pogłębianie znajomości dziejów ojczystych umacnia poczucie narodowe, służy patriotycznemu wychowaniu mas.

Ten sam cel przyświeca pracom Instytutu Języka Mongolskiego i Literatury, który wydał już wiele starych pomników piśmiennictwa mongolskiego, a także historię literatury, gramatykę nowego i starego języka, wreszcie słownik staromongolski. W przygotowaniu jest pełny słownik, dalej zbiór ustnej literatury z całej Mongolii i atlas etnologiczno-lingwistyczny. Wszystko to ma

służyć utrwaleniu języka i dzieł kultury mongolskiej, dalszym badaniom i rozwojowi kultury współczesnej.

— Nasza kultura — podkreślał z naciskiem — ma już tysiąc lat.

Ja jednak chowałem w zanadrzu jeszcze i inne pytanie. Profesor Szyrendyb jest autorem cytowanej już książki, której tytuł w przekładzie na polski brzmi: „Przeskoczywszy kapitalizm”. Jest to popularny wykład historii rozwoju Mongolskiej Republiki Ludowej, jej osiągnięć i perspektyw. Jest w tej książce wiele interesujących stwierdzeń i obserwacji, przedstawia ona w wymowny sposób poziom, z którego Mongolia startowała do swego skoku we współczesny świat. Profesor Szyrendyb pisze: „Jakie było rzeczywiste podłoże wyboru niekapitalistycznej drogi rozwoju w historycznych warunkach lat 1924—25? W tym czasie Mongolia nie miała ani przemysłu, ani proletariatu. Miała jednostronnie rozwiniętą gospodarkę opartą o koczowniczą i niezmiernie zacofaną hodowlę bydła, podczas gdy całkowicie niepiśmienna ludność była pod silnym ideologicznym wpływem Kościoła Buddyjskiego”.

A oto dalsze fragmenty wywodu profesora: „Młode państwo ludowe nie mogło od razu rozpocząć zakrojonej na szeroką skalę i różnorodnej produkcji przemysłowej. Nie miało na to ani doświadczenia, ani dostatecznych środków finansowych, nie miało specjalistów technicznych, ani nawet robotników z podstawowym zasobem umiejętności... W latach 1928—34 można było przeznaczyć z budżetu państwa na potrzeby przemysłu zaledwie 18 milionów tugrików... Rozwój przemysłu przyniósł w rezultacie utworzenie narodowej klasy robotniczej; składała się ona głównie z robotników rolnych, ubogich chłopów i niższego kleru”.

Jest to bardzo wymowna analiza. Ale mnie interesowało jeszcze coś więcej: konkluzja wynikająca z tytułu

książki. Profesor Szyrendyb pisze w zakończeniu: „Doświadczenie mongolskie wskazuje w jasny i wyczerpujący sposób, że każdy kraj, w którym przeważają stosunki przedkapitalistyczne, może z powodzeniem uniknąć fatalnego stadium rozwoju kapitalistycznego i dojść do socjalizmu pod kierownictwem swej partii marksistowskiej i przy pomocy krajów socjalistycznych”.

Zadałem pytanie:

— Czy rzeczywiście wszystko jest już tak jasne i ostatecznie rozstrzygnięte? Kapitalizm był przecież ważnym okresem w rozwoju społeczeństw, oznaczał on nie tylko wyzysk człowieka przez człowieka, ale także wielki rozwój organizacji pracy i wysoką wydajność; wytworzył tradycje klasy robotniczej i ugruntował w niej szacunek dla pracy, zaszczepił nawyki dobrej roboty, stworzył pewne formy sprzyjające rozwinięciu masowej produkcji dóbr powszechnego użytku. Czy można zatem po prostu przeskoczyć ten etap, jakby to była tylko dokuczliwa i niepotrzebna przeszkoda? A jeśli tak, to w jaki sposób można przyswoić sobie owe społeczne osiągnięcia kapitalizmu bez powtarzania jego wszystkich doświadczeń? My, w Polsce, jak również inne kraje socjalistyczne, wciąż jeszcze nie rozwiązaliśmy ostatecznie tego problemu. Czy mogła go więc rozwiązać Mongolia? I czy nie wynika z tego, że tytuł książki jest nieco zbyt optymistyczny?

Prezes Akademii odpowiedział:

— To trudne, ale w oparciu o teorię marksistowską można to osiągnąć. Uczy ona, że kraj zacofany może tego dokonać przy pomocy bardziej rozwiniętych krajów socjalistycznych. Nasza partia stosuje tę teorię w praktyce. Nasze doświadczenie dowodzi prawidłowości tej teorii. Gdyby nie było krajów socjalistycznych, Mongolia pozostałaby w ustroju feudalnym. Obecnie dzięki partii, dzięki władzy ludowej i pomocy krajów socjalis-

tycznych stworzyliśmy warunki potrzebne dla dorównania krajom rozwiniętym. Nasze doświadczenie pokazuje, aby dorównać tym krajom, nie trzeba koniecznie przechodzić przez okres kapitalistyczny.

Mimo wszystko metafora wydała mi się bardzo śmiała. Pomyślałem, że trzeba będzie jeszcze wiele trudu, a zwłaszcza wiele śmiałego, nie skrępowanego dogmatami myślenia, by Mongolia mogła rzeczywiście dorównać krajom rozwiniętym. Złożyłem wizytę w Komisji Planowania przy Urzędzie Rady Ministrów. Przedstawiono mi tam w zwięzły sposób główne myśli nowego planu pięcioletniego na lata 1971—75. Oto one. Przewiduje się dokończenie inwestycji zaczętych przy pomocy krajów socjalistycznych. Planuje się rozwój przemysłu paliwo-wo-energetycznego, budowlanego, skórniczego, eksploatacji bogactw naturalnych. Przede wszystkim jednak będzie położony nacisk na przemysł lekki. Nowy plan można nazwać planem umocnienia tego, co już zbudowano i rozwoju przemysłu opartego o bogactwa naturalne i hodowlę.

Zapytałem:

— Czy to oznacza lepsze dostosowanie planu do naturalnych możliwości kraju?

Odpowiedziano mi:

— Tak jest, takie jest właśnie podstawowe założenie planu.

#### IV

— Była cisza, taka ogromna, aż groza brała, wszystko nieruchome, tylko dym szedł słupem do góry. W nocy była awaria. Nie można było czekać, trzeba było natychmiast wziąć się do roboty.

Zanotowałem te słowa w brulionie pod tytułem: „Opowieść o pięćdziesięciu stopniach mrozu”. Opowiadał kie-

rownik grupy polskich ekspertów w Darchanie, inżynier Rajmund Rzepecki, powszechnie lubiany „SzeŹ”, znakomity fachowiec, a także wędkarz, myśliwy i gawędziarz. Był czerwiec, było gorąco, ale z opowieści „Szefa” wiało okrutnym zimnem. Mróz — o tym mówią tu wszyscy, kiedy się ich pociągnie za język. Straszliwy mróz, sięgający pięćdziesięciu, niekiedy nawet sześćdziesięciu stopni, chwytający już we wrzeźniu, odpuszczający w maju. Jeden z polskich inżynierów opowiadał mi, jak to w stepie popsła mu się ciężarówka. Przetrwali do rana masując sobie nawzajem nogi i ręce. Myśleli, że nadeszła ostatnia godzina. Ktoś inny opowiadał, że odbył kilkukilometrowy marsz tyłem, bo bał się odwrócić. Było czterdzieści stopni i zerwał się wiatr...

— Bałem się. Bałem się jak dziecko. Marsz przodem był fizycznie niemożliwy. Z przodu wiał wiatr...

A przecież oni nie są dziećmi. To diabelnie twarde chłopy. Trudno tam żyć, jeszcze trudniej budować. Bo najpierw jest klimat: wyżynna zima mongolska, zaczynająca się w końcu wrzeźnia. Lody z rzek schodzą dopiero w maju, a wkrótce potem zaczyna się lato: upały, burze pyłowe, plaga komarów. Potem jest odległość: siedem tysięcy kilometrów od domu, poczta pracuje nie najlepiej, trzeba czekać na listy i na części zamienne do maszyn.

Dalej jest plejada przyziemnych, prozaicznych trudności, pozornie mało ważnych, ale po dwóch czy trzech latach pobytu dających się mocno we znaki. Na przykład kuchnia. Mongolskie jedzenie, oparte głównie na tłustej, gotowanej baraninie, tak dalece się różni od polskiego, że staje się dla Polaków prawdziwym utrapieniem. Przede wszystkim zaś jest wielka odpowiedzialność, by dzieło, którego się Polska podjęła, zostało wykonane, by przyniosło korzyść i nam, i gospodarzom. A to nie jest łatwe, ponieważ wszystko jest tam budo-

wane po raz pierwszy, w surowych warunkach, bez przeszkolonej czy mającej choćby jakieś doświadczenie kadry. Trzeba zatem nie tylko uruchomić maszyny — ale i ludzi.

Polacy zbudowali w Darchanie pierwszy w Mongolii zakład produkcji cegły silikatowej. Teraz pokazują z dumą w Ułan Bator i w innych miejscowościach charakterystyczne, białe domy z polskiej cegły. Nie wystarczyło jednak zbudowanie zakładu ani uruchomienie go. W Darchanie musiała pozostać polska ekipa, by jeszcze przez parę lat pilnować eksploatacji, ponieważ mongolscy inżynierowie i robotnicy „uczą się w biegu”. Nasi są więc doradcami, a taka rola nie jest nigdy łatwa. Niby to nie ponoszą już odpowiedzialności za pracę fabryki, ale jeżeli nastąpi jakaś awaria albo gdy są trudności z wykonaniem planu — wtedy odpowiedzialność spada głównie na doradców.

Mongołowie nie mają tradycji pracy w przemyśle — bo i skąd ją mają mieć. Dlatego Polacy nie tylko dzielą się umiejętnościami technicznymi, ale muszą być także nauczycielami w dodatku o dużych zdolnościach dyplomatycznych. Niełatwa to rzecz przy czterdziestostopniowym mrozie. Sprawy układają się zwykle w taki sposób, że gdy wśród mongolskiej załogi czy dyrekcji wybucha jakiś spór — doradcy siłą rzeczy muszą grać rolę rozjemców. Na szczęście stosunki polsko-mongolskie układają się w budowanych fabrykach bardzo dobrze.

Początkowo było sporo nieporozumień wynikłych z obopólnej nieznamości. Kiedy przed paru laty Polacy przyjechali do Charchorinu, gdzie następnie zbudowali elektrownię i zakład utylizacji padłych zwierząt — z Charchorinu wyjechały właśnie brygady chińskie, które prowadziły tam dotąd pracę przy budowie kanału i stopnia wodnego na rzece Orchon. Chińczycy mieszkali w polu, a żywili się ryżem gotowanym nad ogniskami.

Miejscowa ludność mongolska nie zdawała sobie sprawy, że mogą być cudzoziemcy o innych wymaganiach, nie bardzo wiedziały o tym i miejscowe władze. Kiedy okazało się, że Polacy, by móc pracować, potrzebują mieszkań, łóżek i innych mebli, kuchni, różnorodnego zaopatrzenia — wywołało to ogromne zdziwienie.

Wkrótce jednak okazało się, że czterdziestu Polaków zorganizowało i kieruje pracą, do której trzeba by prawdopodobnie tysięcy mniej wykwalifikowanych ludzi. Ponadto szkołą załogę mongolską. I wreszcie przenoszą na tutejszy grunt nawyki pracy i życia w krajach rozwiniętych. I wtedy polskie wymagania przestały rażać, a polskie mieszkania stały się celem codziennych wizyt. Goście, którym zaimponowały europejskie umiejętności, przychodzili popatrzeć, jak to się w Europie żyje...

Polacy w Charchorinie zorganizowali sobie życie nad podziw sprawnie. Kierownik polskiej grupy, inżynier Eugeniusz Duraj, wytrawny organizator, który zbudował w Polsce niejedną elektrownię, bardziej chyba niż wznoszonymi zakładami chlubił się stołówką. Polacy własnoręcznie wyremontowali stary barak, ściągnęli z Polski kucharza i skutecznie rozwiązali problem wyżywienia.

Było to ważne, bo praca jest ogromnie ciężka. Roboty montażowe przy precyzyjnych przyrządach: turbinach, generatorach, aparaturze sterowniczej często zmuszają inżynierów i wysoko wykwalifikowanych majstrów do przemieniania się w zwykłych robotników. Wszak nikt z mongolskich pracowników czegoś takiego dotąd nie robił. I tak inżynier-elektryk Zdzisław Dzitko własnoręcznie przeciągał kable, specjalista od urządzeń sanitarnych, inżynier Bielecki, sam montował kran, inżynierowie Pajączkowski, Zachar, Machcewicz, Miłkowski montowali turbiny, dokręcali mutry, pilnowali robót betoniarskich i ciesielskich.

Byłem świadkiem w Darchanie, w niedzielę, awarii dźwigu przy jednym z kilkupiętrowych pieców. Natychmiast nastąpił podział polskiej gromadki na dwa oddziały. Jeden ruszył, by własnoręcznie zdemontować i naprawić uszkodzony dźwig. Drugi uwięził mnie na ryby.

W Darchanie mieszka się lepiej niż w Charchorinie, ale żyje gorzej. Jest tam zbyt mało Polaków, aby opłacało się uruchamiać stołówkę. Więc ci, którym choć na krótko udało się sprowadzić z kraju żony, chodzili — kiedy tam byłem — najedzeni i zadowoleni. Natomiast pozostali pichcili sobie sami, twierdząc z uporem, że im to znakomicie idzie. W cztery oczy natomiast przyznawali się, że z obiadami bywa rozmaicie. Dlaczego nie przyjechało tam więcej rodzin? Ponieważ kobietom i dzieciom trudno wytrzymać darchańską zimę, ponieważ nie ma polskiej szkoły, ponieważ egzystencja jest diabelnie monotonna. Tak więc życie codzienne w Darchanie ma swoje trudne momenty, o których nasza załoga wyniośle milczy.

Tak to wygląda od strony schodów kuchennych. Natomiast praca idzie dobrze, nawet bardzo dobrze. Pod czujnym okiem naszych doradców zakład silikatów zaczął wykonywać plany i obniżyć koszt produkcji. Było to ważne, ponieważ początkowo, kiedy załoga mongolska nie potrafiła jeszcze dobrze sobie radzić, koszty były wysokie, a Polacy żartowali, że jest to najdroższa cegła silikatowa na świecie. Mongolska załoga daje sobie jednak coraz lepiej radę z nowoczesną produkcją. Młodziutcy inżynierowie, jak Dawaa czy Bassan, bystrzy i pojętni, uważnie podpatrują naszych, co jest — prawdę powiedziawszy — o tyle ułatwione, że polskiej ekipie bardzo na tym podpatrywaniu zależy. Zabawne posłuchać, jak nasi majstrowie wołają do swych skośnookich i kościopoliczkowych uczniów:

— Maryśka, Franek, Józek — gdzie do pioruna podział się śrubstak?

Maryśka naprawdę nazywa się Cegmir, Franek — Sodnom, ale śrubstak, to śrubstak. I wszyscy się rozumieją.

A w chwilach wolnych Polacy jeżdżą na ryby: nad Orchon, Iro, nad Selengę. Nasłuchałem się niemało opowieści o tajmieniach. Inżynier Rzepecki, który ma na swym koncie piętnastokilogramową sztukę, opowiadał mi, że była to najmądrzejsza ryba, jaką widział w życiu:

— Był taki mądry, tak chytrze się bronił, że kiedy go już wyciągnąłem na brzeg, to zdjąłem przed nim czapkę...

Mongolskie ryby, rzeki, przyroda — musiałem sam tego spróbować.

Pojechaliśmy w kilku do miejsca, gdzie rzeka Iro wpada do Orchonu. Jechaliśmy początkowo drogą, która na mapie widnieje jako pierwszorzędna szosa, ale w rzeczywistości jest to wyjeżdżony trakt stepowy, bez nawierzchni, za to z głębokimi dziurami tworzącymi czasem prawdziwe wąwozy, które lepiej omijać bokiem, tam gdzie zachowała się jeszcze trawa. Step był czerwony i kwitnący, przez opuszczone boki łązika wpadał na przemian zapach kwiatów i kurzu. Spomiędzy traw co chwila unosiły się stada spłoszonych ptaków albo wybiegały żurawie, które oddalały się pośpiesznym krokiem z taką miną, jakby mówiły:

— Ze też nawet tutaj porządny ptak nie może mieć spokoju!...

Później zjechaliśmy z głównej drogi w bok i teraz przedzieraliśmy się wśród skalistych wzgórz schodzących do rzeki. Jechaliśmy już nie drogą, lecz ścieżką, na której i koń musiałby bardzo uważać, żeby nie zła-

mać nogi. Silnik pracował głównie na pierwszym biegu, terenowy wóz wspinał się po zboczach omijając co większe głazy, a nieraz musiał najeżdżać na nie dwoma kołami, bo chociaż zawieszony wysoko, nie zdołałby się nad nimi prześliznąć. Jechaliśmy przez kamienistą pustkę urozmaiconą tylko zwieszającymi się tu i ówdzie z urwisk kwitnącymi krzakami.

Wyjechaliśmy wreszcie na pokrytą żwirem równinę. Dalej ciągnęły się gęsto zarośnięte krzakami grzędzawiska. Gdzieś za gęstwiną płynęła Iro, a jeszcze dalej było jej ujście do Orchonu, wielkiej rzeki, której szum był jednym z pierwszych dźwięków, jakie w dzieciństwie usłyszał Czyngis-chan. Zatrzymaliśmy samochód, wyciągnęliśmy torby rybackie, gumowe buty i wędki. Trzeba było zmontować sprzęt, a potem ruszyć przedzierając się przez gąszcz ku rzece, gdzie po raz pierwszy miałem stanąć na brzegu mongolskiej wody, rzucić błysk w jej szybki nurt, a potem, skręcając kołowrotek czekać, czy z nieznanej mi jeszcze toni przyjdzie odzew, który wydiera wędkę z rąk, a serce z gardła. Tak długo czekałem na tę chwilę, tyle się nasłuchiwałem i naczytałem o tych wodach, tyle razy je sobie wyobrażałem...

Włożyłem gumiaki, złożyłem spinningowe wędzisko, założyłem kołowrotek. Przeciągnęłem żyłkę poprzez przelotki, przypiąłem błyskę, umocowałem ją przy rękojeści, żeby nie spadła mi w czasie marszu, zarzuciłem torbę na ramię. Byłem gotowy. Któryś z moich towarzyszy zapytał:

— A co pan założy na twarz?

— Zwykle zakładam coś na wędkę — powiedziałem. — Jakaś błyskę albo coś takiego. Ale na twarz nigdy niczego nie zakładam.

— Bardzo dobrze. Tak można łowić w Polsce, ale nie tutaj. Komary i muchy zjedzą pana w pół godziny. Ucieknie pan znad wody.

Dał mi szeroką chustę, którą wetknąłem z lekceważeniem do kieszeni. A potem ruszyliśmy ku wodzie. Marsz był ciężki, nogi zapadały się w kleiste, kłaskające bagnisko, trzeba było skakać z kępy na kępę. Bliżej rzeki zastąpiły nam drogę krzaki wikliny, podobne do nadwiślańskich, tylko bardziej uparte. Inaczej niż nad Wisłą nie można w nich było znaleźć żadnej przerwy, żadnej ścieżki wyciętej przez wędkarzy czy przetartej przez krowy. Była to nienaruszona ściana. Posuwaliśmy się metr po metrze. Chwilami trzeba było odwracać się tyłem i przepychać siłą, na podobieństwo buldożera, kiedy indziej wykorzystywać szczeliny tuż nad ziemią i przeciskać na czworakach. Od pierwszej chwili otoczyły nas czyhające w tej gęstwinie chmury owadów. Skupiły się wokół naszych głów, wypełniały każdy centymetr przestrzeni, obsiadały czoło i policzki grubą warstwą, której nie można było odpędzić, tylko zetrzeć, ale za sekundę znowu się pojawiały, wpychając do nosa, zaklejając oczy, włączając do ust. Była to prawdziwa średniowieczna plaga, zupełne przekleństwo, coś, z czym nie można sobie poradzić i czemu nie można nawet ulec. Ogarnięty paniką i złością wyciągnąłem z kieszeni zlekceważoną chustę, owinąłem głowę, twarz i kark, zostawiając tylko wąską szparę na oczy. Musiałem teraz przypominać palestyńskiego fedaina, ale nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby mi to powiedzieć. Rozproszyliśmy się i każdy przedzierał się ku rzece na własną rękę, otoczony własną chmurą komarów.

W chwili, gdy poprzez ścianę wikliny ujrzałem przebłęskującą wodę, dobiegło mnie podniecone wołanie. Ktoś krzyczał:

— Chodźcie! Chodźcie tutaj! Szybko! Pomóżcie!...

Jeszcze jeden wysiłek i znalazłem się na brzegu. Był tam nie zarośnięty pas szerokości metra albo dwóch, wznoszący się wysoko ponad wodą, do której spadał

stromym urwiskiem. W pewnej odległości na lewo ode mnie widać było pochylone ku wodzie drzewo, którego jeden konar był zanurzony w rzece. Przy drzewie stał, trzymając się ręką pnia, jeden z moich towarzyszy. W drugiej ręce miał wędkę. Wystarczył rzut oka na wygięty w łuk fiberglasowy kij, by zorientować się, że tam coś jest. Podbiegłem tupiąc gumiakami, nadbiegali też inni.

— Szczupak, duży szczupak! — powiedział wędkarz. — Nie mogę go wyjąć. Zaplątał, cholera, żyłkę w gałęzie!

Przyjrzałem się wodzie w miejscu, gdzie ginęła żyłka wysnuta ze spinningu. Głęboko, z pół metra albo i metr pod leżącym na wodzie konarem widać było niewyraźny zarys szczupaczego ciała, zielonocznego, a miejscami jaśniejszego. Widać też było, że żyłka zaplątała się w zanurzone w wodę gałęzie. Szczupak co chwila próbował dać susa w głąb, ale nie pozwalała mu na to żyłka. Na szczęście gałęzie uginały się, ryba była więc na elastycznej uwięzi i trudno jej było się zerwać. Ale jak ją wyjąć? Było to ze dwa metry od brzegu, za daleko, by sięgnąć ręką. Wejść do wody? Czarna głębia pod pochylonym drzewem była dostatecznie wymowna, a na rozbieranie się w obecności dziesięciu milionów komarów nikt nie miał ochoty. Znalazłem długi kij, którym spróbowałem odczepić żyłkę. Wisiałem tuż nad wodą na jednej ręce i jednej nodze i starałem się delikatnie odwinąć wędkę z gałęzi. Odczepiłem w jednym miejscu, w drugim, potem w trzecim. Wciąż widziałem stojącego głęboko w wodzie szczupaka. Zobaczyłem też, jak w pewnej chwili odpocząwszy już trochę machnął ogonem i jak torpeda wbił się w mrok głębokiej wody. Z tyłu usłyszałem westchnienie:

— Poszedł sk.... syn.

Wygrzebałem się na brzeg. Widocznie ostatnia gałąź

stawiła energiczny opór i ryba zdołała urwać żyłkę. Było mi bardzo głupio. Ten szczupak miał chyba ze trzy kilogramy, może nawet więcej. W Polsce trzeba czasem rzucać ze dwa tygodnie, zanim się złowi takiego. Przeprosiłem towarzysza, że mu zmarnowałem rybę. Machnął ręką:

— Nie ma o czym gadać, tutaj jest ich więcej. Ten wziął za pierwszym rzutem.

Dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że pechowy wędkarz wyszedł na brzeg nie wcześniej niż trzydzieści sekund przede mną. A więc to tak! Wychodzi się na brzeg, rzuca — i jest! Prawdę mówili o tej Mongolii... Zapomniałem o komarach, o zmarnowanym szczupaku, o towarzyszach. Ruszyłem przed siebie wzdłuż brzegu, w prawo od zanurzonego drzewa. Odczepiłem błystkę od rękójści i szukałem wzrokiem miejsca, w którym warto by zacząć. Ale mnie nie chodziło o szczupaki. Czekałem na tajmienia, tajemniczą, mądrą, piekielnie silną rybę, która czai się na granicy nurtu, w pobliżu środka rzeki. Trzeba rzucać daleko i zacinać przy każdym zatrzymaniu błystki. A potem zaczyna się walka i nigdy nie wiadomo, czym się ona skończy.

Pierwszy rzut. Błystka ląduje w pobliżu zarysowanego wyraźnie głównego nurtu, w miejscu, gdzie woda już się nie kotłuje, lecz przechodzi w spokojne wirowanie. Jestem zadowolony, to dobry rzut. Czekam chwilę, aż błyszcz opadnie do dna, potem zaczynam kręcić korbą kołowrotka. Jakiż jestem napięty! Dopiero po chwili spostrzegam, że palce obejmujące rękójść wędki zupełnie mi zbieleły i chyba mi się trzęsą nogi. Opanowuję się, ale wciąż jestem jak zwinięta sprężyna. I kręcę. Nie wierzę własnym oczom widząc błystkę tuż przy brzegu, wychodzącą już na powierzchnię. Pierwszy rzut pusty. Nic to. Zaraz będzie drugi.

Potem był drugi i trzeci, i pięćdziesiąty, i setny. Sze-

dłem wzdłuż brzegu, coraz dalej, chwilami przedzierając się znów przez zarośla, czasem zdejmując buty i spodnie, brnąc przez płytkie, wpadające do rzeki potoki. Rzuciałem. I nic. Wiele razy czułem twardy opór na końcu wędki, przelatywała przeze mnie błyskawica koncentracji, zaciąłem — i był to za każdym razem zaczep, zwyczajnie, jak to na nieznannej rzece. Ani jednego prawdziwego uderzenia.

Szedłem wciąż dalej. Nie wiedziałem już, jak daleko jestem od miejsca, w którym wyszliśmy nad rzekę, zacząłem też na nowo boleśnie odczuwać nieustającą obecność komarów. Czarna, zębata, potworna jak u przedpotopowych zwierząt paszcza tajmienia, którą tak wyraźnie przedtem widziałem przed sobą, zaczęła się zacierać i błędnać. Mniej zwracałem już uwagę na granicę nurtu, gdzie powinny być tajmienie, a gdzie ich nie było albo robiły mi na złość, bardziej przyglądałem się miejscom, gdzie mogły być szczupaki. I wtedy, może za dwusetnym rzutem — przyszło szarpnięcie. Zaciąłem, ale jeszcze nie wierzyłem, dopiero drugie szarpnięcie, już wyraźne, wyginające kij i wysnuwające żyłkę z kółwrotka przekonało mnie, że jednak coś jest. To było tak samo, jak na Mazurach, o siedem tysięcy kilometrów stąd.

Walka nie trwała długo, wkrótce wyjąłem szczupaka ręką i wyrzuciłem na brzeg. Był nieduży, około kilograma, nie po to przyjeżdżałem do Monogolii, by łapać kilowe szczupaki. Ale na początek... Zabiłem rybę nożem, jak to zawsze robię, żeby się nie męczyła bez wody. Położyłem ją w trawie i wyjąwszy błysk ze szczupaczego pyska — rzuciłem ponownie w pobliże szczęśliwego miejsca. I wszystko powtórzyło się po raz wtóry. Szarpnięcie, holowanie, wyrzucenie ręką na brzeg. Drugi był trochę lepszy, ale też niezbyt okazały. Szedłem dalej wzdłuż brzegu, rzucając i wiedząc, że woda nie

jest pusta, ten pierwszy szczupak, tam, pod drzewem, nie był kpina z mnie i ja też mogę coś tutaj złowić. Potem był trzeci szczupak, tym razem już znacznie lepszy, potem czwarty — znów kilogramowy. Cztery sztuki jednego dnia — to już nieczęsto zdarza się na Mazurach.

Przeszedłem już wiele kilometrów. Od dawna nie widziałem człowieka. Było pusto i cicho. Słońce zniżało się ku zachodowi. Znalazłem się nad niedużą zatoczką, w której woda krążyła powoli i statecznie, tylko przy brzegu było trochę żółtobiałej piany przyniesionej z nurtu. Rozejrzałem się leniwie, zapaliłem papierosa. Z tyłu za mną rosła ta sama dżungla zarośli. Po drugiej stronie rzeki, za pasem wiklin widać było trawiasty step i kamieniste wzgórze, brunatnozielone, oświetlone ukośnymi promieniami słońca. Było we mnie wielkie zmęczenie, ale i pewność, że znalazłem się nad rzeką nienaruszoną, taką, jakie były przed wiekami, rzeką, która wciąż jeszcze żyje według własnych praw, ponieważ nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie ma nad nią człowieka. Wiedziałem, jak trudno znaleźć takie rzeki we współczesnym świecie, nawet w Afryce. Ja znalazłem to po raz pierwszy — i być może ostatni w życiu. Siedziałem w chmurze komarów i było mi dobrze.

Potem podniosłem się i rzuciłem błysk daleko ku środkowi rzeki, z takim wyliczeniem, by wracając przeciął zatoczkę dokładnie przez środek. Po chwili poczułem twarde opór. Nie było to uderzenie ryby, tylko takie twarde zaparcie, jak kiedy się zahaczy o zatopioną gałąź albo po prostu kamień. Zaciąłem dla porządku, by nie mieć sobie nic do wyrzucenia i spokojnie czekałem, chcąc za chwilę przystąpić do odczepiania błystki, co i tak — jak sądziłem — musiało się skończyć jej utratą. Żyłkę trzymałem z przyzwyczajenia napiętą, bo luzowanie jej dyskwalifikuje wędkarza, nawet, jeśli w pro-

mieniu kilometrów nie ma ani żywej duszy. I nagle z głębi wody przyszło potężne pociągnięcie, nie szarpnięcie, nie uderzenie, lecz właśnie pociągnięcie, jak gdyby błyskę ujął w dłoń flegmatyczny siłacz i ruszył powoli w swoją stronę. Kij wygiął się w ostry łuk, hamulec kołowrotka zaniósł się histerycznym jazgotaniem. Nie można było niczego zrobić, tylko trzymać kij i czekać, aż tamten przestanie ciągnąć. Trwało to dość długo, wywłókł mi z dziesięć metrów żyłki, potem się zatrzymał. Próbowałem skręcać, ale znowu poczułem tylko twarde zaczep, obracałem korbką, a hamulec oddawał żyłkę z powrotem i wszystko pozostawało bez zmiany. Po chwili uczepiona błystki siła ruszyła w drugą stronę i znów pociągnęła dobrych parę metrów, powoli i jakby obojętnie.

I tak owo coś jeździło wzdłuż i w poprzek zatoczki, raz w jedną, raz w drugą stronę, silne i głupie, bo gdyby wydostało się na pełną wodę, to wysnułoby mi całą żyłkę i wtedy byłby koniec polowania. Wielka nadzieja, która wstąpiła we mnie za pierwszym pociągnięciem, pewność, że nareszcie, przed wieczorem, zaczepił mi się tajmień — powoli ustępowała. To nie mógł być tajmień, bo on zachowuje się inaczej, broni się pomysłowo, atakuje, zrywa, wyskakuje z wody. A ten stwór jeździł głęboko, przy samym dnie, raz w lewo, raz w prawo, bez żadnej fantazji, tyle że z wielką siłą. Nadzieja na tajmienia przygasiała, ale coś tam przecież było, to nie zaczep wyginał mi kij i rękę.

Stopniowo pociągnięcia stawały się coraz krótsze, następowały w coraz większych odstępach. Z wolna odzyskiwałem żyłkę, nakręcałem jej coraz więcej na kołowrotek. Trwało to jeszcze trochę, lecz w końcu stwór ustąpił, dał się holować, wiozłem go teraz na końcu żyłki powoli i ostrożnie, ale już bez zahamowań. Kiedy żyłka zbiegała z brzegu prawie prostopadle do wody, na-

chyliłem się, by zobaczyć. Tuż koło moich gumowych butów leżał w wodzie podłużny, czarny, krępy kształt. Podciągnąłem jeszcze trochę i ujrzałem płaski łeb o małych oczach i długich wąsach, paskudny i odrażający.

Był to sum — pierwszy, jakiego złapałem w życiu. Trwało jeszcze chwilę, zanim — bezwładnego już — wyrzuciłem na brzeg. Miał ponad pięć kilo — jak na suma niewiele, jak na rybę sporo. Ale emocji dostarczył mi więcej, niżli ważył.

Nawlekłem ryby na grubą gałąź, zarzuciłem na ramię, ruszyłem z powrotem. Trzeba było się śpieszyć, słońce zniżało się do linii wzgórz. Po długim marszu doszedłem do pochylonego drzewa, wypaliłem papierosa, zacząłem przebijać się przez wiklinowy mur. Kiedy dotarłem poprzez torfowisko do samochodu, wszyscy już byli na miejscu i wszyscy mieli ryby.

Ruszyliśmy już po ciemku. W świetle reflektorów widać było kamienie, trawy, wąską ścieżkę, przebiegającą co chwila zające, czasem lisy. Samochód trząsał niemiłosiernie, a powieki przygniatał ciężar nie do zwalczenia. Płoneły i puchły pokąsane policzki, kark, ręce, bolały nogi, łupało w barkach. Ale była ryba, a za nami wspaniała dzień.

Dziesięć dni później znalazłem się nad Orchonem w jego górnym biegu, w okolicy górzystej, bez śladu komarów. Było to królestwo tajmieni, które w lecie wycofują się wyżej, ku czystej i zimnej wodzie. Tutaj nie można było liczyć, że poratują mnie w biedzie szczupaki czy sumy. Jechałem na wielkie polowanie. Droga przez góry była jeszcze trudniejsza niż przedtem w stepie. Z najwyższym trudem dźwigaliśmy się na przełęcze, zjeżdżaliśmy po zboczach, a samochód przechylał się

tak, że dech zapierało. Aż w końcu, głęboko w dole, ukazał się wąwóz, którego dnem płynął Orchon. Samochód dojechał do ostrego spadu i zatrzymał się.

I znowu rozłożyłem wędkę, zmontowałem kołowrotek i ruszyłem w dół. Zejście było trudne, musiałem przywołać moje dawne doświadczenia taternicze. Zbocze było spadziste, pokryte luźno siedzącymi głazami, w niektórych miejscach porośnięte kolczastymi krzakami. Niezwykła przejrzystość powietrza sprawiała, że drugi brzeg wąwozu wydawał się odległy o wyciągnięcie ręki. Z dna niósł się potężny, coraz głośniejszy szum. Kiedy znalazłem się na dole, zobaczyłem, że rzeka wali spieniona i wściekła. Jej kolor przeraził mnie: była brązowoszara, przykryta skotłowaną, żółtą pianą. Wiedziałem, że tajmień daje wędkarzowi szansę tylko wtedy, gdy woda jest spokojna i przejrzysta, gdy jest to klarowny nurt letnich potoków, a nie mętna woda wiosennego przyboru. Przyjechałem w złej porze.

Po drugiej stronie wpadał do Orchonu pokaźny potok, jego woda wydała mi się zabarwiona niebieską emalią, nie było w niej mułu i gliny. Ale nie mogłem tam się dostać, bo sforsowanie oszalałej rzeki było nie do pomyslenia. Zacząłem rzucać błystkę w tamtą stronę, ale nie mogłem sięgnąć do czystej wody. Po kilkunastu rzutach ruszyłem w dół rzeki. Przeszedłem ze dwieście metrów rzucając błystkę w nurt, zaczepiając o kamienie na dnie, mozoląc się z odczepianiem, dwukrotnie tracąc blachę. Potem zagroziła mi drogę pionową ściana skalna spadająca prosto do rzeki. Nie można jej było wyminąć. Wspiąłem się sto metrów w górę i z drugiej strony znów opuściłem na dół. Była tam skalna półeczka, z której można było rzucać. Miejsca było niewiele, a półka wystawała z metr nad wodę, wiedziałem więc, że jeśli jakiś tajmień chwyci przez pomyłkę blachę, to i tak nigdy nie zdołam go wyjąć. A jednak uparcie rzu-

całem. Dwa tuziny rzutów, a potem znowu wspinaczka do góry, wypatrywanie nowego miejsca i karkołomny zjazd w dół, na nowe miejsce, niewiele lepsze od poprzedniego.

Mój mongolski towarzysz, który pilotował mnie od szeregu dni, uparł się początkowo, że będzie za mną podążał krok w krok. Bał się widocznie, że w końcu obsunę się na jakimś kamieniu i skrucę kark albo złamię nogę. Ale gdy po raz piąty zacząłem opuszczać się na dno wąwozu, skapitulował. Pewnie doszedł do wniosku, że jeśli ktoś ma zupełnego bzika, to nie ma na to rady. Zostałem sam. Wszystko powtarzało się z rozpaczliwą monotonią. Kilkanaście rzutów, potem wspinaczka dwadzieścia pięter w górę, potem schodzenie w dół, znów kilkanaście rzutów — i znowu do góry. Słońce grzało mocno, wkrótce wypilem całą herbatę, jaką miałem ze sobą w manierce. Co pewien czas przerywałem marsz, wypalałem papierosa i znowu ruszałem naprzód. Wypatrywałem miejsc, w których rzeka rozlewała się szerzej zwalniając trochę biegu, ale tam też nic nie brało. Traciłem blachy, wiązałem nowe, rzucałem. Uderzenia nie było.

Stopniowo rzucanie stawało się coraz bardziej mechaniczne. Traciłem nadzieję, by w tej skotłowanej, brudnej wodzie mogły żyć jakieś ryby, by — jeśli nawet żyją — spostrzegły srebrny kawałek metalu, by miały ochotę nań się rzucić. Łowienie stawało się z wolna pretekstem, który uzasadniał dalszą wędrówkę i coraz dłuższe przerwy, w których wypełniałem wzrok — i pamięć — roztaczającym się wokoło widokiem. Przełom rzeki był groźny i piękny. Urwiska górskie miały lwią barwę, tu i ówdzie ozdabianą plamami kwitnących krzewów. Ultramarynowe niebo, płowe skały, szkarłatne, rude i fiołkowe kwiaty, brunatna woda chwilami wpadająca w odcień zieleni — chłonałem świetlistą sym-

fonię tego kraju, szedłem dalej i wciąż nie miałem dosyć. Wiedziałem, że nigdy nie będę miał dosyć, że będzie mi tego brakowało, że nadejdą nawroty ostrego głodu, chciałem więc nasycić się po brzegi. Nikt mi w tym nie przeszkadzał, nikogo nie było, czasem ponad rzeką przeleciał ptak, ale nigdzie nie było widać śladu człowieka.

W jednym z miejsc tryskało wprost ze skały źródło — silny strumień lodowatej wody. Napiłem się i poczułem tak, jakby ludzkim przeznaczeniem było właśnie picie źródlanej wody, łowienie ryb, przyglądanie się rozjarzonym skałom — i samotność. A przecież to tylko złudzenie.

Daleko wśród stepów, gór i pustyń, w samym sercu Azji powstał i trwa kraj przedziwny. Kraj-paradoks historii i geografii. Piękny, ale tak odległy, że — jak w teorii Einsteina — pewniki zmieniają się tam w swoje przeciwieństwo, reguły przestają obowiązywać, na wszystko trzeba spojrzeć inaczej. Kraj nieprawdopodobny, a jednak rzeczywisty.

## Zdziwienie drugie:

### Pekin, czyli wszyscy maszerują

---

Czy pchła może opisać słońca? Czy można po jedenastodniowym pobycie w Pekinie, który był tylko przystankiem w drodze do Wietnamu, kusić się o opisanie tego miasta? Czy w ogóle można je dzisiaj opisać, skoro niemal nic o nim nie wiemy, ani dokąd zmierza, ani czego chce, ani co się w nim w tej chwili dzieje? To świat tak inny, tak zamknięty, że słusznie ktoś napisał, iż więcej dziś wiemy o Księżycu, niż o kraju, w którym żyje co czwarty obywatel świata. W latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku sytuacja jest prawie taka, jaka była w wieku trzynastym, gdy Chiny opisywał Marco Polo.

Jest pod Pekinem most, zwany Mostem Marco Polo. Myślę, że to nie jedyny ślad, jaki nam został po Weneccjaninie. Odziedziczyliśmy po nim również do dziś nie wygasłą ciekawość świata. Właśnie ona każe na przekór wszystkiemu podjąć próbę opisania najdziwniejszego miasta na świecie, w którym dzieją się rzeczy niepokojące, nieraz zupełnie niezrozumiałe, rzeczy, które nas dziwią, odpychają, ale i fascynują. Opisanie tą samą metodą, jaką stosował największy na świecie reporter — wenecki podróżnik. Wędrując po dzisiejszym Pekinie, dzisiejszy dziennikarz tak samo nie może oprzeć się zdumieniu, jak nie mógł mu się oprzeć Marco. I podobnie jak on musi poprzestać na zrelacjonowaniu tego tylko, co sam widział.

Marco Polo pisał o Pekinie, który wówczas zwał się Kambałuk:

„Rozdział XCVI. Tu opowiada się o mieście Kambałuk, o ważnych sprawach, jakie się tam załatwiają, i o wielkim natłoku ludzi. Powiadam wam, że w tym mieście jest takie mnóstwo domów i ludzi wewnątrz miasta i poza murami — gdyż wieście, że jest tyle przedmieść, ile bram, to znaczy dwanaście, i to bardzo wielkich — że żaden człowiek tego nie policzy. Gdyż więcej nawet ludzi mieszka na przedmieściach niż w mieście. Zaś na tych przedmieściach są liczne doskonałe faktorie i tam mieszkają w domach i gospodach kupcy i obcy podróżni, którzy przyjeżdżają tam w swoich sprawach; a zjeżdżają tak bardzo licznie zarówno dla cesarza, jak dlatego, że miasto jest ważnym, świetnym targiem... Żadne egzekucje nie mogą odbywać się w mieście. I jeszcze wam powiem, że przeskoczkom nie wolno w mieście przebywać, chyba potajemnie, są to kobiety, które oddają się mężczyznom za pieniądze. Lecz zamieszkują one przedmieścia. Wieście, że jest ich niewiarygodna liczba. Gdyż liczą je na blisko dwadzieścia tysięcy... Możecie łatwo wnosić, jak wielka mnogość luda jest w Kambałuk, skoro żyje tam tyle przeskoczek, jak wspomniałem. I wieście dobrze zaiste, że do tego miasta Kambałuk napływają najdroższe i najcenniejsze rzeczy, bardziej niż do jakiegokolwiek innego miasta na świecie” \*.

---

\* Przekład Anny Ludwiki Czerny.

## Rozdział I

### Tu opowiada się ogólnie o mieście oraz o pracach w nim prowadzonych

Szaroniebieski świt. Pijany od snu tłum ludzi w granatowych „maotsetungówkach” pedałuje na rowerach do pracy. Niewiarygodna mnogość luda, dziesiątki i setki tysięcy rowerów. Wielu jadących ma na twarzy białe maski z gazy przeciw zimnu, kurzowi wznoszonemu przez wiatr i mikroboom. Sunące szeregi rowerzystów w białych maskach robią niesamowite wrażenie. Jeszcze większe wrażenie robi cisza, nieprzejrzana ławica rowerów sunie w zupełnej ciszy. Świt. Teraz cisza kończy się, z głośników poczynają płynąć pieśni, które odtąd będą rozbrzmiewać aż do późnego wieczora.

Słońce wstaje na czerwonym wschodzie  
W Chinach ukazuje się Mao Tse-tung.  
On troszczy się o dobro ludu  
(hu erh hai ya!)  
On jest wielkim zbawicielem ludu.

Na ulicach, prócz rowerzystów, pojawiają się maszerujące kolumny wojska, spotyka się je potem przez cały dzień. Czworkami, w porządnym zielonym waciaku maszerują drobni chłopcy, mali i chudzi, wyglądający nie jak wojsko, lecz jak przysposobienie wojskowe. A kiedy rzesze rowerzystów dotrą już do miejsc pracy, na ulicach pojawiają się kolumny urzędników i robotników, poruszające się biegiem, czworkami, w takt gwizdków i głośnych komend. To obejmujące wszystkich szkolenie wojskowe, prowadzone rano, a także w porze obiadowej, odbywające się nieraz i w nocy, w parkach miejskich, na skwerach i placach. Ćwiczą wszyscy, dwa albo i trzy razy dziennie: robotnicy, inżynierowie, urzędnicy, pielęgniarki, lekarze, sprzedawcy sklepowi, inte-

lektualiści, kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi. Przed szkołami widać ćwiczące kolumny dzieci. Buty, buty, buty, buty — a na wojnie zwolnień nie ma. Lecz któż tu słyszał o Kiplingu?

Nie ma zwolnień, choć nie ma i wojny. Ale życie toczy się tutaj tak, jakby Pekin był miastem obleżonym. Pierwszym, najważniejszym obowiązkiem człowieka jest słuchanie rozkazów Wodza, chylenie czoła wobec jego myśli. A drugim obowiązkiem jest kopanie schronów. Schrony budowane są wszędzie: w całym mieście, w każdym domu, w każdej fabryce, w sklepach, restauracjach, domach towarowych, na targach, w szpitalach, urzędach, na poczcie — i w każdym nawet najmniejszym, najędźniejszym domku. Odbywa się to w ten sposób, że z wnętrza domów, z podwórzy lub izb mieszkańcy wynoszą ziemię w koszykach i wysypują na chodnik. Poszczególne sklepy lub restauracje zamykane są na kilka dni i wtedy widać ich personel — ekspedientów lub kucharzy w białych fartuchach i białych czapkach — jak pracowicie wynoszą ziemię i wysypują na rosnące wciąż na chodnikach wały. Wynosi się tę ziemię koszykami, a czasem w małych torebkach. Praca odbywa się w milczeniu, torebki wynoszone są z zachowaniem wszelkich ostrożności, by nikt się nie domyślił, obowiązuje wojskowa tajemnica. A potem wysypywane są wprost na ulicę, na oczach wszystkich przechodniów.

W nocy przyjeżdżają ciężarówki i wywożą ziemię z głównych ulic. Na bocznych nikt jej nie sprząta i w niektórych uliczkach chodzi się już niemal na wysokości pierwszego piętra. Miasto wygląda jak zrujnowane. Podobno doszło do katastrof, większość pekińskich domów nie ma piwnic, fundamenty nie są mocne. Podkopywanie ich doprowadziło do zawalenia się kilku domów, choć nie padła ani jedna bomba.

Ciężarówki wywożą ziemię do parków. Widziałem

skwer, na którym przed paru laty posadzono drzewa. Dziś ze zwałów ziemi sterczą tylko ich czubki.

Setki tysięcy, a pewnie miliony zużytych cegieł. Wiele milionów godzin ludzkiej pracy. Tysiące ton cementu, albowiem wiele schronów jest krytych blokami betonu. Podobno przy niektórych używa się nawet stali. Ogromne zużycie materiału, którego Chinom tak bardzo potrzeba. Pracy nie liczę, bo nikt jej tutaj nie rachuje.

Tak to wyglądało, kiedy w roku 1970 wylądowałem w Chinach. Już z góry, po tym jak przelecieliśmy nad Chińskim Murem, widać było, że jesteśmy nad innym krajem, różniącym się krańcowo od Mongolii. Mnóstwo uprawnych pól, nawet na stokach górskich. Dymią fabryki, jada pociągi, kraj pracuje — mimo rewolucji kulturalnej, mimo wszystkiego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich pięciu lat. Ale już na lotnisku pekińskim nastrój się zmienił. Obszerny gmach dworca lotniczego pachnie jaśminową herbata. Pustka. Wiatr szarpie transparentami, naokoło wiszą ogromne, czerwone litery, na frontonie gmachu wielopiętrowy portret Przewodniczącego. Gdzieś, daleko z boku, kilkanaście odstawionych samolotów z zakrytymi silnikami i dwa helikoptery. Nic jednak nie startuje ani nie ląduje, nie widać żadnych pasażerów ani odprowadzających. Pustka. Milczenie zostaje nagle przerwane, z głośników płynie pieśń „Wschód jest czerwony”. Głupia sytuacja, nie wiadomo — zdjąć czapkę, czy udawać, że niby nic. Później, przez cały czas pobytu na lotnisku, słyszę tę samą płytę, ktoś stale nastawia ją od początku.

Dziewczyny w „maotsetungówkach” roznoszą herbatę z jaśminu. Nikt jednak nie rozdaje znaczków ani czerwonych książeczek. Stoją za to półki, a na nich książeczki we wszystkich bez mała językach świata. Kiedy jednak poprosiłem o polską, okazało się, że człowiek wła-

dający kluczami od biblioteki gdzieś się zapodział. Pomyslałem, że i w Chinach można odnaleźć coś swojego.

A później — miasto. Po drodze nie kończący się szpaler cytatów w różnych językach. W przydrożnym sadzie — gromada ludzi strzygących drzewa. To, co u nas robi dwóch lub trzech, tutaj robiło trzydziestu. Jednak pierwszym, dojmującym wrażeniem była pustka na lotnisku i przy drodze. Marco Polo pisał o obcych zjeżdżających licznie do Kambałuk ze względu na cesarza i o tym, że miasto było świetnym targiem. A teraz do stolicy najludniejszego kraju świata nie przyjeżdża prawie nikt. Miasto zaś jest takie, jak zapewne i całe Chiny: niejednolite, nieprzejrzyste, bezładne. Lepianki obok wielkich gmachów, tu i ówdzie wyspy monumentalnego budownictwa, w większości jednak małe, kiepskie, parterowe budyneczki. Sklepy z czerwonymi drzwiami i futrynami, czasem całe frontony wymalowane na czerwono. Kolory: szary, czerwony, niebieski i zielony. Ale kolor w Pekinie to nie odcień, lecz krwistość, intensywna szarość, ostra zieleń.

Po drodze widzę nowe osiedle. Nowe — to znaczy co najmniej sprzed sześciu lat, później już niczego nie budowano. Osiedle nie ma kanalizacji, a z okien sterczą rury piecyków. Wygląd przygnębiający, a przecież to osiedle jest z pewnością lepsze niż lepianki, które stały przedtem na jego miejscu.

Okna niektórych budynków zalepione skrzyżowanymi paskami papieru. Kolumny biegnących w milczeniu ludzi, popędzanych przez komendy. Ostry wiatr niesie tumany kurzu ze zwałowisk. Na wszystkich domach, we wszystkich podwórkach, w sklepach, restauracjach, urzędach, autobusach, taksówkach, jadłodajniach, warsztatach naprawy rowerów, w mieszkaniach, w szkołach, fabrykach, szpitalach, żłobkach, trolejbusach — portre-

ty Wodza. Nie po jednym, zwykle co najmniej trzy, czasem i dziesięć. Wielki Brat patrzy na ciebie w każdej godzinie dnia i w każdym miejscu. Przed jego wzrokiem nie skryje się nikt. Na lotnisku spostrzegłem, że głośniki nadające pieśni i cytaty są nawet w ubikacji.

A jednak ktoś dobrze znający Pekin powiedział mi: dzisiaj to nic w porównaniu z tym, co tutaj było jeszcze przed rokiem. Dziś wielu Chińczyków przestaje już nosić znaczki. To prawda: niemal co drugi spotykany na ulicach Pekinu Chińczyk nie nosi już znaczka z głową Przewodniczącego. Chyba jest w tym coś nowego.

## Rozdział II

### Tu mówi się o życiu codziennym mieszkańców Pekinu

Przewodniczący Mao kocha lud  
i jest naszym przewodnikiem.  
Prowadzi nas wciąż naprzód  
(hu erh hai ya!)

Do budowy nowych Chin.

Ta pieśń rozbrzmiewa w całym Pekinie od wczesnego rana do późnej nocy. Lecz oto mniej znany cytat z wywiadu przeprowadzonego w Hongkongu z chińską chłopką pochodzenia japońskiego, która żyła w komunie wiejskiej do roku 1971:

„— Pani Wakayabashi, czy podczas całego pani pobytu w Chinach żyła pani tak, jak inni Chińczycy?

— Bez różnicy, wszyscy żyliśmy jednakowo. Domy we wsi miały wszystkie tę samą wielkość — jedna izba o wymiarach cztery metry na sześć — i były zbudowane w bardzo prosty sposób: w rogach stały cztery słupy wbite w ziemię, ściany i dach były ze słomy, a podłoga — z ubitej ziemi pokrytej matami słomianymi. W jednej izbie mieszkaliśmy w dziesięć osób. Było bar-

dzo tłoczno, ale w ten sposób łatwiej utrzymać ciepło w zimie... Światło elektryczne zobaczyłam po raz pierwszy po dwudziestu ośmiu latach, gdy pojechałam do Fang-czeng, starać się o pozwolenie na wyjazd”.

Na jednej z pekińskich ulic ujrzałem dwa wymowne obrazki. Najpierw zobaczyłem rower z przyczepką. Na przyczepce leżała, ze związanymi nogami i, przymocowana starannie do deski, żywa świnia — typowe na Dalekim Wschodzie czarne zwierzę niewielkich rozmiarów, przypominające raczej psa niż maciorę. Nie było w tym nic dziwnego, ostatecznie rower służy w tej części świata do przewożenia niemal wszystkiego, nawet części do rakiet. W chwilę później ujrzałem, jak w bramę szpitala miejskiego wjechał inny rower. Jakiś człowiek wiozł w przyczepce otuloną w kołdrę postać. Z tyłu biegł truchtem syn albo brat chorego. Tak więc rower służyć może naprawdę do wszystkiego: do przewozu towarów rolniczych albo jako karetka pogotowia.

Jak żyje mieszkaniec Pekinu? To tajemnica, jak wszystko tutaj. Żadne informacje nie są publikowane, nikt nie odpowiada na pytania. Jedno, co można zrobić, to chodzenie po ulicach, zaglądnienie do sklepów, bazarów i restauracji, nianie drobnych obserwacji, układanie ich w logiczny różaniec.

Zwiedziłem w Pekinie kilka bazarów, w których sprzedawana jest żywność. Było tam mnóstwo warzyw pięknie poukładanych w słońca i inne wzory. Można tam było znaleźć dwa rodzaje kapusty, dwa rodzaje rzodkwi, szpinak, kabaczki, marchew, fasolę, szczypiorek. Były żywe lub oprawione kaczki, kury, kurczaki. Były ryby suszone lub prasowane, a także świeże karpie. Były żaby, krewetki, mięso wieprzowe i wołowina. Ceny, na ile można się zorientować — wysokie, tłoku nie widać. Żywności jest dosyć, przynajmniej w Pekinie, co do tego nie ma wątpliwości. Podstawą wyżywienia Chińczy-

ka są jednak przydziały kartkowe. Przy każdym zakładzie pracy funkcjonuje stołówka.

Jeszcze niedawno posiłek w każdej ze stołówek zaczynał się i kończył wspólną modlitwą do obrazu Przewodniczącego. Dziś jest nieco mniej modlitw, a za to więcej jedzenia. O ile wolno dziennikarzowi wyrażać zdanie na podstawie kilkunastodniowych obserwacji, trzeba powiedzieć, że mieszkańcy Pekinu sprawiają wrażenie wprawdzie zastraszonego — ale nie wynędzniałego. Wydaje się, że wracają do normalnego stanu i takie też jest zdanie ludzi, którzy mieli okazję obserwować ich w ciągu kilku ostatnich lat.

W pewnej chwili wręczono mi broszurkę w języku angielskim, noszącą tytuł: „Juan — najbardziej stabilna waluta świata”. I najciekawsze, że to bliskie prawdy. Rewolucja kulturalna nie spowodowała ani zachwiania waluty, ani wzrostu cen. Ceny artykułów wolnorynkowych były i są tak wysokie, że wydaje się, iż popyt nigdy nie przewyższał podaży. Cytowana już pani Wakayabashi, która spędziła dwadzieścia osiem lat na chińskiej wsi, wyjaśniła, jak funkcjonuje taki system:

„— Czy ceny były wysokie? (chodziło o sklepik obsługujący dwie wsie):

— W porównaniu z Japonią nie. Tanie były na przykład materiały. Ponieważ jednak mieliśmy mało pieniędzy, nie wydawały nam się tanie. Trzy małe pudełka zapatek kosztują 2,5 centa, a kostka mydła do prania — 16 centów. Kiedy zarabia się 30 juanów na miesiąc, takie ceny są wysokie.

— Czy w tym sklepie sprzedawano artykuły luksusowe jak radia, zegarki na rękę czy rowery?

— U nas nie. A poza tym nikt nie mógłby sobie na coś takiego pozwolić. W naszej komunie jedynie dwaj funkcjonariusze partyjni mieli bateryjne radioodbiorniki. Jedna rodzina miała maszynę do szycia. Nie zna-

łam jednak nikogo, kto miałby zegarek na rękę albo rower. W naszej rodzinie mieliśmy jedynie garnki i patelnie”.

Wydrukowany w „US News and World Report” wywiad z panią Wakayabashi dotyczył stosunków panujących w jednej z kilkuset tysięcy chińskich wsi. W Pekinie jest inaczej. Jak? Tego dokładnie nie wiemy, ponieważ niczego o tym kraju dokładnie nie wiemy, można się opierać tylko na powierzchownych obserwacjach. Otóż w Pekinie wiele ludzi ma zegarki na rękę czy rowery. Można nawet powiedzieć, że jest w Pekinie niemało takich, którzy mają pieniądze. Wciąż jeszcze egzystują przedstawiciele narodowej burżuazji, którzy — jako fachowcy — kierują znacjonalizowanymi dziś, a nigdyś należącymi do nich przedsiębiorstwami. I jest również niemało ludzi, którzy mają krewnych za granicą i dostają od nich przesyłki pieniężne. A wiadomo przecież, że na świecie żyje wiele milionów Chińczyków, wśród nich sporo bogatych. Ogromna jednak większość mieszkańców Pekinu żyje z pensji lub zarobków w fabrykach czy innych zakładach pracy. Podstawą ich utrzymania są przydziały kartkowe.

Wszystkie domy towarowe i większość mniejszych sklepów funkcjonują dziś podobnie jak przed rewolucją kulturalną. Zaopatrzenie zdumiewa przybysza, który spodziewał się, że sklepy będą raczej puste. Jest ono różnorodne, a te towary, z którymi miałem okazję się zapoznać — niezłej jakości. Ale... ceny są, jak na chińskie zarobki — oszałamiające.

Nie wiadomo, ile wynosi średnia płaca w Chinach, ale zdaniem znawców (oczywiście europejskich), większość pracowników zarabia nie więcej niż 30—50 juanów miesięcznie. Bawełniana koszula kosztuje około 15—20 juanów, buty 20—35, rower 175. Ale nie wystarczy mieć pieniądze, trzeba również specjalnych kuponów, tak

zwanych punktów. Każdy pracujący dostaje rocznie 12 „punktów przemysłowych”, ale na rower potrzeba ich dwadzieścia pięć, wypada więc zbierać punkty przez dwa lata albo musi się na to złożyć rodzina. Zegarek „Szanghaj” kosztuje 100 juanów i 2 punkty, natomiast szwajcarska „Cyma” 300 juanów i nie trzeba na nią punktów. Aparat fotograficzny „Practica” produkcji NRD — 1100 juanów. Na tkaniny trzeba odrębnych punktów. Do niedawna starczało ich dla każdego na cztery i pół metra tkaniny rocznie, ostatnio zwiększono przydział do dwunastu metrów. Ponieważ ma to jednak starczyć zarówno na odzienie, jak i na chustki do nosa, prześcieradła czy pieluszki, to łatwo sobie wyobrazić, że nawet dwanaście metrów to też nie za dużo.

Nigdzie nie zauważyłem takich rzeczy, jak lodówki, pralki czy bardziej skomplikowane przyrządy gospodarstwa domowego. Poza tym jednak zaopatrzenie przemysłowe jest urozmaicone, tyle że drogie. Wynika z tego, że mieszkańcy Pekinu mają zapewnione, przy pomocy systemu kartkowego, zaopatrzenie w najbardziej niezbędne do życia produkty, natomiast wszystko, co wykracza poza minimum, jest dla nich trudno osiągalne, chyba, że mają jakieś dodatkowe pieniądze.

Wszyscy są ubrani jednakowo, na niebiesko lub granatowo, w dreluchy lub waciaki, w zależności od pory roku. Tak samo kobiety, co sprawia wyjątkowo przykre wrażenie. Wszystkie są jednakowo uczesane, jednakowo ubrane w szerokie szarawary i bluzy, które zacierają przysłowiowy niegdyś wdzięk chińskich kobiet. Lecząc samolotem do Nanningu długo przyglądałem się stewardessie. Nie uśmiechnęła się ani razu, miała twarz sztywną jak drewno. Była jak wszystkie Chinki ostrzyżona na okrągło, z wysoko podgoloną szyją, ale miała kształtne ręce i można się było domyślić, że jest zgrabna. Pod maoistowską bluzą ledwie rysowały się piersi.

Mogła to być ładna dziewczyna, ale żeby to ocenić, trzeba było trochę wyobraźni.

A jednak nie wszyscy są odziani jednakowo. W samolocie albo w restauracjach można się zorientować, że pod granatowym drelichem kryją się bardzo rozmaite podszewki, nieraz z kosztownego futra. Błamy futrzane są sprzedawane w wielu sklepach i jest przy nich zawsze tłok. Opowiadano mi o niani opiekującej się dzieckiem u europejskiego małżeństwa przebywającego służbowo w Pekinie. Nosiła przepisowy mundurek podbity drogimi popielicami. W rzadkich przyływach rozmowności dawała do zrozumienia, że motywy materialne są u wielu Chińczyków równie mocne dziś jak i dawniej. Potwierdzają to przebywający od lat w Pekinie Europejczycy i mówią, że mimo wprowadzenia w ruch olbrzymiej maszyny do manipulowania umysłami ludzi — człowiek, również w Chinach, jest nadal tylko człowiekiem.

Co pewien czas na pekińskich stadionach sportowych odbywają się olbrzymie wiece. Podobno sądzi się na nich złodziei i malwersantów. Podobno — bo chociaż wiece odbywają się w środku siedmiomilionowego miasta, w stolicy kraju, chociaż uczestniczy w nich po sto tysięcy ludzi — niczego dokładnego nie można się o tym dowiedzieć. Wyrokiem bywa podobno z reguły kara śmierci wymierzana za kradzież towaru wartości kilku juań. Wiadomości o tym budzą jednak zdumienie, ponieważ Pekin jest nadal miastem niezwyklej, nie spotykanej nigdzie na świecie uczciwości. Kiedy pierwszego dnia na lotnisku przekonywano mnie, że mogę zostawić w poczekalni cały bagaż — łącznie ze sprzętem fotograficznym — czułem się nieswojo. Po kilku dniach przestałem się temu dziwić. Widziałem konduktorów z największym trudem wysiadających z zatłoczonych autobusów, by wręczyć pasażerowi bilet i kilka groszy reszty.

Widziałem taksówkarzy, którzy za nic w świecie nie chcieli przyjąć drobnego napiwku, chociaż żadnych świadków przy tym nie było. Widziałem zgubiony przez kogoś szal, który ktoś inny powiesił na płocie. Wisiał tam przez dwa dni, a co było później, tego już nie zdołałem zobaczyć. Ale myliłby się ten, kto by sądził, że uczciwość jest właśnie wynikiem owych procesów publicznych i wymierzania kary śmierci za kradzież byle drobiazgu. Wy tłumaczono mi, że jest odwrotnie: procesy są wynikiem dającego się podobno zaobserwować zamykania powszechnego standardu uczciwości.

Cokolwiek napisze się o Chinach — będzie to zawsze uproszczenie. Po prostu nie można napisać niczego takiego o tym kraju, co nie pomijałoby jakichś istotnych zjawisk, ważnych motywacji, nie rozszyfrowanych zagadek, ukrytych przyczyn — a przynajmniej nikomu to się dotąd nie udało. Wiadomo jedno: że wszelkie dotyczące Chin twierdzenia i wszelkie uogólnienia są zawsze niepełne i nie całkiem słuszne. W czasie pierwszych dni mego pobytu w Pekinie głębokie wrażenie uczyniły na mnie powszechne ćwiczenia wojskowe i kopanie schronów. Ten niepokojący obraz, który utkwiał mi w pamięci, jest prawdziwy. A przecież, mimo że prawdą jest to, co napisałem, to jednak wnioskuje, że Chińczycy poruszają się głównie na komendę, czwórkami i na gwizdek — byłoby wielkim uproszczeniem. Prócz ludzi biegnących czwórkami widzi się w Pekinie wielu innych, którzy pracują. Wszystkie fabryki, warsztaty i sklepy — o ile mogłem się zorientować — funkcjonują normalnie. Spotyka się również niemało ludzi wygrzewających się w słońcu, spotyka się grupki grających w karty, widzi się pary w altankach, widać też ludzi weselących się w małych knajpkach.

W dzisiejszym Pekinie nie ma żadnych rozrywek, nic nie powinno odrywać myśli zwykłych ludzi od myśli

Przewodniczącego. Ale można na przykład zjeść wspa-  
niały obiad, jak za dawnych czasów. Cena takiego obia-  
du jest niedostępna dla przeciętnego Chińczyka, ale...  
W restauracjach jest zawsze sporo ludzi. Czasem są to  
ci, mający pieniądze — o których już wspominałem.  
Ale czasem są to naprawdę zwykli ludzie. W Chinach  
od niepamiętnych czasów istniała tradycja radowania się  
dobrym jadłem, celebrowania posiłków, układania ich  
na wzór skomplikowanych i głęboko przemyślanych  
kompozycji. Praca kucharza traktowana była jak dzia-  
łalność artystyczna. Dlatego i dziś zbierają się grupki  
przyjaciół, składają uciulane z trudem juany, by raz na  
parę miesięcy zafundować sobie obiad — taki obiad, ja-  
ki zaprojektować umieją tylko Chińczycy.

Do najlepszych restauracji wchodzi się przez kuchnię,  
która nie jest pomieszczeniem wstydlwym — wręcz  
przeciwnie. Na piętrze mieszczą się pokoiki, w każdym  
z nich wisi co najmniej pięć portretów Wodza i mnóstwo  
transparentów z jego myślami. Stoi też duży stół i dru-  
gi mały stolik. Goście siadają najpierw wokół małego  
stolika, a kelnerzy podają im zieloną chińską herbatę,  
która bardzo się różni od naszej. Herbata zaostrza ape-  
tyt, pomaga wzbudzić odpowiedni nastrój, skrócić dłu-  
gie oczekiwanie. A potem — jeżeli goście zamówili słyn-  
ną „kaczkę po pekińsku” zwaną też „kaczką lakierowa-  
ną” — otwierają się drzwi i ukazuje się w nich kucharz  
z pomocnikami. Demonstruje on leżącą na półmisku,  
jeszcze nie pokrajaną kaczkę, której skóra lśni na po-  
dobieństwo wiśniowej emalii. Nigdy przedtem nie wi-  
działem pieczonego drobiu o takiej barwie. Goście klasz-  
czą w dłonie i wydają pomruki zachwytu. Kucharz zni-  
ka, pojawiają się natomiast kelnerzy, którzy zastawiają  
stół wielką liczbą miseczek i półmisków. W każdym na-  
czyniu inne danie, dobry obiad może ich obejmować  
kilkadziesiąt, a wszystkie stanowią kompozycję złożoną

z rzeczy wzajemnie się uzupełniających. Nie może się wydarzyć żaden zgrzyt smakowy, zestawiane są tylko potrawy wzajemnie do siebie pasujące, czasem dziwne, czasem na nasz gust odpychające, jak na przykład różnego rodzaju gąsienice w specjalnych sosach — a jednak tworzące razem prawdziwy koncert, zdumiewająca gamą smaków tak niezwykłych, że ten, kto nie próbował prawdziwej kuchni chińskiej, nie może sobie tego w ogóle wyobrazić.

Trwa to długo, dań powinno być wiele. Nie będę wyliczał tych wszystkich rodzajów ryb i mięs, trepangów i krewetek, przeróżnie przyrządzonych jarzyn i makaronów — bo i tak nie potrafiłbym tego opisać. Do tego, jeśli na obiad jest właśnie kaczka po pekińsku — rozmaite smakołyki z kaczych podrobów, różnie przyrządzane żołądki, wątróbki, skórki łap, kupry — i czego tam jeszcze Chińczycy nie znajdują w kaczce. Dopiero pod koniec wjeżdża na stół danie zasadnicze — lakierowana kaczka, ptak o takim smaku, że nie można go przyrównać do niczego, co jest znane w Polsce.

Przyrządzanie kaczki to dobry przykład chińskiej wymyślności. Ptaka patroszy się nie rozcinając brzucha, lecz przez niewielką dziurkę zrobioną pod skrzydłem. Potem wypełnia się wodą z przyprawami korzennymi i „korkuje”, by woda się nie wylała. Następnie całość piecze się w specjalnym piecu opalonym gruszkowym drzewem, tak że kaczka z zewnątrz się przypieka, zaś w środku gotuje. Zapewne są tam jeszcze inne tajemnice kucharskie, których nie zgłębiłem, ale jedno wiem na pewno: w rezultacie tych zabiegów powstaje najlepsze danie, jakie kiedykolwiek jadłem. Drobnopokrajane kawałki ptaka (na każdym kawałku powinien być skrawek wiśniowej skórki) zjada się palcami, owijając cienkimi naleśnikami z ciasta albo w czymś w rodzaju chlebowych rożków.

Na końcu obiadu podają zupę. Jest to przezroczysty, pachnący bulion o zdumiewających właściwościach: po wypiciu filiżanki znika o ciężałość i uczucie przejeżdżenia, powraca rześkość. Zjeść już nic więcej nie można, ale biesiadnik czuje się lekko i dobrze. Okazuje się, że chiński obiad jest utworem, w którym każda nutka jest rezultatem namysłu i ogromnego doświadczenia.

Oto opisałem, zgodnie z prawdą i bez żadnej przesady, maleńki fragmencik życia, jaki wciąż można znaleźć w dzisiejszym Pekinie. Zdaję sobie sprawę z ogromnej różnicy między tym opisem a wrażeniami z pierwszych dni oglądania pekińskich ulic. Cóż to więc za miasto? Nie umiem na to odpowiedzieć, mogłem tylko patrzeć — dziwić się i myśleć.

Po powrocie do Warszawy opowiadałem, wśród innych rzeczy, również i to, że sklepy w Pekinie są dobrze zaopatrzone, a liczni Chińczycy noszą „maotsetungówki” podbite kosztownym futrem. Ktoś powiedział mi: no, i co, przesadziliśmy z tą rewolucją kulturalną, minęło kilka miesięcy i już wszystko znormalniało. A przecież taki wniosek jest zupełnie fałszywy. Nie było przesady w opisach ekscesów rewolucji kulturalnej ani w opisach bałwochwalczego kultu Mao, ani w opisach hysterii wojennej, maltretowania i upokarzania cudzoziemców.

Jakaż więc jest prawda? Powiem uczciwie: nie wiem. Nie wie tego również nikt spośród ludzi o wiele lepiej ode mnie zorientowanych, z którymi miałem okazję rozmawiać, znających Chiny od wielu lat, znających język i obyczaje chińskie, dzieje i kulturę, miasta i wieś. I oni też nie mają odpowiedzi na wiele podstawowych pytań. Ich znajomi, przyjaciele, często ludzie bardzo bliscy — Chińczycy, znikli na ogół bez śladu, a w każdym razie nie odzywają się. Nikt nie odpowiada na żadne pytania stawiane przez Europejczyka. Nikt nie udziela żadnych

informacji. Nawet chińskie sprzątaczkę pracujące w europejskich domach nie chcą niczego powiedzieć. Cudzoziemiec jest otoczony niewidzialnym murem. Od pewnego czasu mur stał się uprzejmy, rozstępuje się, przepuszcza, nie grozi rozbiciem głowy. Ale wciąż jest.

Sklepy funkcjonują, komunikacja miejska działa, zaopatrzenie jest zapewnione. Ale życie w Pekinie jest przeraźliwie szare. Wywołuje to pragnienie odmiany. Z jednej strony wyraża się ono na przykład w kolekcjonowaniu znaczków i emblematów (opowiadano mi o półlegalnych, ulicznych spotkaniach zbieraczy). Z drugiej: frustracja i chęć zmiany za wszelką cenę leżały u podstaw szaleńczego wybuchu młodzieży w dniach rewolucji kulturalnej.

### Rozdział III

#### W którym próbuje się rozważyć, co to właściwie było

Zeglując po morzach, zaufaj sternikowi,  
Wszystko, co żyje, pokłada swą ufność  
w słońcu,  
Zwilżane deszczem i rosą rośliny pną się  
w górę  
Zaś robiąc rewolucję zaufaj myśli Mao  
Tse-tunga.

Byłem pierwszym polskim dziennikarzem, który po czterech latach, to znaczy po okresie rewolucji kulturalnej, odwiedził Pekin. To prawda, że w ciągu tych czterech lat przebywali stale w stolicy Chin dwaj polscy korespondenci: z „Trybuny Ludu” i Polskiej Agencji Prasowej. W roku 1970 byli nimi: Zygmunt Słomkowski i Jan Moszkiewicz. Obaj są znakomitymi znawcami kraju, ale przez cały ten czas prawie nie mogli pisać. Wystarczyłoby jedno nieostrożne słowo, by Polska utraciła

tak ważną placówkę prasową. Bywało więc, że obaj korespondenci musieli przez długie tygodnie, a nawet miesiące zapadać w milczenie przerywane tylko oficjalnymi komunikatami. Nie można się temu dziwić, zależało nam przecież na utrzymaniu pekińskich placówek.

Przez cztery lata najludniejszy kraj świata był niemal zupełnie odcięty od innych krajów, odizolowany i zamknięty. Do dziś bardzo mało wiemy o tym, co się wtedy wydarzyło. O ile jednak poszczególne fakty są znane, o tyle nie wiadomo prawie nic o prawdziwych motywach kataklizmu, który wstrząsnął Chinami, o rzeczywistych zamierzeniach jego przywódców, o istocie sprawy.

Któregoś dnia, wędrując ulicami Pekinu w towarzystwie pewnej pani, Europejki, a zarazem orientalistki, znawczyni języka chińskiego i samych Chin, powiedziałem poruszony widokiem rozkopanych ulic i marszerujących kolumn ludzkich:

— Jakiż to jest straszny rząd...!

Pani, która wie o Chinach bardzo dużo, przystanęła, popatrzyła na mnie i powiedziała:

— Tak to na pozór wygląda. Ale prawdopodobnie jest to wciąż najlepszy rząd, jaki Chiny kiedykolwiek miały.

Cóż my właściwie wiemy o Chinach? Dziewięćdziesiąt procent spośród tych siedmiuset milionów żyje na wsi, gdzie cudzoziemcy nie docierają nigdy lub prawie nigdy. Dawniej prowadzono badania chińskiej wsi, napisano o tym wiele książek, ale od kilku lat wszystko się urwało i nie wiadomo niemal nic. Jedną z nielicznych relacji o życiu na wsi jest wspomniana już opowieść pani Wakayabashi. Oto, co mówiła ona o warunkach życia:

„— W gruncie rzeczy nigdy nie głodowaliśmy. Jakieś dziesięć lat temu, podczas głodu, musieliśmy jeść kłosa i plewy, dzikie rośliny, liście z drzew i pędy wierzbowe. Zwykle jednak wystarczało jedzenia. Na śniadanie jed-

liśmy kluski z kukurydzy i słoną zupę, to znaczy wodę z paroma zagotowanymi jarzynami. Nie mieliśmy do zupy ani sosu sojowego, ani pasty z soji. Obiad jedliśmy taki sam, jak śniadanie. Na kolację mieliśmy zwykle kleik z kukurydzy, prosa lub sorgo. Piliśmy jedynie „białą herbatę”, to znaczy gorącą wodę.

— Czy jedliście ryby lub mięso?

— Bardzo rzadko. Oczywiście, rodziny, którym lepiej się powodziło, w których było więcej młodych mężczyzn i które miały dzięki temu większy dochód, mogły czasami kupować ryby lub mięso. Większość z nas mogła sobie na to pozwolić tylko trzy razy do roku, kiedy każdemu wydawano wieprzowinę po niskiej cenie. W mojej rodzinie nawet ryż jadano rzadko. Porcję ryżu dostawaliśmy tylko na chiński nowy rok”.

W tym powiedzeniu: „w gruncie rzeczy nigdy nie głowaliśmy” zawiera się bardzo dużo. Rząd, który to osiągnął, jest lepszym rządem, niż te, które władaly w Chinach dawniej. Ale z drugiej strony — jest to niemal wszystko, co można o nim powiedzieć dobrego.

Wielki dom towarowy w Pekinie. W jednym ze stoisk za kontuarem sprzedaje obrusy żołnierz w zielonym mundurze, w czapce z czerwoną gwiazdą. Może zresztą nie żołnierz, lecz oficer czy raczej „dowódca”, jako że w armii chińskiej nie ma oznak stopnia, czyli dystynkcji. Obrusy są bardzo ładne, haftowane, żołnierz zaś ujmująco grzeczny, chętnie rozkłada na stole całe bele obrusów, wprawnie oblicza należność, błyskawicznie wydaje resztę. Jestem zdziwiony, nie wyobrażam sobie naszych wojaków za ladą w CDT. Ktoś znajomy mówi: „To normalne. To oznacza łączność armii z ludem”. Kiedy indziej widzę beczkowóz pełen nieczystości. Pospolity to widok w Pekinie, bo tylko część miasta jest skanalizowana. Ale tym razem ciągnie beczkowóz sześciu żołnierzy, a jeszcze kilku idzie z tyłu. Armia wywozi

szambo, bierze udział w rozwiązywaniu jednego z najprzykrzejszych problemów stolicy. Później niejednokrotnie widziałem podobne sceny.

U wejścia do byłego cesarskiego Pałacu Letniego są dwie wielkie kompozycje figuralne, przypominające Panoramę Raclawicką, tyle że wyrzeźbioną, trójwymiarową. Jedna przedstawia katastrofę w kopalni. Widać tam osuwające się zwały ziemi i pękające pod naporem drewniane stemple. Na ratunek ginącym górnikom podąża oddział wojska, ale akcja ratownicza odbywa się w sposób dość szczególny. Kilku żołnierzy podpiera własnymi barkami trzaskające stemple, pozostali wnoszą wysoko czerwone książeczki, machają nimi lub czytają cytaty. Druga kompozycja przedstawia scenę powodzi. Oddział wojska walczy z rozlanym po horyzont żywiołem ratując nieszczęsną ludność. I znów odbywa się to w ten sposób, że część żołnierzy stoi na wysokim brzegu i wymachuje książeczkami, inni zaś walczą z falami, lecz każdy wysoko nad głową wznosi książeczkę. Można by pomyśleć, że żołnierze zmagający się z powodzią powinni mieć obie ręce wolne, bo to i płynąć łatwiej, i więcej można uratować — ale takie praktyczne względy nie mają tu znaczenia.

Można sobie łatwo wyobrazić, jakie oświadczenie złożyłby górnik Alojzy Piontek, gdyby go uratowano w Chinach.

Ulice i witryny pełne są plakatów przedstawiających bohaterskich żołnierzy broniących kraju przeciw atakom ze wschodu, z północy i z południa. Przed Komitetem Rewolucyjnym Pekinu widać głównie żołnierzy. W telewizji wyświetla się wyłącznie filmy o wojsku. Co to wszystko znaczy? Jedni twierdzą, że armia sprawuje władzę, inni, że władza posługuje się armią, jedyną zdolną do działania organizacją, jaka jeszcze pozostała. Ale nikt nie wie niczego na pewno.

Wszystkiego można się tylko domyślać. Olbrzymi naród przez kilka lat wstrząsany był zagadkowymi konwulsjami, podejmowane były potężne kampanie, toczyła się zażarta walka — i nigdy nie udzielono pełnego i przekonywającego wyjaśnienia, nie powiedziano światu, o co właściwie chodzi. Operowano sloganami, poleceniami, hasłami, ale główna myśl tkwiąca pod fundamentami wydarzeń pozostawała niejasna. Czy taka myśl w ogóle istniała? Nawet tego nie wiemy, ale rozum ludzki po prostu nie może się pogodzić z hipotezą, że wydarzenia na tak wielką skalę, trwające tak długo i mające takie skutki — mogłyby nie stanowić rezultatu jakichś wielkich przemyśleń ideologicznych, być może szalonych, ale przecież nawet w szaleństwie logicznych. Dlatego wszystko, co na świecie napisano na temat rewolucji kulturalnej, było zawsze próbą racjonalizacji, odkrycia wielkiej myśli, która — zdaniem piszących — musiała w tym tkwić.

A przecież nie jest to takie pewne. Pewien dobrze znający Chiny człowiek, od lat z bliska obserwujący wydarzenia, powiedział mi:

— Widzi pan, tutaj naprawdę istniał wyobcowany ze społeczeństwa „establishment”, byli „czerwoni mandaryni”.

Czytając prace zagranicznych komentatorów rewolucji kulturalnej i maoizmu, trzeba być bardzo krytycznym, zwłaszcza gdy chodzi o prace lewicujących intelektualistów na zachodzie. Sprawiają one czasem imponujące wrażenie, są wspaniałymi, niezwykle logicznymi konstrukcjami, które rozmachem zawartych w nich myśli sięgają chmur — ale nie dotykają ziemi. Zdumienie ogarnia, gdy widzi się, jak często ci precyzyjnie myślący ludzie tracą kontakt z rzeczywistością, z faktami, z prawdziwym przebiegiem wydarzeń. To tak, jakby ktoś przemienił katedrę gotycką w balon

fruwający w przestworzach, pozbawiony kontaktu z gliną, żwirem i piaskiem, na których zwykle stoją najwspanialsze nawet katedry.

Subtelny intelektualista, Emil van Heuvel, tak pisał w zachodnioniemieckim dzienniku „Die Welt” w roku 1970:

„Chińska rewolucja kulturalna jest dokładnie i szczególnie zaplanowaną akcją, w wyniku której będzie można przeskoczyć przez pokolenie, które nie uległo indoktrynacji. Młodzież chińska — ta patriotyczna, ale również bardzo sceptyczna generacja — powinna zostać moralnie i dogmatycznie przygotowana do przejęcia sztandaru rewolucji. Trzeba dokonać w ludziach takich zmian, aby zaczęły obowiązywać całkiem inne wartości. Gwałtowne oddzielenie Chińczyków od tradycyjnej liczącej ponad cztery tysiące lat starej kultury nie doprowadziło jednak do całkowitego odcięcia Chin od ich dziedzictwa. Myślę, że nie było to wcale zamierzone, ponieważ Mao, jak wskazuje pobieżna choćby lektura jego prac, jest pod ogromnym wpływem literatury i filozofii starych Chin. Jego zdaniem dziedzictwo kulturalne Chin stało się jednak «zbyt trudną przeszkodą i dlatego musimy zrobić przerwę. Wiele rzeczy trzeba wyrzucić za burtę, zanim pójdziemy dalej naszą drogą». Szok był rzeczą konieczną i szokiem tym jest rewolucja kulturalna... Leczenie musiało być twarde. Rewolucja nie wystarczała Przewodniczącemu. Zna on swój naród i wie, że naród ten potrafi ugiąć się w okresie burzy jak bambusowa gałąź. Mao zapewne wie, że wiele ludzi, zarówno z kadr, jak i spośród zwykłych obywateli, którzy głośno skandują jego imię, w istocie tęskni do materialnych dóbr zachodu, a być może również do »diabelskiej wolności burżuazyjnej«. Dlatego jest zrozumiałe, że przewodniczący Mao zapoczątkował rewolucję kulturalną... Reżim pekiński szykuje się do zbudowania paterna-

listycznego państwa, które przepowiadał Konfucjusz. Jest to ideał, za którym Chińczycy zawsze tęsknili. Idzie o republikę w sensie platońskim, rządzoną przez starannie wybranych mędrców, walczących o dobro i honor państwa. Idzie o społeczeństwo zainteresowane bardziej w ludzkich cnotach, aniżeli w dobrobycie jednostek. Idzie o alternatywę do materializmu, do demokracji w stylu amerykańskim. Imię Konfucjusza jest dziś w Chinach zakazane, pomimo to związek z przeszłością — nawet, jeśli mu się zaprzecza — stanowi w większym stopniu, niż marksizm, klucz do zrozumienia dzisiejszej sytuacji w Chinach”.

W ogłoszonym również w 1970 roku, w miesięczniku „Temps Modernes”, artykule pt. „Marksizm Mao a lewica europejska”, Edoarda Masi, która specjalizuje się w zagadnieniach rewolucji chińskiej i jest związana z włoskimi ugrupowaniami ultralewicowymi, mówi o dwóch biegunach cywilizacji światowej. Jednym z nich są Stany Zjednoczone, drugim — Chiny. Myśl Mao jest, jej zdaniem, rozwinięciem marksizmu, nadaniem mu bardziej uniwersalistycznego oblicza. Píše ona:

„W koncepcjach Mao lud (Żen-min) zastępuje w pewnej mierze proletariats Marksa. Nie jest jednak raz na zawsze ustalone, kto wchodzi w skład ludu, a kto do niego nie należy. Skład ludu zmienia się wraz z warunkami historycznymi. Tego rodzaju koncepcja pozwala określać indywidualną przynależność do klasy rewolucyjnej w sposób mniej sztywny i mniej deterministyczny, niż na podstawie specyficznej funkcji w procesie produkcyjnym. ...Podstawowa sprzeczność nie leży już nieuchronnie w prywatnej własności środków produkcji ani w anarchicznym charakterze produkcji. Podstawowa sprzeczność odtwarzana z okazji wszelkiego starcia między rządzącymi a rządzonymi jest sprzecznością, która przeciwstawia mniejszość

kontrolującą środki produkcji i władzę polityczną — większości (masy, lud) domagającej się tej kontroli dla siebie oraz sprawowania samorządu. ...W miarę... jak centralna władza zaczyna utrwałać się w kierowanej przez inteligentne mniejszości organizacji państwowej, przywraca się panowanie klasowe... Ustalona przez maoistów analogia między obecnym systemem radzieckim a systemem zachodnim jest więc poprawna, mimo że termin „burżuazyjny” nie jest adekwatny dla obu systemów. Socjalizmu nie należy mylić z „budową państwa socjalistycznego”, która może oznaczać jedynie budowę systemu klasowego. Socjalizm nie może być czymś innym niż procesem, za pośrednictwem którego masy — w sytuacji podlegającej nieustannym zmianom — stale domagają się samorządu w produkcji i samorządu w rządzeniu”.

Rewolucja kulturalna byłaby zatem koniecznym procesem przewycięzania sprzeczności między ludem a rządzącymi — na korzyść ludu. Koncepcja frapująca, tyle że mało mająca wspólnego z rzeczywistością, ponieważ w wyniku rewolucji kulturalnej ukształtowała się nowa elita rządząca, a lud w Chinach ma dziś mniej do powiedzenia niż w jakimkolwiek innym państwie. Jest on traktowany jako jednolita — nawet w stroju — manipulowana masa. Rewolucja kulturalna bynajmniej nie położyła temu kresu.

Podobnie zapatruje się na sprawę osławiona Rossana Rossanda, główna teoretyczka grupy „Il Manifesto”. Oto jej zdanie:

„Wydaje się nam, że rewolucja chińska w sposób doskonale marksistowski stawia ponownie problem bazy w całej jego złożoności... Wydaje się nam, że trzeba brać dosłownie to, co ona podkreśla, a mianowicie, że prowadzi walkę jeszcze antykapitalistyczną, walkę, której celem jest doprowadzenie do rewolucji w strukturze

ekonomicznej społeczności, to jest w bazie. Wydaje się nam, że trzeba brać dosłownie jej definicję tego, co należy zwyciężyć, a mianowicie — „stosunki burżuazyjne”, które nie są bynajmniej stosunkami „ideologicznymi”, nie są odbiciem czegoś pozbawionego form materialnych, a już nie istniejących, lecz odbiciem stosunków materialnych bardzo jeszcze konkretnych i realnych... Odwoływanie się do mas jest główną cechą charakterystyczną rewolucji kulturalnej. Odróżnia to w sposób zasadniczy rewolucję kulturalną od poprzednich faz walki politycznej Mao Tse-tunga, gdyż w tych fazach wszystko było rozstrzygane w łonie Partii” \*.

Jak widać, konstrukcja rozwija się logicznie. Jest ona oparta na jednym artykule Mao i na bardzo dowolnej interpretacji wydarzeń z okresu rewolucji kulturalnej. Mnóstwo dowodów świadczy jednak, że wprawdzie podczas swej rewolucji Mao faktycznie odwołał się do mas, to jednak natychmiast potem ujął masy ręką twardszą niż przedtem. Przywódcy mas, konkretnie zaś Czerwonej Gwardii, zostali albo zesłani przymusowo na wieś, albo zlikwidowani. Odwołano się do mas głównie jako do siły fizycznej, nikt natomiast nigdy nie zamierzał rządzić się ich, a tym bardziej słuchać. Nie ulega wątpliwości, że budowle Edoardy Masi i Rossany Rossandy szybują w powietrzu. Obie panie mogłyby mieć raczej tylko wtedy, gdyby przyjąć, że Mao przegrał i już nie rządzi, a władzę sprawuje jakaś zamaskowana grupa, która używa Wodza jako sztandaru.

A oto analiza tych samych zagadnień zamieszczona 18 maja 1970 roku w moskiewskiej „Prawdzie”:

„Od Konfucjusza Mao przejął najbardziej konserwatywną stronę jego filozofii, zwłaszcza głoszenia ducha pokory, gloryfikację władzy autorytatywnej, kult naj-

---

\* „Temps Modernes”, grudzień 1970 — styczeń 1971.

wyższego władcy. Z nauk drobnomieszczańskich przejął pogląd o szczególnej rewolucyjności chłopstwa, pomniejszając awangardową rolę klasy robotniczej. Reakcyjno-utopijne wyobrażenia, zrodzone przez historyczne zaco-fanie, podnosi on do rangi nowego odkrycia teoretycznego. Z prądów burżuazyjno-nacjonalistycznych Mao wziął wielkomocarstwowe, szowinistyczne nastawienie, przekształcając je w mesjanistyczną teorię o wyjątkowości Chin. Od trockistów Mao Tse-tung zapożyczył idee o prymacie względów politycznych nad obiektywnymi prawami rozwoju społeczeństwa, o «przykręcaniu śruby» i militaryzacji społeczeństwa, teorię o niemożliwości zwycięstwa socjalizmu, zanim nie zatryumfuje rewolucja światowa, a także teorię eksportu rewolucji ze wskazaniem na wojnę światową jako na jedyny sposób dokonania rewolucji na skalę międzynarodową i wreszcie rozwydrzony antysowietyzm trockistów, ich metody działalności wywrotowej w szeregach międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego. Maoizm — to antyleninowski prąd polityczny, którego podstawę stanowi »schińszczony« socjal-szowinizm”.

Reporter nie może na podstawie jedynie krótkiego pobytu w Pekinie rozstrzygać o tym, kto ma rację w wielkim sporze teoretycznym, jaki toczy się w ruchu robotniczym. Pozostaje mu tylko uczynić prywatne wyznanie, które może oczywiście ulec zakwestionowaniu. Oto moje wyznanie: nie bardzo wierzę w genialną myśl Mao, w mądrość i logikę jego poczynań. Czy słynny „Wielki skok” i katastrofa gospodarcza, jaka po nim nastąpiła — świadczył o mądrości? Czy fakt, że gospodarka chińska dopiero w roku 1971 z trudem przekroczyła poziom, jaki reprezentowała już w roku 1957 — świadczy o mądrości? Czy świadczy o niej likwidacja szkolnictwa? Albo uporczywe zakazywanie ludziom normalnego życia? Czy można uwierzyć, że to, co u nas

byłoby postępowaniem głupim — może być gdzie indziej genialną polityką?

I rodzi się również pełna zdziwienia refleksja. Jak to się dzieje, że intelektualści, humaniści, ludzie uważający się za postępowych, tak często ulegają urokowi władzy absolutnej, totalitarnej, nawet zbrodniczej? Dlaczego podobni ludzie nieraz boją się — jak to pisał Fromm — wolności i przyciąga ich tak mocno to, co ich powinno odpychać?

Jak wiele jest w tym mieście rzeczy odrażających, wręcz okropnych. Przede wszystkim religia państwowa, czyli kult Wodza. Na lotnisku fronton budynku zastąpiono olbrzymim portretem. W mieście nie ma ani jednego domu, choćby najmniejszego, który nie byłby ozdobiony portretem — i to nie jednym, co najmniej dwoma, a bywa, że i dziesięcioma. Przed bardziej okazałymi budynkami stoją prócz tego posągi. Wszędzie rozwieszono są transparenty z myślami Przewodniczącego albo myślami Lin Piao o Przewodniczącym \*. Przy każdej większej ulicy najokazalszy sklep zamieniono w „sklep z dewocjonaliami”. W środku zdumiewająca obfitość towarów, które nie służą niczemu, poza głoszeniem chwały Mao Tse-tunga. Zwiedzałem wiele takich sklepów i zawsze byłem zdumiony bogactwem inwencji, niezwykłą ludzką pomysłowością wyteżoną w jednym tylko kierunku. Są tam portrety wszelkich formatów, malowane i drukowane, na różnych gatunkach papieru, na płótnie, jedwabiu, drzewie i porcelanie, czarno-białe i kolorowe; są popiersia rzeźbione w najróżniejszych materiałach

\* Jak wiadomo, Lin Piao został później usunięty w tajemniczych okolicznościach, a w Pekinie i w Chinach zaszło wiele zmian. Jednakże ja prezentuję w tej książce obraz taki, jaki widziałem na własne oczy. Azja zmienia się nieustannie i każdy obraz zostanie wkrótce uzupełniony przez nowe wydarzenia. (K. D.)

albo odlewane z metalu lub gipsu; jest kilkadziesiąt rodzajów znaczków do przypinania, a także małe i wielkie medaliony i kamee; są płaskorzeźby i sceny zbiorowe, na które składają się gipsowe figurki; są posążki i posągi; są obrazy przedstawiające Przewodniczącego w latach młodości, podczas Długiego Marszu, odbierającego defilady, przepływającego rzekę, rozmawiającego z Lin Piao; są cytaty utrwalone w najprzeróżniejszych formach, materiałach, ukształtowaniach; są czerwone książeczki we wszystkich niemal językach świata, a także poszczególne przemówienia, pojedyncze artykuły albo dzieła wybrane; są zakładki do książek z podobizną Przewodniczącego (służące do zakładania dzieł Przewodniczącego, jako że innych książek się nie wydaje), są pocztówki, medaliki, talerze, przezrocza, żyrandole, kamienne tablice, skrole z cytatami.

Najbardziej osobliwy eksponat: gliniane, kolorowane modele owoców, czegoś w rodzaju mango. Jest to towar bardzo rozpowszechniony, znajdujący się we wszystkich miejscach publicznych na lotniskach czy w urzędach. Jest z tym związana następująca historia. Jakaś delegacja podarowała Przewodniczącemu kosz takich owoców. Wódz przekazał siedem sztuk jednej z przodujących fabryk Pekinu. Załoga zgromadziła się na wielogodzinny wiec, w czasie którego podziwiano zbiorowo dar. Nie można było wszakże dopuścić, aby owoce zepsuły się, robotnicy wtargnęli więc do laboratorium jednej z zamkniętych wyższych uczelni, wynieśli siedem słoików z formaliną i zakonserwowali w niej owoce. Następnie wystawiono je na widok publiczny na centralnym placu Tien An-meń i przedefilowała przed nimi cała ludność miasta. Później załadowano siedem słoików na siedem ciężarówek, sformowano siedem kolumn, które wyruszyły w objazd kraju. W każdej wsi i w każdym mieście po drodze zwoływano wiece z udziałem całej ludności —

i znów odbywała się defilada. Trwało to przez wiele miesięcy. Nie wiem, co się w końcu stało z owocami, ale widziałem ich podobizny wykonane z materiału, który się nie psuje. Stały się świętością narodową, ich modele są sprzedawane w każdym „sklepie z dewocjonaliami”.

Modlitwy przed i po jedzeniu w stołówkach pracowniczych, zbiorowe inkantacje na szpitalnych salach operacyjnych przed poważniejszymi zabiegami, gusła w szkołach i rytualne obrzędy podczas mityngów na stadionach — doprawdy trudno się pogodzić z drukowanymi przez zachodnioeuropejskich „goszystów” analizami dowodzącymi, że maoizm jest współczesnym rozwinięciem marksizmu, dostosowaniem go do warunków panujących w większej części świata. Ostatecznie przecież marksizm — mimo wypaczeń, jakim ulegał w zastosowaniach praktycznych — jest światopoglądem naukowym. Prędzej już można by się chyba zgodzić z van Heuelem, kiedy pisze, że maoizm jest próbą stworzenia państwa paternalistycznego, opartego na filozofii Konfucjusza, ale w takim razie maoizm nie tylko nie byłby rozwinięciem marksizmu, lecz ruchem wyraźnie reakcyjnym. Wydaje mi się jednak, że zbyt mało wiemy, aby można było zaakceptować taki wniosek.

Jeden z nielicznych dziennikarzy polskich, który dobrze zna Chiny, wieloletni korespondent w Pekinie, Stanisław Głębiński, napisał: \*

„Program Mao jest... przedziwną mieszaniną werbalnego ekstremizmu, niewątpliwego szowinizmu, kultu przywódcy, a równocześnie wyrachowanej ostrożności, podjazdowej taktyki politycznej i czysto chińskich tradycji postępowania. Mao doszedł do wniosku..., że cywilizacja i dobrobyt są wrogami rewolucji, że równym wrogiem są tradycje warstwy mandarynów, że klasy społeczne można unicestwić poprzez równanie w dół, do

\* „Miejsce Chin w świecie”, „Kultura” nr 15, W-wa 1971 r.

najbiedniejszych, poprzez powszechny obowiązek pracy fizycznej i stałe podtrzymywanie atmosfery wewnętrznej rewolucji. Stosowanie takich zasad w Chinach, w okresie walki o władzę, przynosiło pożądane efekty. Stosowanie ich po utworzeniu ChRL, szczególnie od okresu tzw. Wielkiego Skoku, przyniosło niepowodzenia”.

Ciekawe jest sformułowanie mówiące, że Mao doszedł do wniosku, iż cywilizacja i dobrobyt są wrogami rewolucji, przy czym jasne jest, że Mao postawił na rewolucję przeciw cywilizacji i dobrobytowi. Byłoby to zatem stawianie marksizmu na głowie, jako że zdaniem Marksa rewolucja miała służyć szybszemu rozwojowi cywilizacji i dobrobytu, a nie ich zwalczaniu. Wynika z tego, że Mao Tse-tung jest po prostu dogmatykiem, który doprowadza swój dogmatyzm do ostateczności. Byłby to dogmatyzm komunistyczny przemyślany i zrealizowany do końca. Wydaje się, że taka interpretacja jest możliwa. W warunkach chińskiego zacofania, wobec tego, że zapóźnienie trzeba odrabiać przez wiele dziesiątków lat, w przywódcy typu Mao może zrodzić się pragnienie podporządkowania praw społecznych i ekonomicznych własnej woli, własnej chęci. Tak powstaje dogmatyzm, a zarazem woluntaryzm, albowiem granica między jednym i drugim jest bardzo płynna, przynajmniej w polityce. Jedno i drugie zjawisko polega w gruncie rzeczy na lekceważeniu rzeczywistości, na próbie narzucania swej woli przy pomocy rozkazów, tyle że konserwatywny dogmatyzm chce przeciwdziałać odbiegającym od kanonu zmianom, zaś woluntaryzm chce narzucać zmiany mocą dekretu. Można by zatem powiedzieć, że pierwszym woluntarystą historii był Dariusz perski chłostający morze, które sprzeciwiało się jego woli.

Jest to więc interpretacja możliwa, ale nie jedyna. Są tacy, którzy twierdzą, że była to po prostu walka o wła-

dzę, w której Mao Tse-tung, odsunięty od sprawowania rządów po klęskach „Wielkiego Skoku” i komun ludowych, przebywający nawet nie w Pekinie, lecz — o ile wiadomo — gdzieś pod Szanghajem, uciekł się do jedynej dostępnej mu wtedy, zaskakującej i bardzo perfidnej broni. Na korzyść tej tezy mogłyby świadczyć kroki podejmowane przez władze chińskie w roku 1970 i 1971: powrót do metod pragmatycznych, normalizacja, ponowne zwrócenie uwagi na bodźce materialne w produkcji, rozwijanie handlu zagranicznego, nawiązanie stosunków dyplomatycznych z wieloma państwami, a nawet zmiana postawy wobec ONZ i Stanów Zjednoczonych. Krótko mówiąc, wyglądałoby na to, że Mao, po odzyskaniu władzy, natychmiast przystąpił do likwidowania skutków rewolucji kulturalnej i zaczął prowadzić politykę podobną pod pewnymi względami do polityki tych, których rewolucja zwalczała. A jeśli tak, to rozważania takich intelektualistów, jak Rossana Rossanda i Edoarda Masi grzeszą niewybaczalną naiwnością.

Istnieje także inna hipoteza również oparta li tylko na domysłach. Jej zwolennicy twierdzą, że rewolucja kulturalna zbiegła się z eskalacją amerykańskiej wojny w Wietnamie i że to nie był przypadek. Według tej teorii ówczesne kierownictwo chińskie miało się jakoby skłaniać ku większemu zaangażowaniu Chin w wojnę. Zdaniem Mao doprowadziłoby to z jednej strony do wplątania Chin w wojnę, której nie chciał, z drugiej zwiększyłoby w Chinach wpływy innych krajów socjalistycznych, zwłaszcza Związku Radzieckiego — tego zaś Mao obawiał się najbardziej. Zgodnie z tą teorią Mao nie chciał uzależnienia gospodarczego i militarnego Chin od ZSRR, postanowił zatem podjąć walkę przy użyciu jedynej metody, jaka mu jeszcze pozostawała. Zburzył

partię i wszystkie istniejące instytucje państwowe. Dowodem na poparcie tej hipotezy ma być fakt utracenia na samym początku stanowisk przez grupę wyższych dowódców wojskowych, a zwłaszcza przez ówczesnego szefa sztabu Lo Żuaj-czinga.

Oto najważniejsze teorie mające wyjaśnić przyczyny tego, czego skutki mogłem jeszcze oglądać na ulicach Pekinu. Jak widać, teorie te są najczęściej sprzeczne. Dowodzi to tylko, że nikt, w gruncie rzeczy, nie wie, co się dzieje w Chinach.

Nie wiemy, o co naprawdę chodziło — przynajmniej narazie jeszcze tego nie wiemy. Można jednak chyba powiedzieć, że rzecz szła głównie o władzę, a mniej o przekształcenie społeczeństwa. Z pewnym zastrzeżeniem: na pewno chodziło również o uformowanie społeczeństwa w bezwolną, zdyscyplinowaną masę, pozwalającą manipulować sobą zgodnie z tajnymi zamierzeniami góry. Ale nie wiem, czy to osiągnięto w pełni.

Mimo trwającej od lat kampanii nienawiści do cudzoziemców, mimo milionowych pochodów, manifestacji i obłędów obcych ambasad (jeden z gmachów ambasady brytyjskiej nadal, kiedy byłem w Pekinie, straszyl wypalonymi oczodołami), mimo opluwania i oblewania moczem dyplomatów, poniewierania ich żon i dzieci, mimo że to wszystko wydarzyło się w niedawnej przeszłości — w ciągu dwóch tygodni mojego pobytu, podczas kilkunastokilometrowych spacerów, zapuszczając się w odległe, ubogie uliczki — nigdy nie zauważyłem choćby jednego wrogiego wobec mnie odruchu. Nie tylko nikt nie splunął na mój widok, nie potracił, nie popchnął, nie nawymyślał, ale nie zauważyłem nawet ani jednego wrogiego spojrzenia. Raz tylko, gdy zwiedzając cesarski Pałac Letni mijałem grupkę siedzących żoł-

nierzy, jeden z nich coś zawołał, a pozostali roześmieli się. Pewnie powiedział coś o „zamorskich diabłach”. Poza tym jednak nic mi się nie przydarzyło, ale nie ośmieliłbym się wyciągać z tego jakichkolwiek wniosków.

Innym razem, w tymże pałacu, siedziałem samotnie na ławce, gdy podeszło do mnie dwóch Chińczyków. Najpierw rozejrzeli się bacznie dookoła, a potem ze śmiechem, wyraźnie drwiąc, pokazali zamalowane na biało podczas rewolucji kulturalnej dekoracje na ścianach. Nie rozumiałem, co mówili, ale pojąłem, co chcieli wyrazić...

Jest w tym mieście wiele rzeczy, przed którymi człowiek się wzdryga. Ale jest to również miasto fascynujące. Spotyka się tam kamienne, nacechowane wystudiowaną nieuprzejmością twarze ludzi w miejscach urzędowych, ale częściej, w miejscach mniej urzędowych, spotyka się uśmiech, uprzejmość i chińską tradycyjną grzeczność. Widać wszędzie hasła wzywające, by powiesić tego lub owego, rozbić psie głowy tych lub tamtych, ale w autobusach ludzie uważają, by kogoś nie popchnąć i pomagają sobie przy wysiadaniu. Są kraje, gdzie oficjalne apele, by przestrzegać wskazań kultury, uderzają jak groch o ścianę. Tutaj władzy najwyraźniej nie udało się nakłonić społeczeństwa, by odrzuciło całą dawną kulturę.

Nie można w Pekinie otrząsnąć się z poczucia ogromnej fascynacji. Może przyczyną jest pamięć o wielkiej historii i wielkiej minionej kulturze? Może przybysz nie umie zapomnieć przeszłości tego narodu, tych szczytów wiedzy, artyzmu, wyrafinowania, które zdumiewały świat? A może przeczuwa — mimo wszystko, mimo przejściowych eksplozji szaleństwa — wielką jego przyszłość?

Nie wiem, ale wrażenie jest naprawdę głębokie.

## Rozdział IV

### Tutaj mówi się o kulturze i sztuce oraz o oświacie, czyli o tym, co zostało wyrócone do góry nogami

Uważamy, że przymusowe rozpowszechnienie jednego jakiegoś stylu, jednej jakiejś szkoły i zakazanie innego stylu, innej szkoły siłą administracyjną — jest szkodliwe dla rozwoju sztuki i nauki. Kwestia, co jest słuszne, a co jest niesłuszne w sztuce i nauce, powinna być rozstrzygana w drodze swobodnej dyskusji w środowisku artystycznym i naukowym, a nie powinna być rozwiązywana metodami uproszczonymi.

Mao Tse-tung: „O właściwym traktowaniu sprzeczności w łonie ludu” (27 lutego 1957 roku).

— „A co ze szkołą? Czy system oświaty był zadowolający?”

— Szkoła podstawowa była blisko domu, ale do szkoły średniej było siedemnaście kilometrów. Dzieci chodziły do szkoły na piechotę, a czasami podjeżdżały wozem. Uczono je pisać i czytać, ale zajęcia dotyczyły głównie polityki — myśli Mao Tse-tunga. Podczas rewolucji kulturalnej nauczano niemal wyłącznie myśli Mao.

— Czy wiele dzieci podjęło studia na uniwersytecie?

— Nie słyszałam o nikim takim.

— Co robiliście po pracy? Czy mieliście jakieś rozrywki?

— Nie wolno nam było urządzać przyjęć ani grać w mahdżonga, nawet jeśli mieliśmy czas. Nie można było urządzać przyjęcia weselnego ani stypy pogrzebowej. Pozwalano tylko na sam obrzęd, bez uroczystości. Nie obchodzono uroczystości nawet urodzin, chociaż wolno

było wręczać prezenty dziecku albo jego rodzinie. Co trzy dni dostarczano sołtysowi gazetę. Na ścianie jego domu wisiała gazetka ścienna, ale nie mieliśmy pism ilustrowanych. Co jakiś czas mówiono nam przez głośniki, co się dzieje na świecie. Co wieczór urządzano po kolacji półtoragodzinne zebranie, na którym studiowano myśli Mao Tse-tunga”.

(Z wywiadu z chłopką Wakayabashi)

Wspaniałe, stare, kamienne mury miejskie Pekinu, wysokości kilku pięter, otaczające wielokilometrowym pasem tak zwane Miasto Wewnętrzne — już nie istnieją. Ze ściśniętym sercem oglądałem podczas mego pobytu jak buldożery i robotnicy z kilofami wgryzali się codziennie w ostatni ich kawałek, położony obok Muzeum Przyrządów Astronomicznych. Muzeum jest, jak wszystkie muzea w Pekinie, zamknięte, ale na jego płaskim dachu widać moknące na deszczu stare i bezcenne astrolabia, sfery, kwadranty, ekwatoriały. Astronomia w Chinach zaczęła się przed pięciu tysiącami lat..

Muzeum jest zamknięte, ale chyba nie będzie rozebrane. Natomiast mury znikły, ich kamienie poszły na umocnienie schronów przeciwlotniczych. Zostawiono tylko wspaniałą bramę Cien-Meń.

Nikt z Europejczyków nie wie, czy dzieła zgromadzone w innych muzeach ocalały czy nie. Najprawdopodobniej są tylko ukryte, chociaż w innych miastach — w Kantonie i Szanghaju — zaobserwowano podczas rewolucji kulturalnej niszczenie cennych dzieł sztuki, demolowanie antykwariatów, tłuczenie porcelany, rąbanie mebli. Niektórzy cudzoziemcy kupowali wówczas za bezcen cudowne wazy czy meble z różanego drzewa, misternej roboty, ale i tak nie pozwolono ich wywieźć. Natomiast w Pekinie nie stwierdzono niszczenia wnętrza

muzealnych. Można też uznać za pewne, że sławny cesarski Pałac Zimowy, stanowiący środek miasta, szczelnie zamknięty murami i pilnowany przez posterunki wojskowe, stanowiący podobno rezydencję Przewodniczącego — nie został naruszony. W pogodny dzień można się przyjrzeć pałacowi z wierzchołka Góry Węglowej, stanowiącej park dostępny dla publiczności. Za imponującymi murami widać spadziste i wygięte dachy budynków wchodzących w skład Pałacu Zimowego, kryte dachówką w kolorze złota, zastrzeżonym dla pałaców cesarskich. Zwiedzający park ludzie spoglądają na pałac z obawą i czcią.

Nieliczne, otwarte zabytki, takie jak Pałac Letni, Świątynia Nieba, Świątynia Słońca, pozbawione są urządzenia wewnątrz i okrutnie zeszpecone portretami i sloganami. Wszystkie stare malowidła przedstawiające ludzi zostały zamazane białą farbą. Pozostały natomiast pełne uroku i poetyckiej lekkości pejzaże, wizerunki zwierząt, wyobrażenia roślin i kwiatów. Olbrzymie plansze z cytatami, pisane złotymi hieroglifami na czerwonym tle, szpecą architekturę, ale mnie — nie otrzaskanemu z Chińczykami — nie wydały się aż tak rażące, jak muszą razić wykształconych Chińczyków. Pomyślmy, gdyby tak od góry do dołu obwieszono transparentami fasadę Pałacu Wilanowskiego, krużganki wawelskie, Katedrę Gnieźnieńską — jak byśmy się wtedy czuli?

W Świątyni Słońca widziałem obalone i potrzaskane stele marmurowe, przepięknie zdobione i opatrzone napisami, a przewrócone przez Czerwoną Gwardię.

Życie umysłowe, takie, jak my to pojmujemy, nie istnieje. W księgarniach można dostać tylko dzieła Mao i Lin Piao, a także kilka krótkich opowiadań o ludziach, którzy wiernie wypełniali ich wskazania. Czytałem jedno z tych opowiadań, przełożone na język angielski i do końca nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy jest ono napisane

ne na serio, czy też jest w rzeczywistości bezgraniczną kpina. Była w nim mowa o chłopie, który całe życie głosił chwałę Przewodniczącego i pomagał innym. Dzięki jego wysiłkom wieś, w której mieszkał, zaczęła się zmieniać. Chłopi budowali nowe domy, on sam natomiast wciąż mieszkał w wygrzebanej w ziemi norze. Pytany, czemu nie zbuduje sobie domu, jak inni, odpowiadał:

— Nie czas na to, póki w naszej wsi nie wszyscy jeszcze mieszkają w nowych domach.

Nadszedł dzień, kiedy wszyscy już przenieśli się do nowych domów. Wówczas znów spytano niestrudzonego aktywistę, czemu on jeden nie zbuduje sobie nowego pomieszczenia. Odpowiedział:

— Nie czas na to, póki Tajwan wciąż pozostaje w szponach imperialistów!

Nie trzeba było długo czekać na skutki mieszkania w wilgotnej, nie opalanej norze. Najpierw z nędzy, chłodu i niedożywienia zmarły dzieci aktywisty. Później umarła żona. Wreszcie on sam nabawił się nieuleczalnej choroby. Gdy leżał już na łożu śmierci, zwołał mieszkańców wsi i ostatkiem sił cytował myśli Przewodniczącego. Powiedział też coś w tym rodzaju:

— Oddałem Przewodniczącemu zdrowie i życie. Głoszenie jego myśli nabawiło mnie nieuleczalnej choroby. Pamiętajcie, idźcie drogą, którą wskazuje Przewodniczący!

I wyzionął ducha. Zakończenie opowiadania wydało mi się po prostu bezczelne w swojej śmiałości. Wszystko było jednak napisane zawiłym chińskim stylem i nie byłem pewny, czy słusznie czynię odczytując to tak, jak przywykliśmy podobne teksty odczytywać w innej części świata. Ale pamiętałem też, że Chińczycy zawsze słynęli z bystrej i wyrafinowanej inteligencji...

W jednym ze sklepów kupiłem płytę z fragmentami opery „Czerwona Latarnia”. Płyta jest dobrze nagrana

i prezentuje wybrane fragmenty utrzymanej w klasycznych kanonach chińskiej opery. Ale... prócz tradycyjnych instrumentów jest tam również akompaniament fortepianowy. Do płyty dołączono eksplikację po chińsku i po angielsku. Oto ona:

„Cytat Przewodniczącego Mao Tse-tunga: Niech przeszłość służy teraźniejszości, a rzeczy obce służą Chinom.

Kierowani wspaniałymi myślami Przewodniczącego Mao... rewolucyjni artyści Centralnej Filharmonii i Zespołu Pekijskiej Opery Chińskiej wspólnie skomponowali akompaniament fortepianowy do opery «Czerwona Latarnia», zgodnie z instrukcjami towarzyszącej Cziang Czing.

Już w roku 1964 Towarzyszka Cziang Czing, działając zgodnie z rewolucyjną linią Przewodniczącego Mao w dziedzinie literatury i sztuki, wydała instrukcję, że fortepian powinien być używany do akompaniowania operom o współczesnej, rewolucyjnej treści. Jednakże garstka kontrrewolucyjnych rewizjonistów... przez dłuższy czas ukrywała tę ważną instrukcję. Potężna, wielka, proletariacka rewolucja kulturalna zmiażdżyła zbrodnie tej garstki wrogów klasowych... W rezultacie zachodni instrument muzyczny zajął po raz pierwszy w dziejach miejsce na scenie Opery Pekijskiej.

...Ten uwieńczony sukcesem eksperyment w posługiwaniu się zagranicznymi wynalazkami po to, by służyły Chinom, otworzył drogę dla nowych gatunków proletariackiej sztuki rewolucyjnej. Otworzył drogę dla zachodnich instrumentów muzycznych, muzyki symfonicznej i dla akompaniamentu operowego w naszej wielkiej Ojczyźnie. W pełni wykazał wielką witalność nowej, rewolucyjnej literatury i sztuki proletariatu i raz jeszcze zademonstrował nieskończoną moc proletariackiej, rewolucyjnej linii Przewodniczącego Mao”.

Byłoby to bardzo przekonujące, gdyby nie fakt, że wszystko w tym tekście jest zupełnie sprzeczne z hasłami, pod jakimi młodzież z Czerwonej Gwardii szturmowała starą kulturę, stare obyczaje, stare urzędnictwo, zwłaszcza zaś zgniłe wpływy zachodu. A młodzieży tej przewodziła wszak pani Cziang Czing, żona Przewodniczącego Mao. Za sloganowymi oparami tego tekstu widać oblicza ludzi, którzy rozumują sprawnie i bystro.

Pani Cziang Czing wydawała wtedy zupełnie inne instrukcje. To ona sprawiła, że gdy w roku 1957 spis sztuk słynnej wówczas opery pekińskiej zawierał 1 300 pozycji, to obecnie zawiera tylko cztery opery i dwa balety. Owe sześć jedynych dozwolonych utworów zostało gruntownie i własnoręcznie przerobionych przez panią Cziang Czing. Usunęła ona wiele dawnych arii, wprowadzając na ich miejsce nowe, złożone wyłącznie z cytatów Mao Tse-tunga. Na jej polecenie usunięto wszystkie postacie charakterystyczne, pozostawiając wyłącznie „współpracowników Mao”, „propagatorów idei Mao”, „żołnierzy Mao” — no i, oczywiście, wrogów.

Zakazano wyświetlania czterystu filmów pełnometrażowych, wyprodukowanych w Chinach w ubiegłych latach. Nie wyświetla się również żadnych filmów zagranicznych. Nakręcono natomiast około trzydziestu filmów dokumentalnych poświęconych wyłącznie Mao Tse-tungowi.

W Pekinie cztery razy w tygodniu działa telewizja, ale nie ma prywatnych odbiorników telewizyjnych, są natomiast zbiorowe seanse telewizyjne w przedsiębiorstwach, w komunach ludowych i w tych szkołach, które są czynne. Każdy seans zaczyna się od pokazania na ekranie oświetlonej aureolą głowy Mao, która powoli rośnie, aż zajmuje cały ekran. W tym czasie spiker czyta myśli Wodza. Trwa to długo, a później pokazywane

są fragmenty jednej z czterech oper lub któryś z dozwolonych filmów dokumentalnych. Program ten jest powtarzany bez końca, miesiącami i latami, widzowie wielokrotnie obejrzeni już każdą pozycję. Prócz tego pokazywany jest dziennik, bardzo szczególny, bez prowadzącego, złożony wyłącznie z materiałów filmowych. Ukazują one zawsze jakąś fabrykę, pracę w którejś z komin, kopanie jakichś rowów czy budowę tam. Polega to głównie na szybkim machaniu łopatami (dla zwiększenia efektu zdjęcia są nieraz przyspieszane) i cytowaniu myśli Przewodniczącego. Innych wiadomości nie ma. Wiadomości zagraniczne w telewizji nie istnieją, chyba że chodzi o wizytę obcej delegacji w Pekinie. W prasie wiadomości zagraniczne są podawane tylko wtedy, gdy ich zamieszczenie ma znaczenie aktu politycznego. Zamieszczanie informacji tylko po to, by ludzi o czymś poinformować — jest zjawiskiem nieznanym.

Nigdy dotąd nie podano wiadomości, że człowiek wyładował na Księżycu.

Szkoły wyższe i średnie — z nielicznymi wyjątkami — nadal nie działają. Te, które zostały ponownie otwarte, przestrzegają nowego programu. Polega on na studiowaniu myśli Mao, na pracy fizycznej, uczeniu się od robotników i żołnierzy, oraz — prawdopodobnie — na przyswajaniu sobie przez młodzież pewnej dozy innej jeszcze wiedzy, ale niczego o tym nie wiadomo dokładnie, jako że wszystkie dawne podręczniki zostały zakazane, a nowych nie ma. Szkoły podstawowe są czynne, a ich program obejmuje: 1) studiowanie myśli Przewodniczącego, 2) obronność, czyli ćwiczenia wojskowe, 3) pracę produkcyjną, 4) nauki ogólne (pisanie, czytanie, rachunki).

Nie ma podręczników, nie ma też prawie nauczycieli. Dawni nauczyciele i profesorowie zostali w okresie rewolucji kulturalnej poddani takim poniżeniom i maltre-

towaniu, byli bici, opluwani, ośmieszani, włóczęni w błazeńskich przebraniach po ulicach — że dziś nikt nie potrafi namówić ich, by wrócili do pracy. Utrata twarzy jest w Chinach nieszczęściem gorszym niż utrata ręki. Większość pedagogów wróciła więc do rodzinnych wsi (w Chinach każdy ma rodzinną wieś, nawet jeśli jego przodkowie od dawna osiedlili się w mieście). Na wsi zaś, w komunach, człowiek umiejący czytać, pisać i rachować, mający ponadto sporo innej jeszcze wiedzy — jest bezcennym nabytkiem. Tak więc chińska kadra pedagogiczna w większości rozplynęła się na wsi. Mogłoby to nawet mieć korzystne skutki, gdyby nie fakt, że chińska oświata praktycznie przestała istnieć. Jest to, jak mi się zdaje, największa szkoda, jaką Chiny wyrządziły same sobie. Widziałem już wiele krajów zacofoyanych i wiem, że oświata jest warunkiem, bez którego nie mogą one uczynić ani jednego kroku. Chiny zadały swojej oświacie rany, z których długo jeszcze nie zdoła się ona wyleczyć. To budzi największe zdziwienie i żal.

W Pekinie buduje się schrony, ale nie buduje nowych domów. Stare kruszeją i popadają w stan coraz większego zapuszczenia. Ludzie milczą, choć czasem się uśmiechają. Mówię szczerze: nie rozumiem Pekinu, nie rozumiem Chin, wiem zbyt mało. A przecież wiem, takie jest moje najgłębsze przekonanie, że to, co się w nich dzieje, jest bardziej skomplikowane, niż możemy przypuszczać. I jestem również przekonany, że niesłuszne byłoby wnioskowanie, iż siedemsetmilionowy naród o takiej historii i kulturze nagle został oduczony myślenia.

Trudno w Chinach uwierzyć, że gdzieś istnieje jakiś inny świat. Trudno w świecie uwierzyć, że mogą istnieć Chiny.

## Zdziwienie trzecie:

---

### Wietnam, czyli współczesna Sparta

Zdziwienie trzecie przeżyłem nad brzegami Rzeki Czerwonej i tych wszystkich rzek, które przecinają Wietnam w poprzek co kilkanaście kilometrów aż na południe do strefy zdemilitaryzowanej. Szerokich, pięknych rzek, które wzbogacają wietnamski krajobraz, lecz ułatwiały planowanie amerykańskim oficerom sztabowym.

Będzie to opowieść pełna grozy, cierpień i gruzów, opowieść, w którą ja sam tylko z trudem mogłem uwierzyć — a przecież prawdziwa. Trzeba będzie wielu lat, zanim uczeni mężowie: historycy, socjologowie, psychologowie, politolodzy, badacze cywilizacji przedstawią nam wiarygodną analizę tłumaczącą, jak i co to było. Ja zaś mogę tylko najprościej spisać to, co widziałem i słyszałem. Oto mój dziennik wietnamski, wierny zapis kilkunastu dni, wydarzeń, jakich byłem świadkiem, zasłyszanych opowieści, myśli, jakie przyszły mi do głowy. Wybieram z niego tylko kilka dni, tych, które miały dla mnie największe znaczenie.

#### Dzień pierwszy

Centrum Hanoi. Przed oknem cudowne drzewa „ilang-ilang”, obwieszane kiściami pomarańczowych kwiatów. Wyglądają, jakby ustrojono je setkami soczy-

stych pomarańczy. Wszędzie dużo kwiatów: na skwerach, na bazarze, w kwaciarniach. Kobiety wyplatają wielkie, misternie skomponowane wieńce czy też może kosze, uwite z kilkunastu gatunków kwiatów. W środku miasta, nad jeziorem, kiosk pełen pysznych kolorów, gromadzą się przy nim ludzie. Czy te kwiaty są wesołe czy smutne? Tego nie wiem, jeszcze nie wiem, a może nie będę wiedział do końca.

Za oknem nieustający brzęk dzwonekó w rowerowych. Trąbienie samochodów, których niedużo, ale każdy trąbi bez wytchnienia. W godzinie szczytu trudno przecisnąć się wśród rowerzystów, w obie strony sunie ulicami nieprzejezdne, dwukołowe mrowie. Czasem są to żołnierze z siatkami ochronnymi na hełmach, z wplecionymi w nie sztucznymi liśćmi, czasem stare kobiety o ustach czerwonych od żucia betelu, najczęściej młode dziewczęta i kobiety. Pierwszy, najbardziej widoczny na ulicach, na targach, w nielicznych ocalałych fabrykach i na niezliczonych ryżowiskach fakt wojenny: wszędzie są kobiety, głównie kobiety.

Widzę na ulicy starego człowieka, który sprzedaje groszowe zabawki: różnobarwne, papierowe samolociki. Gromadzą się wokół niego dzieci. A niedaleko stąd, może o dwa kilometry, widziałem ślady prawdziwych samolotów: pogruchotane hale fabryczne, poskręcane żebra stalowych rusztowań, osmolone mury, spalone domy, ściany, gdzie widać poprzeczne przekroje mieszkań, które znikły, zarysy klatki schodowej, wiszący piec kuchenny. Lokator na piętrze pomałował mieszkanie na niebiesko, jego sąsiad na parterze wolał kolor różowy. Mieszkań już nie ma, zostały tylko resztki farb i świadectwo upodobań właścicieli. Może ich też już nie ma? Mieszkańcom Warszawy, Wrocławia, Leningradu, Coventry, Rotterdamu — nie trzeba przypominać, jak takie ściany wyglądają.

Jestem w Hanoi. Za oknem dzwoni, samolotów nie słycać. Usłyszę je później, na południu republiki. Teraz zaczynam mój dziennik. To miasto wzbudziło w świecie tyle ludzkich uczuć, ile kiedyś Madryt czy Barcelona, może więcej. A przecież to tylko biedne, ludowe miasto, dalekowschodnie skupisko ludzkie bez dalekowschodnich przepychów, o ileż skromniejsze od tamtych miast hiszpańskich. A jednak wywalczyło sobie w historii prawo, by nosić głowę wyżej. Republikanie przegrali, obrońcy Hanoi nie dali się pobić. Dzieje ostatnich lat w Wietnamie są w historii świata przykładem bez precedensu. Wszystkie analogie, wszystkie podobieństwa są powierzchowne i złudne. Trzeba przekształcić wspomniały aforyzm Churchilla, powiedzieć: nigdy jeszcze tak ubodzy nie stali się tak kosztowni dla tak bogatych, nigdy tak skromni nie okazali się tak hardzi wobec tak pysznych.

Po co tu przyjechałem? Wciąż i wciąż zadaję sam sobie to pytanie i muszę je powtarzać, by nie dać się ponieść fali uczuć ani nie zgubić w powodzi wrażeń i szczegółów, jakie runęły na mnie od pierwszej godziny w Hanoi, jakby pękły tamy powstrzymujące wody Rzeki Czerwonej. Chcę, oczywiście, opisać to, co zobaczę. Chcę też spróbować zrozumieć ten niezwykły fakt, jakim jest Wietnam, zrozumieć choć trochę, choć tyle, by wyrobić sobie własny, najogólniejszy sąd, nie ten z Warszawy, z redakcyjnych pokojów, z dalekopisów i nastuchów radiowych, ale z rozoranych dróg, zerwanych mostów, wbitych w ziemię miast, poprzez które wciąż i nieprzerwanie, na przekór wszystkiemu toczy się wojenny transport. Pytam się również, czy nie przyjechałem za późno? Na północ od siedemnastego równoleżnika dziś już nie padają bomby, a jeśli padają, to dorywczo, dla przypomnienia, by znowu wzbudzić niepokój. Ale już po pierwszych godzinach i pierwszych

rozmowach widzę, że nie za późno. Sytuacja zmieniała się, ale dramat trwa, wygrano wielką bitwę, ale wojna toczy się dalej. Choć bomby już nie padają, rzeczywistość wietnamska, ten uparty chłop pod słomianym kapeluszem, pchający przed sobą rower obciążony dwustu kilogramami ładunku, nadal kroczy trudną, zaminowaną drogą, pełną zasadzek, a pozbawioną obietnic odpoczynku\*.

Na razie zwiedzam miasto. Pragnę zobaczyć, jak żyją ludzie, którzy jeszcze wczoraj toczyli codzienny bój z amerykańską awiacją i elektroniką, z wytworami laboratoriów Kalifornii, ze stałą z Pittsburga, z komputerami z Massachusetts. Oto ulica Hang-Dao, hanoiska Marszałkowska. Zegarmistrze, trochę sklepów z bardzo skromną konfekcją, sprzedaż trociczków, czyli kładziek, nieco najprostszyc zabawek, dwa sklepy, a właściwie budki z folklorem w postaci wietnamskich skrzypiec, mat, obrazków, glinianych figurek. Dalej słomiane kapelusze, garnki, szkło, okulary, lampy naftowe, długie warkocz z kobiecych włosów, tak zwane tresy, bilety na loterię. To właściwie wszystko. W tym mieście surowej, wojennej rzeczywistości handel odgrywa rolę niewielką. Ludność otrzymuje przydziały żywnościowe: 12—20 kilogramów ryżu miesięcznie, w zależności od rodzaju pracy, do tego trochę mąki, tłuszczu i mięsa, dla dzieci nieco mleka. Każdy ma zapewnioną swoją porcję pożywienia, ale jest tego niewiele, nie każdemu wystarcza, więc choć o jedzeniu się nie mówi, jednak się o nim myśli, a czasem Wietnamczycy przyznają się do tych myśli, choć czynią to rzadko i z zażenowaniem.

Przydziały obejmują też mydło i trochę tkanin bawełnianych. Podczas nalotów zaczęło brakować mydła

---

\* Później bomby zaczęły znów spadać, ale podobnie jak w poprzednim rozdziale — opisuję tu tylko to, co sam widziałem.

i trzeba było zmniejszyć przydziały o połowę, by móc zaopatrzyć armię. Pewien wysoki urzędnik wietnamski powiedział mi:

— Ho Szi Minh napisał: nie bójmy się być ubodzy, bójmy się, by lud nie był niezadowolony. Znaczy to, że przydziały mogą być skromne, ludzie to rozumieją, ale muszą być sprawiedliwie rozdzielane.

Cóż to jednak znaczy: sprawiedliwy rozdział? Według jakich zasad? Praca dyrektora fabryki jest ważniejsza niż sprzątaczkki, ale jeśli dyrektor otrzyma większy przydział żywności, sprzątaczkka będzie to uważała za niesprawiedliwość i wielu innych będzie tego samego zdania. Ale jeżeli sprzątaczkka i dyrektor będą dostawać tyle samo ryżu i mydła — to czy wtedy będzie to sprawiedliwe? Oto pytania, które przychodzą do głowy reporterowi przybyłemu z dalekiego, europejskiego kraju, gdzie nie ma wojny, ale są trudne problemy społeczne i gospodarcze. Jednak w Wietnamie nie można znaleźć na to odpowiedzi, tam gdzie jest wojna, problemy sprawiedliwego podziału rozwiązać łatwiej, choć może to się wydawać zaskakujące.

W dzisiejszym Wietnamie zaopatrzenie w towary przemysłowe jest nad wyraz skromne. Rower kosztuje dziewięć do dwunastu średnich pensji, toteż rowery są naprawiane, remontowane, łatanie, a na drogach widzi się wehikuły sprzed kilkudziesięciu lat. Nigdzie samochód nie jest tak ceniony, jak tutaj stary, powiązany drutem rower. Komunikacja miejska w Hanoi istnieje tylko w bardzo skromnych rozmiarach, a na wsi nie ma w ogóle żadnej komunikacji.

Sweter kosztuje półtorej pensji, koszula jest cennym dobrem, które każdy bardzo szanuje. W domu towarowym jest trochę naczyń z plastyku, żarówek, latarek, narzędzi, butów, nieco konfekcji. Są radia tranzystorowe, ale bardzo kosztowne, trochę mat, wiecznych piór,

ołówków i termosów. Materiałów włókienniczych niewiele. Są jeszcze lekarstwa w aptekach, a poza tym właściwie już nie ma żadnych towarów przemysłowych.

Jest natomiast wolny rynek żywnościowy. W wielkiej hali mieszczącej bazar widzę sporo jarzyn, różne pieprze i przyprawy, ryż, makaron sojowy. Są też pomarańcze i banany, są ryby, kury, mięso wieprzowe. Ceny wysokie.

Moi dotychczasowi rozmówcy nie ukrywają tego niezależnie od zajmowanych stanowisk i perspektywy, z jakiej spoglądają na życie codzienne. Ale podkreślają również, że podstawowe potrzeby są zaspokojone. Co to znaczy? Po prostu każdy ma co zjeść, czym się umyć i ma też zapewnione najprostsze odzienie. W warunkach południowo-wschodniej Azji to wcale niemało, a w kraju przez cztery lata bombardowanym — to bardzo wiele. Społeczeństwo wietnamskie nie jest społeczeństwem konsumpcyjnym. Nie żyje po to, by spożywać, spożywa natomiast tylko tyle, by móc utrzymać się przy życiu i walczyć. Jest to społeczeństwo walczące. W imię walki zrezygnowało ze wszystkiego, z wyjątkiem nielicznych rzeczy, bez których naprawdę nie można się już obyć. A przecież, mimo tej spartańskiej atmosfery walczącego obozu, na ulicach pełno śmiechu, gwaru, pogody. Dzieciaki, kiedy się do nich uśmiechną, promiennie się odwzajemniają. Kobiety są delikatne i urocze, a choć ubrane jednostajnie, to jednak wiele z nich wyróżnia się wdziękiem i kokieterią. Stare kobiety wyglądają jakby żywcem wyjęte z dawnych sztychów. Tłum na ulicach Hanoi mimo wszystko nie sprawia wrażenia tłumu przybitego troską.

Centrum Hanoi nie zostało zbyt doświadczone przez naloty, bomby zburzyły tylko nieliczne domy, a trochę innych lekko uszkodziły rakiety. Inaczej było na przedmieściach, gdzie znajdowała się większość zakładów

przemysłowych. Otaczające miasto fabryki, warsztaty i magazyny zostały doszczętnie zdruzgotane lub wypalone. Natomiast centrum stoi, tyle że nie remontowane od dawna domy sprawiają wrażenie zużytych i zaniedbanych. Niegdyś Hanoi było zapewne kwintesencją miasta kolonialnego. Trochę pompatycznych, oficjalnych budynków z kolumnami, pałac gubernatora w ogrodzie, trochę ładnych willi należących do wysokich urzędników administracji kolonialnej lub dyrektorów wielkich przedsiębiorstw eksportowo-importowych, kilka gmachów bankowych, koszary. Prócz tego kilkanaście czy kilkadziesiąt ulic zabudowanych jedno lub dwupiętrowymi domami — i już przedmieścia, gdzie w trzcinowych chatkach gnieździł się tubylcy: służący, posługacze, robotnicy, pracownicy kolei, najniższa kategoria urzędników, portierzy, ogrodnicy, kucharze, drobni krawcy, szewcy, murarze. Prócz tego legion obsługujących wojsko prostytuttek.

Dziś centrum Hanoi należy do ludu, zatraciło charakter kolonialny, choć nie zdołało w wyniku wojny nabrać własnego, oryginalnego. Jest zaniedbane, sypią się tynki, odpada farba, niszczej futryny. Na remonty nie ma czasu, ludzi i pieniędzy. Czasy panowania Francji rozpoznac można w architekturze, innych śladów nie ma, chyba że w psychice i zachowaniu starszych ludzi. W jednym tylko miejscu zauważyłem wystający spod opadającej farby francuski napis: „Fromagerie-Laiterie”. Jak na osiemdziesiąt lat „obecności francuskiej” — niewiele...

I jest również hotel, w którym zatrzymują się przyjeżdżający do Hanoi cudzoziemcy, jeden z dwóch służących do tego celu hoteli. Strzałki z francuskimi napisami: „do schronu”, głębokie, kryte skórą fotele, obracające się wiatraki pod sufitem, olbrzymie łoża z moskietierami, termosy z gorącą wodą do parzenia herbaty

i do mycia zębów (bo ameba!). Długi bar, przy którym wieczorem spotkać można kilku inżynierów niemieckich, jakichś Czechów, paru Polaków, korespondenta francuskiej agencji prasowej. Zwykle też przychodzi paru Arabów, którzy niegdyś służyli w Legii Cudzoziemskiej, potem przeszli na stronę Vietcongu, a teraz nie bardzo wiedzą, co ze sobą zrobić. Kobiet nie ma zupełnie, z wyjątkiem barmanki i dwóch czy trzech kelnerek, ale nie można się po nich niczego spodziewać, w Wietnamie takie sprawy są nie do pomyślenia, dziewczyny mają surowo zakazane kontakty z cudzoziemcami. Mężczyźni siedzą więc przy barze ponurzy i milczący, a nie mając po kogo wyciągnąć ręki, wyciągają ją tym lżej po kieliszek. Wieczorem atmosfera rozgrzewa się więc nieco, ale i tak wisi w niej ciężki, wilgotny smutek tropików, trochę jak w powieści Romain Gary „Korzenie nieba”, trochę jak z opowiadań Conrada.

A nieco dalej poza centrum, w stronę Rzeki Czerwonej, jest inne miasto. Niedaleko za gmachem muzeum historycznego, za groblą chroniącą przed wylewami, pasie się stado bawołów. Naokoło leży nieco rozrzuconego złomu żelaznego, trochę starych zdezolowanych ciężarówek, rdzewiejących ciągników, przyczep samochodowych. Dalej już jest rzeka. Czerwonobura jak przystało Rzece Czerwonej, aż gęsta od osadów, bardzo silny prąd. Stoją holowniki, jacyś ludzie jedzą na pokładzie ryż z miseczek, z dala widać sampany o żaglach w kształcie skrzydeł nietoperzy. Wieje porywisty wiatr, słynny monsun, jest chłodno. Dalej, wzdłuż brzegu rozciąga się ni to miasto, ni to wieś, pozostałość z dawnych czasów, na której likwidację nie starczyło dotąd sił, środków i okoliczności sprzyjających. Domy z mat trzciniowych, prętów bambusa, liści palmowych i drewnianych słupów. Długa ulica, gęsto z obu stron zabudowana.

Chmury dzieciaków, zapach trociczek i dymu z ognisk, leżą sterty pociętych bambusów. Wewnątrz izb bambusowe łoża. Zabudowa ciasna, aż dreszcz przechodzi na myśl o pożarze. W pobliżu pontonowy most przerzucony przez rzekę, więc i na tę dzielnicę spadły bomby, przyniosły ogień. Było wiele ofiar. Dziś nie widać już śladów, podobne domki odbudowuje się w Wietnamie w ciągu kilku dni. Nikt jednak nie przywróci życia zabitym, nie wynagrodzi cierpień poparzonym. Idę długą ulicą wśród bambusowych chat. Przed oczami mam scenerię, która wydaje się przywróconym do życia opisem z conradowskiego „Szaleństwa Almayera”. Idąc myślę o szaleństwie Johnsona i współczesnego świata.

Przez cały dzień pertraktowałem z gospodarzami w sprawie wyjazdu na południe, w stronę strefy demarkacyjnej. Zgadzają się, ale mówią, że to wymaga przygotowań.

— Brakuje hoteli — mówią. — Nie ma gdzie spać. Trzeba uprzedzić władze prowincji.

Hotele? Nie mam takich wymagań, mogę spać byle gdzie. Chcę jak najszybciej jechać. Patrzą na mnie z poblażaniem.

— Nie wiecie, jak tam jest. Tam wygląda zupełnie inaczej.

Mój pierwszy wieczór w Hanoi. Jest cicho, trudno wyobrazić sobie, że to milionowe miasto. Ogromna cisza nocna w Hanoi. Ludzie idą spać najpóźniej o jedenastej.

## Dzień drugi

Wojna się nie skończyła. W Muzeum Rewolucji pokazują mi drogę, jaką Wietnam przeżył od początków ruchu niepodległościowego do dziś. Najpierw patetycz-

na ubogość pierwszych odezw, ulotek i gazetek. Pisane ręcznie, na skrawkach papieru, czasem zawierające tylko kilka zdań, czasem tylko jedno hasło. Przywodzą na myśl zabytki z czasów pierwszych chrześcijan. Kiedy w wioskach za bambusowymi płotami bosi ludzie w słomianych kapeluszach podawali sobie ukradkiem te odezwy — tu, w Hanoi, pod kręcącymi się wiatrakami, panowie w białych frakach dyskutowali wieczorami o cywilizacyjnym znaczeniu „présence française”. Kiedy nikomu nie znany młody robotnik używający pseudonimu Ho Szi Minh usiłował dostać się do głównych uczestników konferencji wersalskiej, by przedłożyć im żądanie przyznania Indochinom pełnej niepodległości, stary tygrys Clemenceau krajał mapę świata stojąc na czele państwa, które bezapelacyjnie wygrało pierwszą wojnę światową. Czy polityk, przed którym ukorzyły się kajzerowskie Niemcy i którego głos przemawiał nabożeństwem wszystkie rządy ówczesnej Europy, mógł poważnie pertraktować z tym kiepsko odzianym przybłądą, co mieszkał w jednym z paryskich arrondissements i nawet konsjerżka w kamienicy patrzyła nań z góry.

Potem pojawiła się w dżungli broń: strzelby skałkówki z odwodzonymi kurkami, noże, ręcznie kute szable. Można sobie wyobrazić tych wychudzonych rewolucjonistów dawnych Indochin, dwudziestoletnich, bo rzadko udawało im się dożyć późniejszego wieku, z płonącymi oczami, przemykających się wśród trzciniowych chałup i ryżowisk. Była o nich mowa w zachowanych do dziś, porządnym, pisanych na maszynie raportach policji, z liczbą dziennika, nadrukiem „confidentiel”, z dopiskiem: do wiadomości. Wobec tych nowoczesnych i uporządkowanych archiwów policyjnych jakież szanse mieli obdarci autorzy jednozdaniowych gazetek? Gra nie była równa. Spadały głowy.

Później eksponaty nabierają rozmachu. Szarfy, „tricolore” pokryte podpisami żołnierzy Korpusu Ekspedycyjnego, zdobyte przez pojawiających się jak duchy żołnierzy Vietcongu. Zerwane z ramion oficerów Legii Cudzoziemskiej epolety, zerwane odznaczenia. Podziurawiony dach stalowy przykrywający w Dien Bien Fu stanowisko dowodzenia generała de Castries. Jakże zdumieni musieli być Francuzi, kiedy zostali pobici przez tych kulisów z Annamu, przez poganiaczy bawołów z Tonkinu, przez sadowników ryżu z mokradeł Kochinchiny! Nom de Dieu — przecież oni nie mieli żadnych szans!

A potem miejsce wojny z Francuzami zajmuje następna — jeszcze bardziej niszczycielska i nieubłagana. Wiele, wiele eksponatów, jedne wstrząsające, inne po prostu ciekawe. Najbardziej spodobał mi się stosunkowo prosty: słynny amerykański karabin „M-16”, przez kilka lat duma armii amerykańskiej, broń wyjątkowo skuteczna, a zarazem okrutna, bo niemal każdy postrzał z tego karabinu jest śmiertelny, jako że pociski rozrywają się w ciele ofiary na podobieństwo pocisków dum-dum. I otóż ten karabin, otoczony przez Amerykanów ścisłą tajemnicą, dostarczono do muzeum w Hanoi w tydzień po przekazaniu wojskom sajgońskim pierwszej partii tej broni.

Ta druga wojna wciąż się jeszcze nie skończyła. Oto niektóre ciekawe i niestandardowe myśli jednego z wyższych wietnamskich urzędników, zanotowane podczas długiej rozmowy nad szklaneczką „nowego ryżu”, doskonałej łagodnej wódki ryżowej. Oto jego monolog:

— Co przyniesie przyszłość? Przyszłość przyniesie w końcu nasze zwycięstwo. Kiedy? Na to nikt nie potrafi odpowiedzieć. Przeciwnik jest niesłychanie uparty. Wojna będzie długotrwała i trudna. Nixon jest

zręcznym i bardzo niebezpiecznym wrogiem, ma do dyspozycji olbrzymie środki, w tym również propagandowe. Potrafił osłabić opory wewnętrzne w USA, zdemobilizować ruch pacyfistyczny, podzielić i rozbroić studentów. Nie można lekceważyć takiego przeciwnika.

A jednak zwycięstwo przyjdzie na pewno, jeśli nie dziś i nie jutro, to za kilka lat. Potrafimy cierpliwie na nie czekać. Ale jeśli się patrzy w przyszłość, uważnie obserwuje i ma odwagę myślenia, to jasne się staje, że nawet zwycięstwo nie rozwiąże wielu naszych problemów, a stworzy nowe. Wojna spowodowała niesłychaną liczbę ludzkich tragedii. Prócz mnóstwa zabitych, rannych, okaleczonych, wynikiem wojny stały się również podziały wewnętrzne. W wielu rodzinach na Południu są ludzie po obu stronach barykady. Oficerowie, urzędnicy, nawet żołnierze zarabiają tam bardzo dużo. Jaką pracę dać im po zjednoczeniu? Co zrobić z dziesiątkami ludzi, którzy piorą amerykańskie koszule i utrzymują z tego swoje rodziny? A rzesza prostytutek? Wiele ludzi, którzy skompromitowali się współpracą z agresorem broniąc stanu istniejącego, broni zarazem swej skóry i stopy życiowej. Dlatego zjednoczenie kraju może się odbyć tylko powoli i bardzo ostrożnie.

Kłopoty są i u nas, na Północy. Póki trwa wojna i zagrożenie, póki społeczeństwo jest zmobilizowane, nie ujawniają się, ale wystarczył krótki okres po wstrzymaniu bombardowań, by doskonale zdać sobie z nich sprawę. Jest to przede wszystkim kwestia dyscypliny społecznej. Po takiej burzy, jaką myśmy przeżyli, następuje odprężenie. Jest to również sprawa wdrożenia społeczeństwu nawyków dobrej pracy. Wydajność jest u nas niska, kilkanaście razy niższa niż w krajach rozwiniętych. Gdy trzeba naprawiać uszkodzone mosty, zniszczone drogi, kiedy trzeba pod ostrzałem dbać o ciąg-

łość transportu, wtedy nasi ludzie dokonują cudów — bo są dumni, odważni, kochają niepodległość, nienawidzą wroga. Ale gdy trzeba codziennie, normalnie pracować i nie jest to aktem odwagi, tylko zwykłym, monotonnym obowiązkiem, wtedy dzieje się gorzej. Wietnamczycy potrafią tak pracować na ryżowiskach, ale do tego przywykli w ciągu długich wieków. Natomiast w przemyśle, w warsztatach, w transporcie, w administracji — wydajność jest niska. A przecież, jeżeli zjednoczenie obu części kraju będzie następowało stopniowo, wtedy może dojść między nimi — być może — do współzawodnictwa ekonomicznego. My zaś jesteśmy do tego słabo przygotowani.

Na razie nie mamy planów rozbudowy przemysłu czy rolnictwa. Projekty nowych inwestycji muszą czekać. Sytuacja nie pozwala na żadne bardziej wszechstronne planowanie. Jest wojna. Potrzeby frontu mają pierwszeństwo przed wszystkim.

Jednakże w Wietnamie myśli się o przyszłości, to znaczy o pokoju, bo wojna nie będzie przecież trwała wiecznie. Główna gazeta wietnamska, centralny organ partii „Nhan Dan” pisała w dniu 13 kwietnia 1971 roku: „Tylko pod warunkiem zwiększenia wydajności pracy będziemy mogli zmniejszyć stuletni dystans historyczny dzielący nasz kraj od poziomu rozwoju gospodarczego innych krajów świata”. Jednocześnie pisze się o tym, że Wietnam będzie musiał w przyszłości włączyć się do światowej rewolucji naukowo-technicznej.

O przyszłości mówi się więc i pisze, ale większość ludzi zaprzątnięta jest chwilą bieżącą. Myślenie o dniu dzisiejszym — jakże inne znaczenie mają te słowa w Wietnamie niż w naszej części świata! Różnią się one tak samo, jak różni się dzień dzisiejszy Wietnamu od tych dni, do których myśmy przywykli. Chociaż więc

„Nhan Dan” pisze również o przyszłości, jej naczelny redaktor, a zarazem przewodniczący Związku Dziennikarzy Wietnamskich, Hoang Tung, rozmawiając ze mną postawił sprawę inaczej niż poprzedni rozmówca. Twarde i bezkompromisowe słowa silnie kontrastowały z zamysloną twarzą o delikatnych rysach, z cichym głosem wyrażającym myśli sformułowane w doskonałej francuszczyźnie.

— Wojna — mówił Hoang Tung — i nasza walka z agresją to sprawy najważniejsze i w porównaniu z nimi nic nie ma znaczenia. Potrzebne nam są zwycięstwa militarne, bo bez nich nie można zwyciężyć przy stole konferencyjnym. W Paryżu wróg zwleka i nie chce z nami poważnie rozmawiać. Trzeba mu zadać klęskę na polu bitwy. Będzie to wojna długotrwała. Przeciwnik chce powoli wycofywać wojska, bardzo powoli, a jednocześnie wietnamizować konflikt. Gdyby mu się to udało, wtedy odniósłby zwycięstwo. Dlatego trzeba nowych, wielkich bitew, trzeba, aby amerykańskie straty zaczęły znowu wzrastać. Działania partyzanckie nie wystarczą. Trzeba wielkich operacji. Kiedy nadejdzie czas — podejmiemy je. Będziemy wówczas spychać wroga do jego baz, zadawać mu rosnące straty.

— A wasze straty? — pytam. — One również będą rosły.

— Nasze straty w boju nie są takie duże. Najwięcej tracimy, gdy przeciwnik zamyka się w umocnionych bazach i uderza w nas lotnictwem i artylerią. Ale potem on znowu wychodzi z baz w pole i wtedy my go uderzamy. Będziemy to robić tak długo, jak będzie trzeba. Amerykanie nie zdołali wygrać tej wojny ani przy pomocy Diema, ani przy pomocy pół miliona własnych żołnierzy, ani też w wyniku bombardowań. Rachuby na to, że zdołają wygrać przy pomocy wietna-

mizacji, są nielogiczne. Wszelako jest to niebezpieczne, bo służy przedłużeniu wojny.

My, tutaj, musimy zachować najwyższą czujność. Dziś nie ma bombardowań, ale jutro mogą być wznowione. Pozornie zapanował tu spokój, ale w rzeczywistości toczy się wojna. Ten pozorny spokój stwarza trudności natury psychologicznej. Trzeba je przezwyciężyć. Trzeba być czujnym. Wojna się jeszcze nie skończyła.

Hoang Tung był zdania, że póki wojna trwa, nie czas na odwracanie myśli ku jakimkolwiek innym sprawom, bo to osłabia wolę walki i determinację społeczeństwa. Jednak wydaje się, że ani kierownictwo kraju, ani nawet prowadzona przez Hoang Tunga gazeta nie zajmują tak skrajnego stanowiska. Wiceprzewodniczący Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, Vu Quoc Uy ujął sprawę nieco inaczej. Świetny rozmówca, przyzwyczajony do kontaktów z cudzoziemcami, mówi bardzo szczerze i nieraz są to rzeczy bolesne. Nie ukrywa wagi położenia. Jego słowa mają duże znaczenie, ponieważ w warunkach wojny, gdy Wietnam oczekuje pomocy od światowej opinii publicznej, jego placówka ma większe znaczenie, aniżeli analogiczne instytucje w Europie.

Mówił o tym, że chwila jest bardzo trudna. Ludzie w republice zajmują się naprawą szkód, starają się utrzymać produkcję i osiągnąć poprzedni poziom w rolnictwie. To niełatwe; zważywszy, że osiemdziesiąt procent siły roboczej to kobiety. Główny cel pozostaje, rzecz jasna, bez zmiany: żywność, amunicja, broń dla Południa. Powiedziane jasno i bez niedomówień.

Na razie nie ma planów rozbudowy przemysłu czy rolnictwa — to musi poczekać. Trzeba uporać się z najbardziej palącymi sprawami, trzeba naprędce łątać najgroźniejsze dziury, aby móc żyć. Jest wiele, wiele kłó-

potów. W przemyśle ludzie przyzwyczaili się do gorszej pracy, zmniejszyła się dyscyplina.

— Czegóż innego można oczekiwać? — mówi. — Załogi fabryczne dzieliły czas między pracę a strzelanie do samolotów. Po alarmie robotnicy wracali do pracy, ale więcej dyskutowali, niż robili. Trudno im się dziwić. A teraz trzeba lepiej pracować.

Vu Quoc Uy wspomina również o tym, że w warunkach wojennych, w wyniku ewakuacji biurokracja rozwinęła się ogromnie. Tam gdzie przedtem wystarczył jeden księgowy, teraz trzeba ich czterech. Administracja musi być zredukowana, a redukcje sięgają trzydziestu procent. Problemy mnożą się. Demokratyczna Republika Wietnamu jest krajem ubogim. Zwiększenie produkcji rolnej ma tu ogromne znaczenie, ale wprowadzenie dwóch czy nawet trzech zbiorów rocznie, co w tym klimacie jest możliwe, zuboża glebę, powoduje erozję. Nie ma środków, żeby z tym walczyć.

Prócz kłopotów materialnych są również i inne, natury bardziej psychologicznej, na przykład z młodzieżą. Wielu młodych dostało takie wykształcenie, jakiego starsi nie mieli, uzyskało skomplikowane specjalności, zostało dobrymi fachowcami — a tymczasem nie ma dla nich pracy, przynajmniej takiej, do jakiej się przygotowywali. Ta młodzież domaga się głosu w sprawach zawodowych i publicznych. Tymczasem stanowiska często obsadza się biorąc pod uwagę przeszłość polityczną i bojową kandydatów, a nie ich przygotowanie fachowe. To przecież nie wystarcza. Należałoby wykorzystywać ludzi wykształconych, zdolnych, wiele wiedzących, tymczasem w wojennych warunkach często dzieje się inaczej. On sam ma sporo kłopotów z córką, która studiuje w Budapeszcie. Jej poglądy różnią się nieraz bardzo od tego, co on sam myśli o świecie.

Wojna nie skończyła się, trwa nadal. Dobiegła nato-

miast końca, przynajmniej na razie, wielka epopeja walki z lotnictwem.

— Zrozumcie nas dobrze — mówił Vu Quoc Uy — wygraliśmy wielką bitwę. Amerykanie, największa potęga techniczna na świecie, musieli się cofnąć. Nasza wola okazała się mocniejsza od ich techniki. Ale teraz mamy do czynienia z nowymi problemami, innej już natury. Są one bardzo poważne. A wojna trwa przecież nadal, nie wolno ani na chwilę o tym zapominać.

Rozumiem, to całkiem jasne. Prawidła logiki są wszędzie na świecie takie same. Wojna jest rzeczą straszną i nieludzką, przynosi dotkniętemu nią narodowi nie tylko takie szkody, które można zmierzyć i policzyć, lecz i inne, niewymierne, a może jeszcze dotkliwsze. Tak było zawsze w Europie i tak też jest w Wietnamie. Niesłusznie czyniliśmy zacierając jednostronną propagandą prawdziwe oblicze i prawdziwą groźbę tej wojny. Było to niemądre, chociaż takie odezwane od rzeczywistości przedstawianie wojny wietnamskiej wynikało z dobrych chęci. Reporter przyjeżdżający do Wietnamu musi tam toczyć nieustającą walkę z własnym sumieniem. Jego obowiązki pisarskie krzyżują się. Czy można napisać bez osłonek, jak trudna i skomplikowana jest sytuacja tego kraju, jak poważne są jego kłopoty, jak przytłaczające zniszczenia wojenne? Obowiązkiem reportera jest pisanie prawdy, ale przecież nie chce tym pomagać agresorom, nie chce sprawić, by poczuli się pewniej. Tak więc sumienie reportera może jednocześnie domagać się ujawniania prawdy — i sprzeciwiać się temu. A z drugiej strony ukrywanie prawdy przynosi zazwyczaj jeszcze większe szkody.

Wietnam potrzebował dotąd pomocy i potrzebuje jej nadal. Reporter ma obowiązek działania na rzecz tego bohaterskiego i godnego podziwu kraju, poruszania

opinii, domagania się pomocy. Mamy przecież zbyt uproszczony, zbyt bajkowy obraz tego kraju, tej wojny, tych ludzi. Upór i bohaterstwo Wietnamczyków, ich zawziętość i determinacja po prostu zapierają dech przybyszowi. A przecież są to ludzie wrażliwi, czasem sentymentalni, dowcipni, skłonni do zadumy. Nie mają w sobie na pozór żadnych cech, jakie zwykle wiążemy z obrazem żołnierzy nieustraszonych. Oto prawdziwa zagadka. Zdumieni i zachwyceni niezwykłą siłą oporu Wietnamczyków, podświadomie wyobraziliśmy sobie scenę batalistyczną, w której z nieba pada wprost nieprawdopodobna, wybuchowa statystyka, niewiarygodny tonaż bomb i materiałów eksplodujących, zaś w środku obrazu trwa drobny, nieugięty Wietnamczyk, którego bomby się nie imają. Wielu z nas, dziennikarzy, reporterów, pisarzy, tak właśnie pisało o tej wojnie. Chodziło o to, by nie dodawać ducha napastnikom, nie czynić im zachęty, a przeciwnie — pokazywać, że ich wysiłki idą na marne. I tak przecież naprawdę było.

Tak było, ale prawdą jest również, że bomby imaly się Wietnamczyków, że ludzie ginęli, że tragedia nawiedziła ten kraj.

Sumienie nie pozwala reporterowi ukrywać prawdy — i Wietnamczycy bynajmniej się tego nie domagają. Vu Quoc Uy odgadł zapewne moje myśli, kiedy powiedział:

— Dobrze wiemy, że to nie tylko my żyjemy w okresie przełomowym, ale i nasi przyjaciele. Musimy myśleć o przyszłości — pomimo wojny. Wszędzie rysuje się coraz wyraźniej, choć w różnym stopniu, wielkie zagadnienie postępu. Postępu we wszystkich dziedzinach ludzkiej działalności. Jest on dziś tak szybki, że bardzo trudno za nim nadążyć. A jeśli się nie nadąża — zostaje się uduszonym.

A potem zaczął mówić o Japonii, o naukach płyną-

cych z jej doświadczenia, o znaczeniu właściwej organizacji i wysokiego poziomu kadr. I tak oto nad Rzeką Czerwoną usłyszałem głos wtórujący wielu dyskusjom toczącym się nad Wisłą.

Godzina wytchnienia i ciszy: świątynia literatury. To nie przenośnia, w Hanoi wznosi się stara świątynia poświęcona sztuce najbardziej ludzkiej ze wszystkich. Miejsce spokojne, tchnące słodyczą i łagodnością. Delikatne kwiaty i krzewy, dostojne drzewa, głęboka zieleń. Na szarym murze — różowe płatki. Stare wazy kamiennie, trochę rzeźb przedstawiających zwierzęta, wspaniały park, nieruchome sadzawki, w których odbijają się mury. Mali chłopcy łowią w sadzawkach ryby i nikt im w tym nie przeszkadza. W parku marmurowe stele z imionami tych, którzy przed wiekami zdawali tu egzaminy literackie otwierające drogę do kariery, albowiem paranie się piórem naprawdę ją wtedy otwierało, a świątynia była zarazem akademią kształcąca przyszłych urzędników państwowych. Stele spoczywają na kamiennych żółwiach oznaczających długowieczność. Dziś stare pomniki otoczone są wzniesioną naprędce ceglana ścianą, chroniącą przed podmuchem bomb i odłamkami.

Niektórzy ludzie w Stanach Zjednoczonych pisali, że trzeba „wpędzić ten kraj bombami z powrotem w epokę kamienną”... Kamienne stele z nazwiskami laureatów konkursów literackich ustawiane były w tym kraju wówczas, gdy Stany Zjednoczone pokrywał gęsty bór i nienaruszone prerie, a i w Europie, gdzie żyli przodkowie Amerykanów, tylko niewielu umiało pisać i czytać.

Rozmowy w Hanoi. Spotykam ludzi zycliwych,

skromnych, rozumiejących świat i nie próbujących ukryć tragedii, jaka spotkała ich kraj. Ludzi, którzy oczekują pomocy, ale liczą przede wszystkim na siebie. Zaczynam rozumieć, jak bardzo obraz tego, co tutaj się dzieje, jest różny od warszawskich wyobrażeń. Wojna przebiega inaczej. Pokój ma inne znaczenie. Koncepcja społeczeństwa jest inna i inny jest też socjalizm.

### Dzień trzeci

Wyjechaliśmy z Hanoi na południe. W terenowym „Gazie”, prócz nas z Adamem Strugiem ze „Sztandaru Młodych”, tłumacz, prócz tego tak zwany „organizator”, czyli ten, kto załatwia po drodze wszelkie niezbędne zezwolenia, i kierowca. Stanowimy pięcioosobową załogę, która odbędzie rajd po najbardziej zbombardowanych prowincjach DRW. My dwaj, z Polski, nie wiemy na razie, co to znaczy i jesteśmy skłonni nie doceniać zapowiadanych trudności. Na szczęście jest z nami tłumacz, Do Duc Khoang, korpulentny mężczyzna o wiecznie zatroskanej, zmartwionej twarzy, lecz, jak się wkrótce przekonujemy, uroczy, dyskretny, mądry człowiek, umiejący znakomicie pokierować eskapadą.

Na razie nie brakuje nam pewności siebie. My, znad Wisły, pamiętamy przecież, co to wojna, zniszczenia to dla nas nie nowina. Wprawdzie wiemy, że tu są odmienne warunki, ale jesteśmy głęboko przekonani, że nic nas nie może zaskoczyć.

Szaro popadauje nieustający deszcz, drobniutki, przenikliwy, wietnamski „crachin”. Choć to tropiki, to jednak zimno i co gorsza nie ma ochrony przed przenikającym wszystko pyłem wodnym. W Hanoi suszyliśmy rzeczy wstawiając do szafy zapaloną lampę elektryczną. Tam gdzie jedziemy, nie będzie można wysuszyć ubrań.

Naokoło bijąca w oczy zieleń wietnamskich pól ryżowych. Ludzkie grzybki ukryte pod słomianymi kapeluszami brodzą po pas w wodzie, szare bawoły zapadają się po brzuchy. Początkowo przyglądamy się temu z zainteresowaniem, później przywykniemy do świadomości, że o każdej porze dnia, gdziekolwiek się spojrzy, zawsze dojrzeć można ludzi pracujących na ryżowych bagniskach, chyba że teren został tak już zbombardowany, że nawet ryżowiska przestały istnieć. Na drodze spory ruch ciężarówek, nieprzerwana procesja rowerzystów i piechurów w niebieskich płaszczach przeciwdeszczowych z folii. I kobiety dźwigające ciężary zawieszane na długich, wspartych na ramionach nosidłach, podobnych do nosideł używanych czasem u nas do noszenia kubłów z wodą. Tutaj służą one do transportowania dosłownie wszystkiego: od sadzonek ryżu czy główek sałaty po cegły — i amunicję. Kobiety z nosidłami to drugi stały element krajobrazu.

Miejscowość Phu Ly, gdzie zniszczono dwa mosty i większość domów. Oba mosty zresztą funkcjonują, prowizorycznie załatane rusztowaniami z drzewa. Samochód ostrożnie przetacza się na drugą stronę.

Odtąd już ani jeden most nie ocalał, nawet najmniejszy: pięcio czy sześciometrowy. I nie ocalał ani jeden murowany piętrowy dom. Powtarzam — ani jeden, bez względu na to, co się w nim znajdowało: fabryka, poczta, urząd, kino, szkoła czy szpital. Wszystko, co miało choćby jedno piętro — zburzone albo spalone. Napotykamy spalone pociągi, wraki wagonów, rozprute lokomotywy, poskręcane szyny, zniszczone ciężarówki, całe kilometry drogi nie nadające się do użytku, omijane dzięki naprędce zbudowanym objazdom. Od wstrzymania bombardowań minęło już sporo czasu, ale ślady są tak świeże i jest ich tyle, że mógł je zostawić tylko prawdziwy huragan ognia. A największe wrażenie robi

to, że huragan dotknął nie tylko miejsc węzłowych większych miast czy stacji kolejowych, ale dosłownie wszystkie. Cała trasa, którą jedziemy, dostała swój ładunek bomb. Na przestrzeni dziesiątków kilometrów nie widać prawie miejsc, gdzie by nie było lejów, ruin czy fragmentów zniszczonego żelastwa. A samochody jednak jeżdżą, ruch trwa, chociaż zwolniony. I trwał tak przez cztery lata bombardowań. Mosty są przemyślnie sztukowane belkowaniami, niektóre, choć nieliczne, mają nawet nowe przęsła.

Ale i to wszystko jest dopiero początkiem. Na trzydzieści pięć kilometrów przed miastem Thanh Hoa zaczyna się obraz niesamowitego zniszczenia. Przejeżdżamy przez szeroką rzekę, nad którą przerzucono most wiszący. Rzeki w Wietnamie są krótkie, ale wiele z nich jest szerszych od Wisły i przecinają kraj w poprzek co kilkanaście kilometrów. W pobliżu widać szczątki mostów. Zbudowano ich kolejno pięć — i pięć zniszczyli Amerykanie. W końcu ostał się tylko ten. Wisi na linach, a przejazd samochodem robi pewne wrażenie. Z obu stron przyczółków całe pola kraterów. Dziura przy dziurze, wszystkie wypełnione wodą. W wielu miejscach obserwuję zjawisko, zdarzające się — jak mnie niegdyś pouczano w wojsku — bardzo rzadko, a mianowicie wąwozy wyszarpane przez dwie, a nawet trzy bomby, które trafiły w to samo miejsce.

Kolejna miejscowość przy drodze: Ninh Binh. Z daleka widoczna, uszkodzona wieża katedry katolickiej. Sterczą ku górze zwaliska murów, ślepią puste oczodoły. Na wietnamskiej równinie ten trup katedry widoczny jest z bardzo daleka. Widać go było dobrze z powietrza i z samolotów. Wielki kościół dołączył do długiej listy ofiar wojennych, to bliski krewny katedry w Amiens, kościoła Świętego Krzyża w Warszawie, kolegiaty w Tumie. Ten pierwszy kościół robi wstrząsające

wrażenie, długo przyglądamy mu się w milczeniu. Potem widzimy jeszcze wiele kościołów i pagód, a raczej miejsc, na których niegdyś stały.

Gdzieś na fundamentach zburzonych domów stoją już nowe chatki z trzciny, ale większość jeszcze nie jest odbudowana.

W Thanh Hoa wszystko zdruzgotane. Uszkodzony, ale czynny most, rozbite zakłady przemysłowe, przy torach leżą dziesiątki wagonów. Rozbite ściany i załamany betonowy dach elektrowni. A jednak elektrownia dymi, pracuje, mówią nam, że pracowała przez cały czas. Widok pełen grozy: łagodne zbocze górskie, dolina, jak okiem sięgnąć wszystko w gruzach. Na zboczach górskich kraterzy po bombach. To jedno z najsłynniejszych miejsc tej wojny i jedno z najbardziej bombardowanych: most Hamrong, czyli Szczeka Smoka. Most przerzucony jest między dwoma wysokimi wzgórzami ponad rzeką Ma. W latach 1965—66 Amerykanie przeprowadzili wiele setek nalotów na ten most i zrzucili nań kilka tysięcy ton bomb. Most Hamrong stał się dla nich prawdziwą zmoją, stracili tutaj 99 maszyn. Oblicza się, że naloty na Hamrong kosztowały USA prawie pół miliarda dolarów, za co można by zbudować co najmniej pięćset takich mostów. Ale wszystko to — straty i wydatki — blednie w porównaniu z jednym podstawowym faktem: most Hamrong nie został zburzony! Odniósł wprawdzie uszkodzenia, ale jego filary przetrwały bombardowanie, przesła zostały nadwątlone, ale nie rozbite. Wietnamczycy wspierali konstrukcję belkami, podpierali ją i naprawiali. Przez dwa lata most wytrzymał wszystko. Nadlatujące zaś maszyny odrzutowe witane były z obu wzgórz morderczym ogniem. Obrona przeciwlotnicza miała tutaj znakomitą pozycję. Jeśli Amerykanie nadlatywali na dużej wy-

sokości — ze wzgórz było do nich bliżej niż od nich do mostu. Jeśli przelatywali nisko, obrona strzelała do nich na wprost, a nawet z góry. Po dwóch latach bezowocnych wysiłków Amerykanie zaprzestali nalotów na Hamrong\*.

Na jednym ze zboczy, wysoko, widnieje ogromny, biały napis „QUYET THANG”, co oznacza: „Zdecydowani zwyciężyć”. Lotnicy musieli dobrze widzieć ten napis. Czemu nie napisano tego po angielsku?

Naokoło wciąż trwają roboty drogowe. Pracują głównie kobiety i młode dziewczęta. Trwa również praca na polach, a raczej w grząskich mokradłach, jakimi są ryżowiska. Tam również pracują kobiety.

W pewnym miejscu krajobraz jak spod Verdun: czerwona glina, mnóstwo wody, tu nie ma już ryżowisk, zostało muliste bagno. Ciągnie się przez kilka kilometrów. Środkiem biegnie droga — trudna, z wertepami, ale czynna. Dwa lata temu zamiast drogi były góry i wypełnione wodą doliny. Lej przy leju. Pośrodku tego księżycowiska dwa zburzone mosty, dziś zastąpione mostami pontonowymi. Wciąż trudno przejechać, a jak było wtedy? Tymczasem nasz kierowca opowiada, że woził tędy ciężarówką wojsko.

— Ja czuję tę drogę w palcach, mogę jechać po ciemku, niemal że z zawiązanymi oczami...

Nie wiem, jak oni to robili. Naokoło widać rudą, martwą przestrzeń, na której nawet ryż nie rośnie.

To, że wszystkie, choćby tylko nieco lepsze budynki zostały zburzone, sprawia takie wrażenie, jakby przeciągnęła tędy armia okupantów z rozkazem zniszczenia wszystkiego, co przedstawia choćby minimalną wartość. A przecież wrogowie nie dotknęli stopą tej ziemi,

---

\* W maju 1972 roku Amerykanie przeprowadzili nowy nalot na most Hamrong i użyli bomb laserowych. Most został zburzony. Działo się to w okresie ponownego rozpętania bombardowań i zaminowania portów DRW.

chyba że zestrzeleni. Trudno uwierzyć, że to wszystko zrobiono z powietrza.

Po drodze widzimy zamaskowane stanowiska artylerii przeciwlotniczej: armaty upozowane na podobieństwo palm bananowych, z liśćmi u luf. Całe zagajniki. Mimikra niemal doskonała, palmy bananowe nieraz pochylają się i rosną ukośnie do ziemi, bardzo trudno odróżnić je od armat. Dopiero z bliska widać, że ten gaj nie rodzi bananów.

Miasto Vinh — słynne z komunikatów wojennych. Ale miasta nie ma. Wśród krzewów i bujnej trawy tu i ówdzie sterczą ceglane zwaliska. Początkowo nie mogę się zorientować, wydaje mi się, że było to niegdyś miasto-ogród zabudowane z rzadka rozsianymi budynkami. Zastanawiam się tylko, w jaki sposób trafiono bombami w tak luźno rozrzucone domy? Dopiero przyrzawszy się z bliska widzę, że miasto było gęsto zabudowane, lecz fundamenty i gruzy porosła już tropikalna trawa. Porosła również i polski szpital na 600 łózek, którego budowę ukończono w roku 1963.

Pierwsze bomby, które spadły na DRW — spadły właśnie na Vinh. Potem spadały przez cztery lata niemal codziennie. Niegdyś mieszkało tutaj 50 tysięcy ludzi. Większość z nich była rzemieślnikami wyrabiającymi rozmaite przedmioty z trzciny. Prócz tego była tu elektrownia, fabryka obróbki drewna i rafineria oleju arachidowego, trudno więc powiedzieć, by Vinh było jakimś centrum przemysłowym czy strategicznym. Wszystko zostało zniszczone, a w Vinh mieszka dziś zaledwie jedna trzecia dawnych mieszkańców. Pozostali mieszkają na wsi, tam dokąd ich ewakuowano. Niegdyś miasto było zabudowane domami dwu, trzy i czteropiętrowymi, dziś są tylko parterowe, a i tych

jest niewiele. Jednak uruchomiono kilka zakładów przemysłowych, które służą rolnictwu, prócz tego drukarnię i warsztat naprawy ciężarówek.

Amerykanie bombardowali Vinh przez cztery lata niemal codziennie. Ale nie za darmo. Wietnamczycy powiedzieli nam, że nad miastem i jego okolicą zestrzelono 122 samoloty wroga. Natomiast straty w ludziach nie były w Vinh wysokie, ponieważ większość ludności zawczasu ewakuowano.

Długo krążyłem po pustym mieście, a właściwie po zarosniętych wysoką trawą łąkach, na których wznoszące się tu i ówdzie pagórki świadczyły, że niegdyś istniało tam życie. Nie mogłem oprzeć się dojmującemu smutkowi, jaki wywołały we mnie, zapamiętane jeszcze i z Polski, obrazy zniszczonych dzielnic: tu urwane w połowie schody, tam sterczący z trawy piec kuchenny, gdzie indziej pogięte łóżko żelazne. Obejrzałem ruiny wielkiej katedry katolickiej, której plafon wznosił się kiedyś na wysokości pięćdziesięciu metrów, obejrzałem też ruiny pagód. W całym mieście nie ocalała ani jedna pagoda.

Obejrzałem kilka parterowych baraczków, w których mieszczą się dziś urzędy, kilka innych przeznaczonych na sklepy i magazyny. Przez cały czas, w pewnej odległości za mną, szła grupa dzieci. Zachowywały się przyjaźnie, ale nie mogłem uwolnić się od myśli, jak też wyglądam w ich oczach: biały, wysoki, blondyn, w kurtce o nieznanym w Wietnamie kroju. Czuję się nieswojo.

Jedynym dużym odbudowanym gmachem jest hotel. Jeszcze nie ma w nim bieżącej wody, jeszcze wszystko jest prowizoryczne, ale jednak stoi. Spotkaliśmy w nim dwóch radzieckich pisarzy, którzy wrócili właśnie z linii demarkacyjnej. Obaj byli kiedyś oficerami frontowymi, a jeden z nich stracił rękę w walkach pod

Gdańskiem. Opowiadali, że przez całą poprzednią noc słychać było huk artylerii i eksplozje bomb.

— Nie mogliśmy spać — powiedział jeden z nich. — Przed oczami mieliśmy stare obrazy z frontu.

Deszcz wciąż siąpi. Nie jest to wesoły dzień. Grają cykady. Dwupiętrowy hotel świeci dumnie, wyzywająco, białym tynkiem i światłem elektrycznym. To nic, że światło z prowizorycznej elektrowni wciąż mruga i przygasa. W pokojach czysta pościel i wiszą czyste ręczniki. Te ręczniki wśród zawałonego gruzami pustkowi poruszyły mną głęboko. Dlaczego właśnie one? Ot, drobny symbol codziennego życia, ładu, oczywisty symbol przetrwania.

### Dzień czwarty

Wyjeżdżając z Vinh oglądamy raz jeszcze zmiążdżony czerep katedry, a nie opodal uszkodzoną pagodę buddyjską. Nie została całkiem zburzona, w środku ocalał złoty posąg Buddy. Z tyłu za pagodą widzę dyskretny obrazek, jakby żywcem wyjęty z moich dawnych wyobrażeń o Dalekim Wschodzie. Ogołony lama w brązowym habicie ostrożnie ścina gałązki kwitnącego różowo krzewu. Różowe, drobne kwiaty na tle szarego poruchotanego muru.

Dalsza droga na południe jest coraz trudniejsza. Wśród wąwozów i kraterów usypana jest wąska grobla. Ziemia ruda, prawie czerwona. Pola lejów wypełnionych wodą, w niektórych mali chłopcy łowią ryby na wędkę. Droga była bombardowana wszędzie tam, gdzie biegnie między grząskimi ryżowiskami i samochody nie mogą z niej zjechać. Prócz tego rozwalano wszystkie mosty. Zresztą prowadzona groblą między ryżowiskami droga sama była właściwie mostem, ponieważ nie można z niej zjechać. W razie trafienia bom-

ba nie nadawała się już do użytku do czasu zasypiania leja, a takich trafień było codziennie bardzo wiele.

Większość bomb spadała oczywiście nie na drogę, lecz na położone po obu stronach ryżowiska. Zostały one przeorane tak gruntownie, że jeszcze przez długi czas nie będzie można sadzić na nich ryżu. Poletka musi być idealnie płaskie i poziome, by przelewana z kanałików woda rozchodziła się równomiernie po całej powierzchni. Trzeba więc najpierw zasypać leje, potem długo i pracowicie wyrównywać pole, nie mówiąc już o naprawie kanałów nawadniających. Trzeba na to wiele ludzi i wiele tygodni albo i miesięcy. A ludzi brakuje.

Tam gdzie ryżowiska ocalały, widać na srebrnozielonych polach szeregi pracujących kobiet. Na bajecznie zielonym tle przechadzają się szare bawoły, na ich grzbietach siedzą mali chłopcy w słomianych kapeluszach.

Przyjechaliśmy do Hatinh wczoraj wieczorem. Przywieziono nas do hotelu. Hotel to trzciniowa chatka o pobielanych ścianach, kryta palmowymi liśćmi, podzielona na izby. Na drzwiach — które są całkiem umowne z wielką szparą u dołu i jeszcze większą od góry — napisy: pokój pierwszy, pokój drugi. Obok kabinka z maty zawieszanej na słupach, to łazienka. Naokoło wysokie palmy i gęsty gąszcz cienkich, chwiejących się na wietrze bambusów o delikatnym listowiu. Niedaleko hotelu, pośrodku ryżowisk, mała opuszczona pagodynka. Po łąkach skaczą zielonobłękitne żaby, świetnie dopasowane do podłoża, naznaczone na grzbiecie zieloną pręgą przemyślnie udającą leżące źdźbło trawy.

Tutaj właśnie spędzimy najbliższe dni — i bardzo nam się to podoba. Wieczorem, kiedy robię przy stole notatki, przez otwarte drzwi wpadają jeden za drugim duże nietoperze, kręcą się chwilę i zaraz wylatują na

dwór. Po kolacji tłumacz Do Duc Khoang opowiada o wietnamskich obyczajach. Dawniej wyprawiano huczne wesela, dziś zwyczaje zostały z konieczności bardzo uproszczone. Młodzi nieraz żyją ze sobą przed ślubem, co dawniej było nie do pomyślenia. Ale sytuacja niezamężnych matek jest nadal ciężka, a i ojcowie też mają niemałe kłopoty. Do tego dołącza się problem mieszkaniowy. W Hanoi o mieszkanie niezmiernie trudno. Dawniej młodzi często mieszkali na początku z rodzicami, dziś nie chcą się pobrać, zanim nie znajdą jakiegoś kąta.

Od rana przemierzamy „łazikiem” tereny prowincji. W południe przyjmują nas w siedzibie zarządu gminy Cam Binh. W altance z dachem zawieszonym na słupach, wśród palm, ustawiono długi stół. Jak zwykle ceremonialne powitanie, przemówienia, wiele serdeczności. W całym życiu nie wygłosiłem tylu przemówień, co w Wietnamie. Ale tutaj łatwiej je wygłaszać niż gdzieś indziej, bo słowa naprawdę coś wyrażają.

Tam właśnie, w owej altance, usłyszałem nader niecodzienną opowieść o gminie Cam Binh. Przed powstaniem DRW mieszkało tu 3200 ludzi, z których tylko siedemnastu umiało pisać. W roku 1941 epidemia cholery zabrała 200 ofiar. W roku 1945, podczas słynnej klęski głodowej w Indochinach, było tu 350 przypadków śmierci głodowej. Zbierano wtedy rocznie z hektara 3—4 kwintali ryżu rocznie. Ziemia tutaj kiepska, nędza panowała więc prawdziwie indochińska, ludzie szukali pracy w kopalniach lub na plantacjach kaczuku, wielu porzucało wieś i wyprawiało się w dalekie kraje, bo w Cam Binh nie mogli już żyć.

Po zwycięstwie rewolucji przeprowadzono uspołecznienie wszystkich wchodzących w skład gminy wsi. Po-

dobnie jak w całej republice, również i tu nie była to operacja bezkonfliktowa.

— Żył w gminie — opowiadają mi — sześciu obszar-  
ników i siedmiu bogatych chłopów. Spośród tych  
pierwszych jeden został rozstrzelany, dwóch zmarło  
w więzieniu, reszta została reedukowana i dziś są nor-  
malnymi obywatelami. Natomiast biedni chłopci wstą-  
pili do spółdzielni dobrowolnie. Stosowano jedynie  
uporczywe tłumaczenie. Dzierżawców i pozbawionych  
ziemi wyrobników, a takich było bardzo wielu, nie trze-  
ba było nawet namawiać.

Tak opowiadają, ale za tymi beznamiętnymi słowami  
kryje się dramatyczny okres w dziejach Demokratycz-  
nej Republiki Wietnamu. Podobnie jak w innych kra-  
jach, również i w Wietnamie kolektywizacja wsi nie  
odbyła się bez ciężkich błędów. Jak to zwykle w takich  
przypadkach bywało, były one dwojakiego rodzaju. Po  
pierwsze: zwrot „uporczywe tłumaczenie” jest elegan-  
ckim eufemizmem kryjącym w sobie dużo mniej ele-  
ganckie metody. Podobnie jak gdzie indziej, wiele moż-  
na by powiedzieć o owej dobrowolności kolektywizacji.  
Po drugie: ocena, kto jest bogatym chłopem i wrogiem  
klasowym, była nieraz nader dowolna. Wyrządzono  
niemało krzywd, które później partia musiała cierpliwie  
usuwać i wynagradzać. Jednakże wietnamska partia  
zdobyła się na to dość wcześnie i przeprowadziła proces  
„naprawy wypaczeń”, co w rezultacie pozwoliło na  
przywrócenie jedności narodu i przyniosło rezultaty  
w okresie wojny przeciw Amerykanom.

Dziś w Cam Binh zbiera się 2—3 tony ryżu z hekta-  
ra, a więc niemal dziesięć razy więcej niż przed rewo-  
lucją. Gmina jest samowystarczalna i sprzedaje nad-  
wyżki państwu, ale jeszcze niedawno i państwo musiało  
przychodzić jej z pomocą. Gmina dostarcza też mięsa  
wieprzowego i warzyw. Stworzono placówkę służby

zdrowia i izbę porodową. Wykształcono 23 sanitariuszy, 7 pielęgniarek o wyższych kwalifikacjach i 4 felczerów. Przeprowadzono wielką — i skuteczną kampanię świadomego macierzyństwa. Poziom higieny bardzo się podniósł. Rosną też prywatne oszczędności.

Ale to wszystko nie wyjaśnia jeszcze, czemu nazwałem opowieść o gminie Cam Binh niecodzienną. Przyczyna jest inna. Gdy zapytałem, czy osiągnięte tu wyniki są lepsze niż w innych gminach, przy stole w altance powstało ożywienie. Tak, wyniki są znacznie lepsze. Dlaczego? O rezultatach, twierdzą gospodarze, zdecydowała oświata. W Cam Binh wszyscy się uczą. Ściśle: wszyscy w wieku od trzech do czterdziestu pięciu lat, a bywa że i starsi. Już trzyletnie dzieci idą do czegoś w rodzaju wstępnego przedszkola i uczęszczają doń przez dwa lata. Potem następują dwa lata właściwego przedszkola. Siedmioletnie dzieci idą do szkoły podstawowej, w której uczą się przez siedem lat. Po ukończeniu jej albo uczą się dalej w siedzibie prowincji (a dziś w szkołach średnich działających na wsi, w „rozproszeniu”), albo doksztalcają na miejscu. Wśród dorosłych uczęszcza obecnie do szkoły drugiego stopnia 180 osób, zaś do szkoły trzeciego stopnia (nasze liceum) — 370 osób. Prócz tego są kursy zawodowe. W ciągu czterech lat wojny 62 procent ludności ukończyło jakieś kursy. Wszyscy kierownicy brygad i wszyscy członkowie kadry kierowniczej osiągnęli już poziom 6—10 klasy. Do roku 1975 cała kadra — i wszyscy młodzi — będą już mieli maturę.

— Oświata zmieniła życie w Cam Binh — mówią mi. — Ma to ogromny wpływ na technikę i produkcję rolną. Stworzyliśmy nowego człowieka, z nową świadomością, dzięki czemu polityka partii jest ściśle realizowana, na przykład w sprawie poboru do wojska. Ci,

co nie idą do armii, podnoszą kwalifikacje, uczą się na kursach techniki hodowlanej, stosowania nawozów naturalnych, agronomii. Ale większość młodzieży idzie do wojska.

Cam Binh jest gminą wielkiego eksperymentu oświatowego, nie jest więc gminą całkiem typową. Jednakże nie jest też wioską potiomkinowską. Leży za daleko od Hanoi, trudno się tutaj dostać, cudzoziemcy zaglądadają tu rzadko albo i wcale. Przejrzawszy książkę wpisów pamiątkowych widzę, że nie było tu dotąd obcych dziennikarzy, a przynajmniej nie zauważyłem ich śladów. Nie jest to zatem gmina na pokaz. Eksperyment jest prawdziwy, a wojna nie zdołała go przerwać.

A przecież dotknęła ona i tę gminę. Atakowane były wszystkie cztery spółdzielnie. W sumie było 229 nalołów. Przez cztery lata spadło około sześciu tysięcy bomb, po półtorej bomby na każdego mieszkańca. Na szczęście, w wyniku rygorystycznego przestrzegania zasad obrony biernej, przygotowania wielkiej liczby rowów, schronów i tym podobnych środków — nie było dużych strat. Łącznie zginęło dziesięć osób, a dwadzieścia siedem zostało rannych. Szczególną sławę wojenną uzyskała brygada dziesięciu młodych dziewcząt utrzymujących nocami służbę sygnalizacyjną na drodze, czyli, jak to się tam nazywa: „trzymających lampę”. Pełniły tę służbę przez dwa lata, bez chwili przerwy, a później utworzyły baterię przeciwlotniczą uzbrojoną w najcięższe karabiny maszynowe.

— Śpiewano o nich w radio — powiedziano mi z dumą.

Wojna wpłynęła na życie Cam Binh również i w inny sposób. Do armii i służb pomocniczych poszło w sumie jedenaście procent ludności. Następnie zaś, w ciągu czterech lat wojny z lotnictwem, spośród 640 chłopców i dziewcząt, którzy ukończyli siódmą klasę, poszło słu-

żyć 450. Te liczby dają pojęcie o mierze wysiłku wojennego. Przekracza to wszystko, co kiedykolwiek widziano w Europie.

Los zwykłej gminy wietnamskiej... Najlepiej ilustrują to dzieje murowanej szkoły, jaka stała we wsi przed wojną z Francuzami. Francuzi zniszczyli ją, potem została odbudowana. Następnie zburzył ją tajfun, kiedy zaś ponownie wyremontowano budynek — spalili go Amerykanie. Dzisiaj dzieci uczą się w baraku.

Ludzie kierujący gminą Cam Binh prezentują się nadzwyczaj korzystnie. Inteligentni, bystrzy, w lot chwytający sens pytań dziennikarzy z dalekiego kraju, formułujący zwięzłe odpowiedzi. Niewiele jest w Polsce takich terenowych rad narodowych, których działacze poddani lawinie pytań stawianych przez zagranicznych reporterów, nie zacukaliby się i nie udzielali wymijających odpowiedzi. Zresztą w Wietnamie wszędzie spotyka się zaskakujące zjawisko: niebывałe zamięłowanie do statystyki, liczb, faktów, do bardzo szczegółowych i konkretnych odpowiedzi. W każdej wsi i mieście, w każdym powiecie czy prowincji, w każdej fabryce i szkole któryś z odpowiedzialnych pracowników wyciąga zwykle mały zeszytek, w którym ma zanotowane najróżniejsze liczby, tabele i zestawienia. Można się zawsze dowiedzieć, ile było nalotów, ile bomb, ile ładunków wybuchowych wypadało na jednego mieszkańca czy pracownika, ile kilometrów dróg wyremontowano, ile odbudowano mostów, ile godzin w ciągu tych czterech lat mieszkańcy spędzili przy pracy, a ile w walce z samolotami itp. Zamięłowanie Wietnamczyków do takich obliczeń jest naprawdę zaskakujące. Są to ludzie nie mniej konkretni niż ich amerykańscy przeciwnicy.

Po „konferencji” i zwiedzeniu gminy zjadamy obiad i zostajemy skierowani na „sjestę” w pokoju gościnnym. Adam Strug wychodzi na dwór, wystawia twarz na słońce, opala się. Wybucho sensacja, tutaj nikt tego przecież nie robi. Pokazuję wiszący na ścianie kalendarz, mówię „Ba-lan” (Polska), piszę na kartce: „—10° C”. Zrozumieli, śmieją się, czynią gesty otulania się przed zimnem.

Nagle z oddali dobiega i ogromnieje grzmot. Chatka trzęsie się jak w febrze. Potężny bas naddźwiękowych silników odrzutowych. Wisząca od rana mgła przejaśniła się trochę i od razu znów się pojawili. Przelatują gdzieś bokiem, ale blisko. Wybiegam przed chałupkę, żeby zobaczyć, ale bambusy zasłaniają horyzont. Wspinam się na palce, rozgarniam zarośla, ale wciąż nic nie widzę. Siedzący na ławie przed chatą stary Wietnamczyk kiwa głową, mówi „Mai baj my” — amerykańskie.

Mówi spokojnie, nic go to nie obchodzi. Po chwili zaczyna huczeć i trzeszczeć ogień broni przeciwlotniczej. Teraz czekamy na bomby lub rakiety. Ta zabawa powtarza się bardzo często. Amerykanie wysyłają samoloty zwiadowcze, Wietnamczycy strzelają do nich, wtedy Amerykanie atakują baterie przeciwlotnicze. Dlatego, mimo iż naloty zostały w zasadzie wstrzymane, wciąż jednak tu i ówdzie padają bomby, wciąż giną ludzie. Znów podnoszę głowę, potem patrzę na gospodarza. Uśmiecha się, milczy. Nawet nie zmienił pozycji.

Jestem zmartwiony. Chciałem zobaczyć, sfotografować. Ale nie wypada nawet wspominać o całym wydarzeniu. Wietnamczycy nie poświęcają mu ani jednego słowa. Po chwili znów panuje cisza i pogrążamy się w sjeście. Przez chwilę tylko przyglądam się w zadumie bambusowym chatkom, w których odbywa się

eksperyment oświatowy, podczas gdy ponad głowami przelatują odrzutowce. Czy ci piloci patrzący z góry na tę ubogą ziemię mogą domyślać się czegoś takiego?

Potem zwiedzamy stolicę prowincji, miasto Hatinh. Oglądamy ruiny liceum ogólnokształcącego. Ukończone w roku 1964, zburzone w rok później. Gruzy porosła już trawa i sprawiają wrażenie starego zabytku. Na pierwszym planie stary chłop pogania bawołu zaprzęgniętego do pługa — motyw nadający się do symbolicznego zdjęcia. Niedaleko inne gruzy: szkoła pedagogiczna i szpital, przed którego sterczącymi z trawy resztkami pasą się teraz bawoły. Zniszczono wszystkie domy mieszkalne, co do jednego. Gmach komitetu prowincjonalnego partii został dosłownie wbity w ziemię.

Prowincja Hatinh — najwęższe miejsce DRW. Z tego trzy piąte to urwiste, niedostępne góry, przez które nie ma prawie żadnych dróg. Pozostałe dwie piąte to nadmorska równina: wąski pasek przecięty w poprzek niezliczoną liczbą rzek i strumieni. Trzy drogi biegnące przez prowincję: droga numer 1, numer 15 i numer 18 — wszystkie są po prostu groblami położonymi wśród ryżowisk. Prowincja Hatinh: wąski korytarz prowadzący z północy, od strony głównych centrów DRW, na południe, w stronę strefy zdemilitaryzowanej, dzielącej Wietnam na połowę. Dlatego od samego początku wojny wietnamskiej stało się oczywiste, że właśnie na tę prowincję skierują się oczy amerykańskich sztabowców. A oto dodatkowy powód: o ile w całym Wietnamie, ze względu na mnogość rzek, trzeba średnio pięciu metrów mostów na każdy kilometr drogi, o tyle w tej prowincji trzeba ich dwa razy tyle.

W całej prowincji mieszkało dotąd około 250 tysięcy mieszkańców. Większość ludności skupia się — a raczej

skupiała — wzdłuż wybrzeża i osi dróg. Górskie tereny położone w głębi lądu pozostają puste i niedostępne. Ale nie zawsze tak bywało. Właśnie dlatego, że są one niedostępne, wielokrotnie stawały się schronieniem wietnamskich powstańców, patriotów walczących przeciw najeźdźcom. Tak było podczas powstania w latach 1885—96, kiedy w prowincji Hatinh toczyła się uporczywa walka przeciwko francuskim kolonizatorom. Powstanie w końcu upadło, a tysiące powstańców zabito lub uwięziono. Podobnie było w roku 1931, kiedy to prowincja została ogarnięta powszechnym ruchem tworzenia rad wiejskich i wywłaszczania wielkich posiadaczy ziemskich, głównie Francuzów. Również i wtedy utopiono powstanie we krwi.

Podczas ostatniej, tym razem zwycięskiej, wojny z Francuzami prowincja przez cały czas stanowiła strefę wyzwoloną. Trudności terenowe uniemożliwiały Korpusowi Ekspedycyjnemu opanowanie jej. Wysyłał on jedynie samoloty, które bombardowały i ostrzeliwały wszystko, co tylko się poruszało. Żeby ostatecznie zniechęcić wroga, Wietnamczycy sami zniszczyli wszystko, co tylko nadawało się do zniszczenia, zamienili cały obszar w spaloną ziemię.

W czasach francuskich 90 procent ludności stanowili analfabeci. Zdarzały się częste klęski głodowe, właściwie co roku pewna liczba ludzi marła z braku pożywienia. Istniał jeden, jedyny zakład przemysłowy, mała elektrownia o mocy 50 kilowatów. Prowincja stanowiła klasyczny, skrajny, wymieniany we wszystkich krytycznych opracowaniach dotyczących systemu zaprowadzonego przez Francuzów, przykład indochińskiej nędzy i zacofania. Wszystko zaczęło się zmieniać po uzyskaniu niepodległości, w krótkim okresie pokoju przed agresją amerykańską. Prowincja Hatinh, jako pierwsza w kraju, zlikwidowała analfabetyzm. Odbu-

dowano zniszczone drogi. W stolicy prowincji, mieście Hatinh, zbudowano nowe domy, a właściwie zbudowano całkowicie nowe miasto. Bardzo poważnie wzrosła produkcja rolna. Zbudowano też pięć nowych zakładów przemysłowych: czterokrotnie silniejszą elektrownię, zakład papierniczy, drukarnię, wytwórnię fosfatu i fabrykę narzędzi rolniczych. Podjęto prace nad trzynastoma różnymi projektami irygacyjnymi, co miało dla tego obszaru podstawowe znaczenie. Ryż wymaga przecież stałego nawadniania, dlatego też prace irygacyjne są nadzwyczaj ważne. Za czasów francuskich nie prowadzono ich jednak wcale.

5 sierpnia 1964 roku, w pierwszym dniu amerykańskich bombardowań DRW, spadły pierwsze bomby również i na Hatinh. Było czterdziestu zabitych. Później nastąpił okres przerwy, ale od 26 marca 1965 roku rozpoczęły się już stałe naloty.

Jak później obliczono, sześćdziesiąt procent nalotów skierowanych było przeciw drogom komunikacyjnym, zarówno lądowym, jak rzecznom i morskim. Szczególnie zawzięcie atakowane były mosty. Naliczono łącznie 441 wypadków ich niszczenia. Oczywiście naprawiano je, toteż bywało, że jeden i ten sam most był niszczone wielokrotnie. Niektóre mosty były atakowane po sto razy, a rekordzista, most Ho — 368 razy. W sumie zniszczono pięć kilometrów mostów.

Atakowano drogi. Niektóre zostały zniszczone w tak niewiarygodny sposób, że nie udało się już ich naprawić i dziś zamieniane są w ryżowiska. Oczywiście uległa zniszczeniu również jedyna linia kolejowa biegnąca przez prowincję z północy na południe. Dokonano tego tak gruntownie, że linia nie działa do dziś. Prowincja Hatinh przeżyła dwadzieścia tysięcy i pięćset nalotów. Ale to nie wszystko. Wybrzeża morskie prowincji były ponad siedem tysięcy razy ostrzeliwane

przez nieprzyjacielskie okręty. Uniemożliwiały one połowy rybackie, zagarniały łodzie, niszczyły sieci. Prócz tego odbywały się od czasu do czasu operacje desantowe komandosów armii sajgońskiej. Pojawiali się niespodziewanie na brzegu, podpalali którąś ze wsi i wycofywali na okręty.

Po pewnym czasie dowództwo amerykańskie dało swym pilotom wolną rękę. Od tej pory mieli prawo atakować wszystko, dosłownie wszystko. Zaczęło się ostrzeliwanie i bombardowanie wszystkiego, co żywe. Stolica prowincji została całkowicie zburzona, nie pozostał ani jeden dom. W całej prowincji zniszczono około 30 tysięcy domów. Niektóre gminy starto z powierzchni ziemi, były w nich setki zabitych. Atakowano ludzi w pobliżu dróg i ludzi pracujących na polach. Rzucano bomby kulkowe przeciw ludności, a często też — co było szczególnie perfidne — bomby kulkowe z zapalnikiem opóźniającym, które wybuchały w wiele godzin po odlocie samolotów. Rzucano też bomby magnetyczne wybuchające nie tylko przy zbliżeniu się samochodu, ale i człowieka, jeśli miał w ręku jakieś metalowe narzędzie albo klamrę w pasku.

Zniszczono 9 szpitali powiatowych oraz główny szpital prowincji, a także 92 punkty sanitarne w gminach. Przeprowadzono 782 ataki na szkoły. Zniszczono 59 kościołów katolickich (w prowincji Hatinh jest wielu katolików) oraz pagód. W miejscowości Cam Phuc zabito księdza podczas odprawiania nabożeństwa. Atakowano urządzenia irygacyjne i stacje pomp. W lecie, w okresie gorących wiatrów wiejących z Laosu, Amerykanie rzucali bomby zapalające wraz z bombami kulowymi o mechanizmie opóźniającym, by uniemożliwić akcję ratowniczą. W zimie, kiedy w rzekach jest wysoka woda — atakowali tamy.

Tak to wyglądało. Wydawać by się mogło, że w tym

piekle życie zostanie sparaliżowane. A jednak tak się nie stało. Zapobiegła temu inteligencja, wspaniała zmysł organizacyjny i dyscyplina Wietnamczyków. Podjęto tysiące drobnych i większych posunięć składających się na skomplikowany i sprawny system obrony biernej, która skutecznie zmniejszyła straty i umożliwiała pracę. A więc, po pierwsze: ewakuacja. Usunięto ludność z miast i większych osiedli, a także z pobliza dróg. Przeniesiono i rozproszono w terenie szkoły i szpitale. Ludzie pracowali na polach tylko w małych grupkach, przy czym zakazano kobietom noszenia jasnych kolorów, a nawet tradycyjnych wietnamskich białych bluzek. Wykopno tysiące i dziesiątki tysięcy schronów i rowów przeciwlotniczych. Nawet kobiety uprawiające ryż na polach miały przygotowane w pobliżu schrony. Okopywano chaty „obniżając” w ten sposób ich wysokość. Przy użyciu najprostszyc środków budowano schrony o przekroju w formie litery „A”, które okazały się szczególnie skuteczne. Zorganizowano powszechną służbę przeciwpożarową, medyczną, a także obserwacji bomb magnetycznych i opóźnionych. Łączono wsie systemem rowów dobiegowych.

No i zwalczano wrogie samoloty. W sumie nad prowincją zestrzelono 221 samolotów USA. Z tego czterdzieści pięć strącili członkowie milicji ludowej. We wszystkich miejscowościach, we wsiach, ważniejszych punktach, a także na wzgórzach dyżurowały stale drużyny milicji, które ostrzeliwały nisko lecące samoloty przy pomocy broni maszynowej i ręcznej. W ten sposób zmuszano pilotów do zwiększenia wysokości, gdzie z kolei byli narażeni na ogień artylerii przeciwlotniczej.

Prowincja została odznaczona orderem Pracy I klasy i Orderem Niepodległości.

Trwała nieustająca praca. Na południe nadal szedł transport. Do służby transportowej została zaangażowana cała ludność. By uniknąć drogi numer 1, zbudowano dwanaście nowych objazdów. Zbudowano też wiele dróg poprzecznych, których dotąd nie było na mapach. Jak z dumą podkreślają władze prowincji, w ciągu czterech lat wojny zbudowano więcej dróg niż w ciągu osiemdziesięciu lat panowania francuskiego. Wciąż i wciąż naprawiano zniszczone drogi i czyniono tak nie tylko po to, aby transport mógł dotrzeć na południe, ale i po to, by Amerykanie nie mogli nigdy uznać, że osiągnęli swój cel, by zmusić ich do nowych wysiłków, do ponoszenia nowych kosztów. I transport szedł. Kiedy trudno już było używać ciężarówek, używano rowerów. Najlepsi potrafili przewozić na rowerze (obciążony rower prowadzi się idąc obok) do 200 kilogramów, a średni przewoźnik brał do stu kilogramów. Jeśli trzeba było przetrzącać zaopatrzenie przez góry, gdzie nawet rower nie można przeprowadzić, wtedy noszono ciężary na plecach. Dziesiątki tysięcy ludzi podążały górskimi ścieżkami na południe.

Tak żyła ludność prowincji Hatinh przez pełne cztery lata. Aż w końcu Amerykanie musieli dać za wygraną. Dziś prowincja z wolna zaczyna się odbudowywać. Ludność powraca na swoje dawne miejsca, uruchamia się nowe szkoły, remontuje warsztaty. Na razie jest jeszcze bardzo trudno, wojna nie została skończona, ale ludzie ze zdruzgotanych miast i wsi najuboższej dzielnicy Wietnamu nie dali się pobić i nigdy nie opuścili rąk.

Stolica prowincji to już tylko miejsce po mieście, które przestało istnieć całkowicie i zupełnie. Dziś są to pola, łąki, na których tu i ówdzie widać sterczące spod trawy resztki fundamentów lub zwaliska większych domów. Jedyne porównanie, jakie przychodzi mi na

myśl, to ruiny warszawskiego getta. Jeden z oprowadzających nas Wietnamczyków powiedział:

— Kościoły są tu dobrze widoczne, stoją osobno i górują nad zabudową. A jednak nie zostały oszczędzone. A przecież oni chętni byli, że potrafią z samolotu odróżnić nawet ubiór człowieka. Złapani przez nas lotnicy mówili, że przed startem modlili się do Najświętszej Marii Panny. A jednak burzyli jej posągi...

Wzbiera we mnie wściekłość. Cokolwiek by ktoś powiedział o wojnie wietnamskiej, jakichkolwiek by użył argumentów, Hatinh musi rozwiązać wszelkie wątpliwości. Żadne względy, pozory ani teorie nie mogą usprawiedliwić takiego bombardowania miast.

Myślę w tej chwili o lotnikach amerykańskich, którzy bombardowali Wietnam. Nie mogę im zarzucić, że byli tchórzami, latali wszak w środek niezmiernie gęstej obrony przeciwlotniczej, tak zmasowanej, jak podobno jeszcze nigdy na świecie. I latali w ten sposób przez cztery lata. Nie mogę im też zarzucić, że nie znają się na robocie wojskowej. Widziałem, jak precyzyjnie potrafili niszczyć mosty. Ale mogę i mam obowiązek zarzucić im, że to, co zrobili w Hatinh, podobnie jak w Vinh, w Ninh Binh, w Thanh Hoa i we wszystkich miejscowościach na południe od Hanoi, nie było robotą wojskową, lecz piekielnym barbarzyństwem.

Przed jakimiś ruinami stoi mały chłopiec o smutnych, poważnych oczach. Kiedy odjeżdżając kiwam do niego ręką, twarzyczka nagle odmienia się, ożywia. Ten błysk w twarzy dziecka widzę jeszcze bardzo długo.

### **Dzień piąty**

Dzisiaj zawieźli nas w samo oko tajfunu, tam gdzie wojna srożyła się najbardziej, gdzie ujawniła się cała amerykańska zawziętość przeciw temu krajowi. Tutaj,

w przełęcz Dong Loc, wbito gwóźdź, na którym trzymała się cała amerykańska koncepcja bombardowań strategicznych. Tutaj tkwiło jej sedno i — jak nam mówiono — w ciągu ostatnich dwóch lat nalotów nie było w tym miejscu dnia ani nocy. W dzień chmury dymu zakrywały słońce, w nocy płonące flary przepędzały mrok.

Wyjechaliśmy spośród ryżowych pól i trzcinowych chatek. Stopniowo robiło się coraz puściej. Tam, na dole, na wybrzeżu, gdzie ciągną się pola ryżowe, panuje nieustający, mrówczy ruch. Nigdzie nie ma miejsca, gdzie nie byłoby widać kogoś idącego, albo rowerzysty, albo kobiety objuczonej nosidłami. Trwa ciągła, nie przerywana ani na chwilę wędrówka ludzkiej rzeszy. Ale wyżej, wśród gór, bardziej w głębi kraju — jest pusto. Droga podnosiła się w górę, znikająca zieleń młodego ryżu, otoczył nas czerwonożółty krajobraz kamiennych pól, pokrytych tu i ówdzie trawą. Jechaliśmy coraz to bardziej wyboistym traktem, w którym znać było świeżo zasypane miejsca po bombowych kraterach. Dalej nie było już ani jednego domu, ani jednej wsi, ani jednego uprawnego pola. Aż wreszcie wyjechaliśmy na zupełnie pustą płaszczyznę. Z lewej leżało niekształtne, podłużne wzgórze, pod nim wielkie, puste pole, z prawej wznosząca się łagodnie, stopniowo, coraz wyższa gardziel między dwoma pasmami wzgórz.

Towarzyszący nam Wietnamczycy mówili o tym miejscu „carrefour des bombardements” — rozdroże bombardowań. Było to węzłowe miejsce, w którym stykały się drogi i przez ową gardziel na zboczu jednego ze wzgórz prowadziły dalej na południe i południowy zachód. Zamknięcie tego przejścia oznaczało zablokowanie wszystkich najdogodniejszych szlaków transportu wojennego. Zapewne, pozostawały jeszcze inne dro-

gi, były jednak bez porównania dłuższe i bardziej uciążliwe.

Dlatego na mapach sztabowych, rozwieszonych w kabinach lotników Siódmej Floty, w sztabie generała Westmorelanda pod Sajgonem, w hawajskim sztabie głównego dowódcy sił amerykańskich na Pacyfiku i wreszcie nad rzeką Potomac w Waszyngtonie, w miejscu oznaczającym przełęcz Dong Loc wbito chorągiewki oznaczające „top priority” — miejsce o najwyższym znaczeniu.

Najpierw poprowadzono nas na szczyt pierwszego wzgórza. Idzie się tam po długim, łagodnym podejściu, w zupełnej ciszy. Nie słychać ani jednego ptaka, tylko chrobot butów o kamienie, nie ma drzew, jak okiem sięgnąć, na całym horyzoncie widać tylko rudą, skotłowaną, przeoraną wybuchami ziemię. Na szczycie stoi prosty, murowany obelisk, pomalowany na biało i czerwono, ze złotymi literami. To pomnik tych, którzy polegli na tym wzgórzu i na sąsiednich, a także na całej płaszczyźnie podjazdu do Dong Loc. Wzgórze z pomnikiem jest wyszczerbione, utworzyły się w nim żleby i wąwozy, których dawniej nie było. Wietnamscy przewodnicy mówią, że przedtem było dwukrotnie wyższe, zostało ścięte bombami do połowy.

Potem zawieziono nas na grzbiet, którego zboczem biegnie droga. Trudno tu już nawet mówić o grzbiecie górskim — to po prostu leżący zwał potrzaskanych kamieni, góra zamieniona w rumowisko. Ona również została obniżona do połowy, a może nawet jednej trzeciej poprzedniej wysokości. Każdy głaz, każda skała zostały w niej rozłupane. Kolejne wybuchy zasypywały jeje po poprzednich, dziś widać tylko ostatnie. Idąc po zboczach, zwiedzający potyka się o sterczące na każdym kroku ogromne, zardzewiałe, ostre jak brzytwa od-

łamki. Trzeba bardzo uważać, by nie rozciąć butów i nie zranić nogi.

I tutaj też stoi pomnik, skromniejszy niż tamten, ulokowany u stóp góry, tuż na brzegu ogromnego leja. Tutaj zginęło dziesięć dziewcząt z jednej z brygad naprawiających drogę. Były w schronie, kiedy spadła bomba. Bezpośrednie trafienie, nawet ich nie znalaziono. Dziesięć drobnych, czarnowłosych dziewcząt z warkoczami, w słomianych kapeluszach na głowach.

Widziałem w Verdun słynny „okop bagnatów”. Na stoku wzgórza górującego nad wielkim polem bitewnym, niedaleko fortu Douaumont, pod betonowym dachem chroniącym od opadów, ciągnie się na pół zasypany ślad krętej transzei. Nagła nawała artyleryjska zasypała tam francuski pluton piechoty szykujący się do natarcia. Pięćdziesiąt pięć lat później wciąż jeszcze sterczały z ziemi założone na karabiny bagnety, a pod spodem, niewidoczni, tkwili przy karabinach zabici, których śmierć dopadła, zanim zdążyli wyskoczyć z okopu na jej spotkanie. Po dziesięciu dziewczynach w Dong Loc nie został nawet ślad, tylko ten pomnik. Kiedy stałem na wzgórzu Dong Loc, pamięć wciąż przywodziła mi przed oczy obrazy widziane w dalekiej Francji: marta, zatruta, wygasła ziemia, w której po pół wieku nadal tkwią niewypały. Tutaj jest tak samo, tylko że tam, pod Verdun, tkwiły wówczas naprzeciw siebie w kazamatach i okopach dwie potężne armie. Tutaj wojska prawie nie było, jedynie trochę artylerii przeciwlotniczej. Poza tym były brygady robocze, a w nich przeważająca większość kobiet.

Droga przez Dong Loc to po prostu grobla, wał ziemny usypany wśród kraterów i wąwozów. Dziś jeszcze trudno tędy przejechać i przy drodze wciąż widać małe figurki kobiet z łopatami i taczkami. A jak przejeżdżano tędy wówczas? Spadły tutaj, jak podają skrupulatni

Wietnamczycy, czterdzieści trzy tysiące bomb. Było do dwudziestu nalotów dziennie, grupami po dziesięć, dwanaście samolotów. Amerykanie bombardowali przez cały dzień, od świtu do zmroku. Rzucali bomby krużące i rozpryskowe, bomby kulkowe przeciw ludziom, bomby z zapalnikiem opóźniającym. W dzień nie mógł tędy przedostać się nikt. Brygady naprawiające rozszarpaną i zasypaną drogę pojawiały się w nocy, ale Amerykanie przylatywali i wtedy. Oświetlali przełącznikami rakietami świetlnymi na spodochronach, rzucali bomby kulkowe, zasypywali teren bombami wybuchającymi z opóźnieniem. W dzień obserwatorzy wietnamscy starali się ustalić miejsce upadku bomb opóźnionych — w nocy to nie było możliwe. A jednak nieustannie naprawiano drogę.

Młoda dziewczyna, La Thi-tam, przez cztery lata obserwowała padające bomby i natychmiast po każdym nalocie oznaczała chorągiewkami miejsca, w których spadły te o opóźnionym zapłonie. Wyobraźmy sobie dziewczynę setki razy podchodzącą do miejsca, gdzie znajduje się bomba mająca dopiero wybuchnąć: za dziesięć godzin lub za dwie minuty. I tak przez cztery lata. Jak mi powiedziano, La Thi-tam nie opuściła ani jednego dnia.

Przez cztery lata naprawiano drogę. Trwały straszliwe zmagania: kto kogo, czyj upór okaże się mocniejszy. Czasem przez całe tygodnie nie można było przejechać przez Dong Loc ani jednej ciężarówki, a potem transport znowu ruszał. Wybudowano ogromne objazdy, by wyminąć potworne skrzyżowanie, ale nigdy nie zaniechano pracy i w samym Dong Loc. Przewodnicy mówią:

— Wciąż i wciąż uruchamialiśmy przerwany transport. Nigdy nie rezygnowaliśmy. Praca nigdy nie uległa przerwaniu. Każdej nocy zaczynaliśmy na nowo.

Przewodnicy mówią o tym z dumą i zawziętością. Przez chwilę, patrząc to na nich, to na ów przekopany na kilkadziesiąt metrów w głąb martwy obszar kamieni i gliny, ulegam napadowi wątpliwości: czy to aby było konieczne? Cóż to za upór kazał Wietnamczykom pchać się w ten piekielny krąg? Przecież to jasne, że można było tędy przeprowadzić najwyżej kilkanaście ciężarówek tygodniowo, a nieraz może i ani jednej? Ileż ludzi musiało przy tym zginąć?

Kręcą mi się w tej chwili po głowie niedobitki różnych, spotykanych nieraz w Europie, niechętnych Azji i Azjatów ocen i teorii: o fanatyzmie, o pogardzie dla życia, o fatalizmie. Czyż Dong Loc nie jest dowodem, że Azjaci dadzą się zabić, ale nic: ani instynkt samozachowawczy, ani rozumowanie, nie odwiodą ich od powziętego zamiaru — choćby to był zamiar bez szans realizacji? Tak sobie myślę przez chwilę, ale potem, z wolna, zaczynam rozumieć prawdziwy sens tego, co się tutaj działo — i wtedy robi mi się wstyd moich myśli. To, co się działo w Dong Loc, dowodzi rzeczy zupełnie przeciwnych: uporowi i tępoty, a także zadufania ludzi białych — tym razem Amerykanów, ale przecież przedtem dotyczyło to także Francuzów — i przenikliwej inteligencji Azjatów.

Przewodnicy mówią, że transport wciąż ruszał na nowo. Są z tego bezgranicznie dumni. A przecież zapewne nie o to głównie chodziło. Nie o te kilkadziesiąt ciężarówek miesięcznie, które udawało się mimo wszystko przepchnąć przez przełęcz. Dowódcy wietnamscy mieli z pewnością co innego na myśli. Otóż Dong Loc, ta otchłań kamieni, bomb i gliny, stała się w rzeczywistości wielką pułapką, w której grzęzła potęga amerykańskiego lotnictwa. Skoro Wietnamczycy nieustannie naprawiali drogę — Amerykanie nie mogli przerywać bombardowań. Skoro sztab amerykański uznał

Dong Loc za punkt o węzłowym znaczeniu, musiał go nieustannie blokować — tygodniami, miesiącami, latami. Z każdym kolejnym miesiącem Amerykanie sami przykuwali się coraz mocniej do przełęczy, wszak wpakowali już w nią tyle pieniędzy, maszyn, pilotów. Wstrzymanie nalotów przekreśliłoby sens dotychczasowych wysiłków. Dlatego nie mogli już odwrócić się od Dong Loc. I oto odsłania się przed nami przenikliwość wietnamskiej myśli. Jeżeli nie można przeciwstawić się wrogiemu lotnictwu przy pomocy własnych samolotów, to można jednak sprawić, by nieprzyjacielska potęga wyczerpywała się w bezpłodnych uderzeniach. Można sprawić, że przeciwnik zużywa swą supernowoczesną, skomplikowaną technikę do rozwalania dwóch szczytów górskich, pracuje nad obniżeniem ich do połowy czy nawet do jednej trzeciej poprzedniej wysokości, rozwała skalne głazy, używa bomb do zasypywania lejów wybitych przez poprzednie bomby, faszkuje najlepszą stałą górskie zbocza, używa naddźwiękowych odrzutowców do tłuczenia kamieni przy drodze. A przy okazji — ponosi straty, płaci stały haracz, niewysoki, ale regularny, który z pewnością nie załamałby go w ciągu tygodni czy nawet miesięcy — ale w ciągu czterech lat?...

W ten sposób kilka brygad robotniczych naprawiających drogę absorbowało wszystkie samoloty z jednego, dwóch, może trzech amerykańskich lotniskowców. Nie mogły one wykonywać innych zadań, były na stałe przykute do przełęczy. Kilka brygad roboczych, kilkuset Wietnamczyków i Wietnamek, sparaliżowało wiele prześwietnych i superpotężnych jednostek floty USA, jej oficerów, jej pilotów, jej inżynierów, radary, komputery, logistykę. Dong Loc stało się więc prawdziwym i znakomitym wykonaniem koncepcji przyjętej pod Verdun przez oba sztaby: niemiecki i francuski.

O ileż jednak doskonalszym, bo przy użyciu minimalnych środków angażującym maksymalne środki przeciwnika. Tam, pod francuską twierdzą, obie strony chciały się wzajemnie wykrwawić i obie doprowadziły się do granicy załamania. A tu? Obrona Dong Loc niewiele doprawdy materialnie kosztowała Wietnamczyków. Zaangażowali w to sporo uporów i wiele bohaterstwa, a prócz tego: łopaty, taczki, wiklinowe kosze — i te środki wystarczyły przeciw elektronice.

Wietnamskie brygady robocze — bez broni, bez maszyn, niemal bez zaopatrzenia, wykonały w gruncie rzeczy więcej niż najeżone artylerią dywizje Petaina i Focha.

— Zaangażowaliśmy środki najnowsze i najbardziej archaiczne. Umiemy się posługiwać wszystkim. Jesteśmy giętki, elastyczni. Nie ma dla nas niewzruszonych prawideł.

Słuchaliśmy tego wieczorem, kiedy odwiedził nas przedstawiciel władz prowincji, Nguyen Huu Trinh. Szczupły, smagły, o mądrych, myślących oczach. Jest członkiem Komitetu Administracyjnego prowincji, został nim, gdy Amerykanie przerwali bombardowania. Kiedy toczyła się walka, był dowódcą wojskowym prowincji. Siedzieliśmy na ławach przy długim stole, pod dachem z palmowych liści, zawieszonym na wysokich słupach. Mówił spokojnie, z namysłem, monotennie, ale były w tej jego monotonnej opowieści momenty, w czasie których robiło nam się nieswojo.

— Ani jedna gmina nie została oszczędzona — mówił cichym opanowanym głosem — a wiele zostało kompletnie zburzonych. W niektórych były setki zabitych. Chcieli stworzyć atmosferę napięcia, przekonać nas, że nie ma bezpiecznego miejsca ani bezpiecznej chwili.

W wielu miejscowościach sam dźwięk silników wprawił ludność w niepokój.

Początkowo nie przewidzieliśmy rozmiarów tej wojny. Nasze przygotowania były pobieżne. Byliśmy więc nieco zaskoczeni. Normalnie, kiedy most ulegnie zniszczeniu, trzeba przynajmniej sześciu miesięcy na naprawę, a u nas robi się przecież wszystko ręcznie, ręcznie tłucze się nawet kamienie drogowe. Dlatego ataki na komunikację sprawiały nam wiele kłopotów, nawet piechurom, nie mówiąc już o samochodach. Ale wróg pobudzał do działania nasze umysły, naszą inteligencję.

Wynik był taki, że drogami można jednak było zawsze przejechać. Partia postanowiła, że drogi muszą być czynne za wszelką cenę. Zaangażowaliśmy do tego całą ludność, każda gmina była odpowiedzialna za swój odcinek. Zasypywano leje, rozładowywano korki na drogach, przewożono towary z samochodów, które ugrzęzły. Zorganizowano obserwację samolotów, poszukiwanie bomb magnetycznych, naprawiano złej uszkodzone mosty.

Prócz pospolitego ruszenia ludności, istniały brygady szturmowe, a także mieliśmy oddziały saperskie. Te ostatnie zajmowały się zadaniami najtrudniejszymi. Zbudowano dwanaście objazdów, by uniknąć drogi numer jeden. Budowano drogi poprzeczne i w ten sposób wprowadzano w błąd nieprzyjaciela, który uważał, że istnieją dwie drogi. Posługiwano się rzekami, by przewieźć materiał w dogodne miejsce i tam przeładować na ciężarówki. Noszono też zaopatrzenie po prostu na plecach, po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilogramów. Dziesiątki tysięcy ludzi maszerowały każdą ścieżką. Bywało, że przełęcz Dong Loc była zablokowana całymi tygodniami, ale transport szedł na piechotę i materiał docierał na południe.

Prowadzono przeciwko nam również wojnę psychologiczną. Zrzucano z samolotów ulotki, fałszywe pieniądze, radia tranzystorowe, długopisy, czekoladę. Wszystko to niszczyliśmy, nawet radia.

— Ale odbiorniki mogły wam się przecież przydać — zapytałem. — Można było odbierać nimi audycje z Hanoi.

— To prawda — odparł spokojnie Nguyen Huu Trinh. — Bardzo by się nam one przydały. Ale nie chcemy mieć długów wdzięczności, taka jest zasada. Miałoby to zły wpływ na ludność. Zachowywaliśmy tylko taki sprzęt, który został zdobyty w walce.

— Często mówi się — ciągnął dalej — że jankesi mają zmysł praktyczny. Wykorzystali wszystkie możliwości, jakie daje współczesna technika, robili to gruntownie, skrupulatnie, w sposób pomysłowy.

— I w końcu przegrali.

Był późny wieczór, wokół słabej, wciąż mrugającej żarówki kręciły się chmury muszek i komarów. Zapytałem Nguyen Huu Trinha o jego własne dzieje. Długo się wzbraniał, nie chciał mówić, czynił ręką takie gesty, jakby odsuwał od siebie moje pytanie. Wreszcie rzekł:

— Pochodzę z południa. Nie lubię opowiadać o sobie, nauczyłem się tego od Ho. Więc tylko krótko. Byłem nauczycielem, ale od roku 1945 — w armii. Na północy jestem od roku 1954. Z rodziną widziałem się po raz ostatni w roku 1946. Dziś mam pięćdziesiąt trzy lata. Mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł odwiedzić swoich. Zaproszę was wtedy do siebie, będzie wiele nowych tematów.

I więcej już nic nie mogłem z niego wydobyć.

## Dzień szósty

Wróciliśmy z południa do Hanoi i już pierwszego wieczoru uczestniczyliśmy w imprezie niezwyklej. W dużej choć prowizorycznej sali odbywał się koncert szopenowski. Estrada, rzędy krzeseł, nie domknięte drzwi na ulicę, skąd dobiegał dźwięk dzwoneków rowerowych i klaksonów przejeżdżających samochodów. Również publiczność bardzo się różniła od europejskich bywalców sal filharmonicznych. Byli robotnicy w kombinazonach i czapkach, żołnierze w hełmach tropikalnych i z karabinami, dużo młodzieży w drelichowych spodniach i koszulach. Atmosfera odprężenia, bardziej święto ludowe niż koncert.

Grali młodzi pianiści wietnamscy, absolwenci zagranicznych — głównie radzieckich — konserwatoriów. Każdy utwór poprzedzany był występem konferansjera, który opowiadał trochę o Szopenie, trochę o jego muzyce, przeplatał to stosownymi informacjami o Polsce i o okresie historycznym, w którym Szopen tworzył, nie stronił też od anegdot i dowcipów. Początkowo trochę mnie to dziwiło i bawiło, jako że nasze obyczaje koncertowe nie tolerują żadnej gadaniny. Później zdałem sobie sprawę, że w tych warunkach i przy tej publiczności trzeba przyjąć inne zasady. Publiczność reagowała zresztą bardzo żywo na słowa zapowiadacza, śmiejąc się z anegdot i komentując szczegóły.

Stopniowo i ja też uległem przedziwnej atmosferze tego wieczoru. Sprawiała to nie tyle muzyka, ile świadomość ogromnej odległości, tych dziesięciu tysięcy kilometrów dzielących Hanoi od Żelazowej Woli, a także fakt, że słuchałem tej muzyki właśnie w Hanoi. Stukanie kolbami karabinów o podłogę nie wydało mi się już obcym i przeszkadzającym dźwiękiem.

Następnego dnia zaszedłem do jednego z nielicznych

domów towarowych. Ujrawszy mnie, ekspedientka uśmiechnęła się szeroko i powiedziała po francusku:

— Widziałam pana wczoraj na koncercie.

Sprawiło mi to przyjemność, bo było powiedziane w naprawdę miły sposób. Zapytałem trochę zdawkowo, bo przecież nie liczyłem na bardziej szczegółową odpowiedź:

— Jak się pani podoba muzyka Szopena?

Ale odpowiedź była zaskakująca, jak wiele rzeczy w tym kraju:

— Wie pan — powiedziała kobieta — bardzo lubię jego nokturny i kołysanki, natomiast przyznam się, że nie rozumiem mazurków i polonezów. Przypuszczam, że są one już zbyt dalekie od naszych tradycji muzycznych.

Potem byłem u jedyne go w Hanoi prywatnego kupca-filatelisty. Mały sklepik w centrum miasta, nad Jeziorem Zwróconej Szpady, w miejscu, gdzie można sobie wyobrazić rzędy antykwariatów, bukinistów i takich właśnie sklepików ze znaczkami i innymi przedmiotami dla amatorów. Ale na razie sklepik jest tylko jeden. Prowadzi go starszy człowiek, doskonale mówiący po francusku. Ma piękny zbiór wczesnych znaczków wietnamskich, prowizoriów z okresu walk z Francuzami i z pierwszych miesięcy niepodległości. Ponadto trochę kolorowych obrazków ze świata w rodzaju ptaków, malarstwa, zwierząt i sportu.

Było pusto, właściciel rozgadał się i ucieliśmy sobie dłuższą pogawędkę. Tłumaczył mi, że zainteresowanie znaczkami jest bardzo duże i mógłby zarabiać znacznie więcej, ale w Wietnamie nie wolno się bogacić, więc sprzedaje tylko tyle, ile trzeba, by żyć.

— Nasza rewolucja — powiedział — nie dopuszcza, by jedni ludzie mieli znacznie więcej niż inni. Ja na

przykład jestem nie tylko filatelistą, ale i malarzem. Mógłbym zarabiać znacznie więcej, ale trzeba, żebym brał niskie ceny za obrazy. U nas nie wypada postępować inaczej.

W okresie walk z Francuzami hanoiski filatelista miał poważne zasługi, dlatego pozwolono mu otworzyć atelier. Decyzję w tej sprawie wydał sam Ho Szi Minh.

Każda rozmowa pogłębia zdziwienie. Im dłużej przyglądam się temu krajowi, tym bardziej wydaje mi się niezwykły.

Nasi wietnamscy gospodarze usłyszeli, że interesuje mnie archeologia. Po paru dniach zaprosili mnie na rozmowę z dyrektorem Instytutu Archeologii. Starszy pan, profesor, potraktował nas cierpliwie, wygłosił wykład jak dla studentów pierwszego roku i uczynił słusznie, bo przecież niczego nie wiedziałem o archeologii wietnamskiej. To, co mówił, przerastało perspektywą chwilę bieżącą, stanowiło cenne uzupełnienie tego, cośmy dotąd widzieli i słyszeli.

— Partia — powiedział profesor — przykładą dużą wagę do nauki historii. Dzieje naszego kraju to niemal nieustająca walka z obcą agresją. Zapoznając ludzi z historią naszego kraju, podtrzymujemy w nich dumę narodową. Już w kilka tygodni po proklamowaniu Republiki, w roku 1945, Ho Szi Minh opublikował dekret o organizacji prac archeologicznych. Był to dekret numer 65, stanowiący odtąd prawną podstawę naszej pracy.

— Przedtem — ciągnął — pewne prace prowadzili w naszym kraju Francuzi. Dokonali oni poważnych odkryć dotyczących epoki neolitu i epoki brązu. Ta ostatnia przypadała na okres początków ery chrześcijańskiej w Europie. Francuzi odkryli kulturę bardzo

rozwiniętą, ale nie mającą afiliacji, bez powiązań i bez początku. A dla nas pytanie, czy kultura wietnamska jest kulturą rodzimą, czy powstała na tej ziemi — ma ogromne znaczenie.

Przypomniał mi się uparty bój toczony przez profesora Józefa Kostrzewskiego i jego uczniów o słowiański, rodzimy rodowód kultury ziem polskich. To również miało dla nas ogromne znaczenie, i podobne były tego powody. Mój rozmówca był zresztą w Polsce, widział też Biskupin.

— W okresie niepodległości — opowiadał — dokonaliśmy odkryć, których dawniej nikt się nie spodziewał. W roku 1959 natrafiliśmy na stanowisko paleolityczne zawierające szczątki człowieka sprzed, jak sądzimy, trzystu tysięcy lat. Są one odpowiednikiem „homo sinanthropus”, pierwotnego człowieka odnalezionego w Chinach. Potwierdza to hipotezę, że od początków człowiek istniał zarówno w Chinach, jak i w Wietnamie. Później odkryliśmy około stu stanowisk obejmujących wszystkie etapy ewolucji aż do końca neolitu. Nasze prace położyły kres teoriom rasistowskim, wykazały też, że kultura wietnamska była równoległa do chińskiej. Wiadomo dziś, że przed pierwszą inwazją chińską istniała rozwinięta kultura Wietnamu. Ze wszystkich naszych badań płynie nauka o podstawowym znaczeniu: nasza wietnamska kultura jest zjawiskiem niezmiernie starym, całkowicie samorodnym, choć, oczywiście, w późniejszym okresie przyjmowała wpływy chińskie, ale z drugiej strony, również w chińskiej sztuce i rzemiośle odnaleźć można wpływy wietnamskie. Naszym zdaniem nigdy, nawet w okresie panowania chińskiego w Wietnamie, nawet za czasów dynastii Ming, wpływy chińskie nie były tak mocne, jak to myślano uprzednio.

— Byliśmy zawsze sobą — ciągnął profesor — a na-

sze zrywy niepodległościowe przeciw Chińczykom, które powtarzały się wielokrotnie w ciągu wieków, były możliwe tylko dzięki istnieniu prawdziwie narodowej, niezależnej kultury. Nasza zależność od Chin była zwykle tylko pozorna.

Przywiązujemy do owej świadomości naszej niezależności kulturalnej i historycznej wielką wagę. Nasz instytut został zorganizowany w roku 1968, jeszcze podczas nalotów amerykańskich. Prowadziliśmy wykopaliska podczas bombardowań, sporo interesujących rzeczy znaleźliśmy w rezultacie kopania schronów. Mieliśmy wystawy w Czwartej Strefie, niedaleko linii zdemilitaryzowanej, tam gdzie padało najwięcej bomb. W roku 1967 odbył się kolejny zjazd Stowarzyszenia Historyków. Obrady były wiele razy przerywane alarmami.

Tyle powiedział mi dyrektor Instytutu Archeologii. Kiedy po skończonej rozmowie wyszedłem na ulicę i znowu zobaczyłem tłum ludzi w pocerowanych drellichach, żołnierzy z maskującymi gałkami przyczepionymi do hełmów, ciężarówki, które jechały na południe lub właśnie stamtąd wróciły, pomyślałem, że bardzo mało wiemy o Wietnamie.

### **Dzień siódmy**

Dzień siódmy wybrany spośród tych dni, które spędziłem w Wietnamie, był dniem jednej rozmowy i licznych refleksji. Było to pod koniec pobytu i po wszystkim, co widziałem, po zburzonych miastach, po wsiach, w których ludzie od świtu do nocy pracują po kolana w wodzie, po strzaskanych mostach i przeoranych a jednak czynnych drogach — wciąż zastanawiałem się,

co to są za ludzie ci Wietnamczycy, którzy potrafili znieść wszystko, co świat wymyślił najgorszego i których żadna wroga potęga nie potrafiła przemóc.

Co to za ludzie i jaka będzie ich przyszłość?

Bardzo to trudne pytanie. Tysiące razy opisywano już wietnamskie bohaterstwo, odwagę, upór, patriotyzm i determinację. Wszystko jest prawdą. Ale nie wyjaśnia to w dostatecznym stopniu istoty wietnamskich sukcesów. Największe nawet bohaterstwo nie zdołałoby sprostać niesłychanej amerykańskiej obfitości środków technicznych i naukowych, gdyby Wietnamczycy nie byli mistrzami kalkulacji wojskowej. Ich zwycięstwa są przede wszystkim zwycięstwami myśli nad techniką. Prowadzą oni wojnę już niemal od trzydziestu lat, z krótką tylko przerwą. Zawsze byli w tej nie kończącej się wojnie stroną słabszą, przynajmniej w tym sensie, jaki wynika z normalnego, wojskowego rachunku sił. Nauczyli się wykorzystywać tę słabość, przeciwstawiać myśl, fortel, przenikliwość samolotom, czołgom, napalmowi, wykorzystywać teren, czynnik zaskoczenia, nieuchwytność. Nauczyli się także wyzyskiwać pewną sztywność myślenia, nawyki zaszczerpione w akademiach wojskowych, jakie zawsze ciążyą nad sztabowcami wielkich armii. Są w tej dziedzinie niezrównani, przypuszczam, że najlepsi na świecie. Pewien wietnamski wojskowy powiedział mi:

— Nie jesteśmy ograniczeni żadnymi regułami sztabowymi i nie uważamy żadnych środków za niezbędne czy rozstrzygające. Wszystko zależy od sytuacji. Dlatego mamy zawsze w zanadrzu ogromną liczbę niespodzianek....

Epopcja wietnamska nie ma sobie równych. Nie wątpię, że Amerykanie nigdy nie zdołają wygrać tej wojny. Nie jest to zwykła wojna, jaką zawsze, prędzej czy później, rozstrzyga matematyczny stosunek sił.

Jest to coś zupełnie innego. Nie chciałbym wszelako, aby ten „Dziennik” kończył się tonem tryumfu. Byłoby to może uzasadnione, a jednak wydaje mi się, że nie byłoby całkowicie uczciwe. Naprawdę, trudno dawać wyraz radości, kiedy się wraca z kraju tak bardzo zniszczonego, w którym wojna trwa nadal i na razie nie widać jej końca.

Sens każdej wojny przejawia się w pełni dopiero w pokoju, który po niej następuje. W Wietnamie pokój wydaje się wciąż jeszcze bardzo odległy. Wojna trwa. Amerykanie nie zdołali jej wygrać, co stanowi dla nich klęskę, jaka dotąd nigdy się Stanom Zjednoczonym nie przydarzyła. Nie zostali jednak również pokonani. Wietnamczycy sami to mówią w każdej rozmowie, że wróg wciąż ma jeszcze wiele możliwości manewrowania i wcale nie zrezygnował z przechylenia szali na swoją korzyść. Nie w tym wprawdzie sensie, by zmusić Hanoi do ugięcia się, albowiem to okazało się niemożliwe, lecz by w końcowym rachunku zachować w południowo-wschodniej Azji stan korzystny dla USA.

Dziś w Wietnamie każdy kierowca odruchowo, z przyzwyczajenia, parkuje samochód pod drzewem. Ludzie na wsi unikają noszenia bardziej kolorowych strojów. Każdy rozmówca podkreśla, że wojna się nie skończyła — i każdy wyciąga z tego odpowiednie wnioski, zarówno w pracy, jak i w życiu osobistym. Ci z nas, którzy to pamiętają, wiedzą, jak trudno było ludziom w roku 1939, a nieraz nawet i później, przyzwyczać się do rzeczywistości wojennej, przestawić, przystosować. Wielu zginęło przez to właśnie, że się przestawić nie umieli. W Wietnamie, kiedy wreszcie nadejdzie pokój, ludziom z pewnością trudno będzie przywyknąć do pokojowego życia. Wszak to już trzecie pokolenie wyrasta, dla którego treścią życia była i jest wojna.

Pokój, codzienna praca, odbudowa, rozwijanie gospodarki, stawiają przed ludźmi inne wymagania, mniej może heroiczne, ale nie mniej trudne. Wymagany jest inny rodzaj rachunku, nabycie innych przyzwyczajęń, zmiana skali ocen i położenie nacisku na inne wartości. Z własnej praktyki wiemy, że stosowanie w okresie pokoju doświadczeń nabytych na wojnie bardzo często przynosi niedobre rezultaty. Wietnamczycy będą musieli dopiero się tego nauczyć.

To trudna sprawa. Przekonał mnie o tym długi i przejmujący monolog mera miasta Hanoi, doktora Tran Duy Hung. Opowiadał on najpierw o latach panowania francuskiego, o tym, jak wtedy wyglądało Hanoi. Mówił, że my z Polski (w której był przed rokiem) nie możemy sobie w ogóle wyobrazić miasta kolonialnego, bo nie miało ono nic wspólnego z naszymi miastami, z ich klasą robotniczą, a nawet kapitalistami, którzy przecież wiele budowali. Było to miasto, które żyło wyłącznie z armii kolonialnej i jej wydatków.

— Kiedy wyzwoliliśmy Hanoi — opowiadał mer — nie było w mieście ryżu, ale było za to kilka milionów litrów wina. My wina nie pijemy, musieliśmy więc na gwałt ściągać z innych okolic wszystko, co było potrzebne ludności, bo inaczej pomarłyby z głodu. Cała ekonomika była podporządkowana potrzebom kolonialnym, towary pierwszej potrzeby i wszelkie towary przemysłowe, z wyjątkiem drzewa i mat były importowane, istniało tylko kilka warsztatów samochodowych, zakład naprawy taboru kolejowego, kilka drukarni, elektrownia, wodociągi — to wszystko. Było pięć tysięcy robotników i rzemieślników, a za to około stu tysięcy drobnych handlarzy. Miasto żyło głównie z pośrednictwa i obsługi kolonizatorów. Było dwadzieścia tysięcy prostytutek, a dalej żebracy, sieroty wojenne, łobuzy.

Doktor Tran Duy Hung opowiadał siłąc się na obiektywny ton, ale mu się to nie udawało. Ból dźwięczał w jego głosie. A później, wbrew stereotypowym, malowanym nieraz przez powracających z Wietnamu dziennikarzy obrazkom, dalszy ciąg jego opowieści nie zabrzmiał wcale tonami tryumfu. Mer mówił o wyzwoleniu Hanoi po wojnie z Francuzami i o tym, że nowe władze zaprowadziły porządek w ciągu dwudziestu czterech godzin. Przedtem było w mieście mnóstwo band, ludzie zamykali na noc drzwi, teraz otworzyli je. Prawie przez tydzień trwało wielkie, prawdziwe, ludowe święto. Lud pracujący Hanoi zawsze był po stronie sił rewolucyjnych, dlatego udało się natychmiast zapewnić rewolucyjny porządek. Ekonomia miasta została przeistoczona. Podzielono okoliczne ziemie między chłopów, między innymi tysiące hektarów terenów oczyszczonych jako pole obstrzału wokół bunkrów. Ale trzeba było pełnych dwóch lat, by ożywić gospodarkę.

Okolo roku 1960 Hanoi weszło w okres budownictwa socjalistycznego. Zaczęto wznosić nowe zakłady przemysłowe, budować domy mieszkalne. Nie trwało to długo. W dniu 29 czerwca 1966 roku przyszedł pierwszy wielki nalot na miasto. Dalsze dzieje Hanoi nie różniły się od dziejów reszty kraju: naloty, ewakuacja, walka o zapewnienie normalnego toku życia, produkcji, pracy. Zabici, zestrzelone samoloty, tysiące bomb i rakiet.

— Gdy przed rokiem byłem w Warszawie — opowiadał mer — mówiłem o tym, co przeszło nasze miasto. Pytano mnie: ile zapewniacie każdemu człowiekowi mięsa, mleka, masła, jarzyn. Trudno nam odpowiedzieć na takie pytania, myśmy wyszli z absolutnego ubóstwa. W moich czasach studenckich wszystko, co człowiek miał, to była miseczka ryżu dziennie. Dziś każdy ma zapewnioną swoją porcję, małą, bo małą, ale

nikt nie pozostaje bez środków do życia. Taka jest nasza miara. U nas życie jest ubogie, ale jest to życie wypełnione walką.

— Ryżu — ciągnął — wystarczy dla każdego, a nawet zwiększyliśmy podczas wojny przydział dla dzieci. Brak nam wielu innych produktów. Jeżeli można było wytrwać, to dzięki dyscyplinie społecznej — i pomocy przyjaciół. Polska przysłała nam na przykład odzież, mleko, lekarstwa i wiele innych rzeczy. To dla nas ważne i pomaga nam trochę lepiej żyć. Potrzeby miasta są jednak ogromne. Jest ciasno, brakuje dziesiątków tysięcy mieszkań. Na jednego mieszkańca wypadają trzy metry kwadratowe, a w niektórych dzielnicach nawet mniej. W Hanoi uległo zniszczeniu siedem tysięcy domów, a pozostałe też nie są w dobrym stanie. Próbujemy więc uruchomić produkcję elementów prefabrykowanych. Musimy podjąć w przyszłości ogromną przebudowę miasta. W dawnej dzielnicy francuskiej na jednym hektarze mieszka około 200 ludzi, w dzielnicach wietnamskich do tysiąca. Podwoiliśmy już wydajność wodociągów, ale wciąż przypada niepełne 80 litrów wody na mieszkańca, podczas gdy w Warszawie 300, tu zaś jest przecież klimat tropikalny. Mamy w Hanoi 340 tysięcy rowerów, ale bardzo mało autobusów.

Mimo że wojna wciąż się nie skończyła, doktor Tran Duy Hung myśli i mówi o jutrze. Zadałem mu więc pytanie, jak wyobraża sobie przyszłość gospodarczą kraju, tę po wojnie. Odpowiedział mi, że Wietnam podejmie wielki wysiłek, by się unowocześnić, by poprawić warunki życia, by wydobyć się z zacofania. Oto zanotowany przeze mnie dialog:

— Aby się unowocześnić, kupić potrzebne fabryki i urządzenia, będziecie musieli dużo eksportować.

— Tak jest, będziemy musieli zdobyć wiele środków.

— Co będziecie eksportować?

— Mamy różne możliwości. Na przykład możemy eksportować do Europy owoce. A także wyroby rzemieślniczo-folklorystyczne. Wykorzystamy też istniejącą u nas siłę roboczą, na przykład umiejętności naszych kobiet, które będą mogły zająć się wykańczaniem konfekcji sprowadzanej w tym celu z krajów europejskich.

Muszę szczerze wyznać, że nie wydało mi się przekonywające. Trudno opierać odbudowę kraju na takich podstawach. Trzeba wprawdzie pamiętać, że Wietnam ma prócz tego nieco bogactw naturalnych — a mimo to nie będzie łatwo usunąć ślady wojny, a tym bardziej wyrwać kraj z zacofania. Kiedy to powiedziałem, mer Hanoi umilkł na chwilę, a potem powiedział:

— My wiemy o tym, ale pamiętajcie, że jesteśmy nadzy. Zupełnie nadzy.

Nie wiemy, kiedy nastanie pokój w Wietnamie, nie wiemy, jakie przybierze formy. Wiemy, że DRW tej wojny nie przegra. Dawniej było to tylko przekonanie, dziś jest to już pewnik, niezbity fakt. Cokolwiek by jeszcze mogło nastąpić, Hanoi nie zostanie pokonane.

Była to i jest wojna straszna, w niczym nie lżejsza od tej, którą znamy, a może jeszcze gorsza. Kraj jest zniszczony w sposób niewiarygodny. Kiedy wreszcie nastaną — być może dalekie, ale przecież w końcu pewne — dni pokoju, Wietnamczyków czekać będzie niezwykle trudne zadanie. Będą wówczas chcieli zapewnić swemu krajowi należne miejsce. Będą musieli budować, a prawie zapomnieli, jak to się robi. Będą musieli uczyć się żyć na nowo. Myślą o tym, ale wciąż nie mają czasu ani sposobności, by przymierzyć się do przyszłych zadań.

Kiedy jechałem do Wietnamu, wiozłem ze sobą w

skrytości ducha przekonanie, że tam, wśród zwalonych miast i spalonych wsi, nie wypada Polakowi mówić o naszej pomocy, podobnie jak i o pomocy innych krajów socjalistycznych. Uważałem, że była ona naszym obowiązkiem, ale że nie godzi się mówić o niej w obliczu ludzi, którzy walczyli, którzy stracili bliskich, którzy przeżywali tragedię osobistą i dramat kraju. I czułem się zażenowany, kiedy o pomocy tej mówili sami Wietnamczycy. Jednak później zmieniłem zdanie.

Pomoc krajów zaprzyjaźnionych dla Wietnamu była i jest bardzo realna. Widać ją wszędzie, w każdym miejscu i w każdej dziedzinie. Umożliwiła ona stawianie oporu i odparcie ataku. To jest prawda. Pisało się o niej dość ogólnikowo i stąd mogło powstać w umyśle czytelnika w Polsce przekonanie, że owa wojna nie była tak straszna, jak ta, którą sami znamy. Bo przecież wiemy, że bombardowane fabryki nie mogą normalnie funkcjonować, bombardowane miasta nie mogą normalnie żyć. A czytaliśmy przecież, że w Wietnamie życie trwa nadal — mimo bombardowań.

Trwało. Było to możliwe z dwóch powodów: dzięki bezprzykładowemu bohaterstwu Wietnamczyków i ogromnej pomocy krajów zaprzyjaźnionych. To prawda, że ewakuowane z miast fabryki nadal pracowały. Ale myliły się ten, kto by sądził, że mogły one produkować tyle samo, co przedtem, albo że ich produkcja wystarczyłaby do stawienia czoła amerykańskiej wojnie. Tak oczywiście nie było i być nie mogło, albowiem cudy nie zdarzają się nigdzie, przynajmniej w dziedzinie materialnej.

W dziedzinie psychicznej, w dziedzinie nerwów, wytrzymałość Wietnamczyków istotnie graniczyła z cudem. W dziedzinie materialnej natomiast życie i walka kraju wystawionego na ciosy amerykańskiego młota powietrznego były możliwe tylko dzięki pomocy. Prze-

jawia się to we wszystkim, począwszy od latarki elektrycznej i baterii, od żyłki i mydła, poprzez żywność i ciężarówkę, do raket i artylerii. Bez tej pomocy całe bohaterstwo poszłoby na marne.

Ale najważniejszą rolę odegrali ludzie. Wąтли, delikatni ludzie, uginający się pod ciężarem broni dostosowanej do sił europejskich żołnierzy, jaką im przysyłano. Ludzie niezłomni i zadziwiający.

Nieraz, kiedy jeździłem po wietnamskich drogach i gdy wieczorami rozmawiałem z Wietnamczykami, przychodziło mi do głowy, że w naszym sposobie przedstawiania walki Wietnamu, w reportażach, książkach, filmach i audycjach radiowych tkwił błąd. Jakże były sztywne i powierzchowne. Nieraz już popełnialiśmy błąd polegający na podporządkowywaniu każdego ludzkiego drgnięcia zimnym racjom politycznym, co sprawia, że w ostatecznym rezultacie prawda zatracą się i niczego już nie można zrozumieć, budzi się natomiast obojętność, znudzenie i niewiara. Cały świat mógł bowiem dowiedzieć się, jacy są, co myślą i jak żyli amerykańscy piloci i „marines”, lecz jak niewiele dowiedzieliśmy się o ludziach po stokroć bardziej interesujących — o wietnamskich żołnierzach w sandałach. Kto w końcu napisze przejmującą prawdę o Wietnamczykach? Nie o tym, że walczyli, i że na każdego z nich przypadało tyle, a tyle kilogramów materiałów wybuchowych, lecz o tym, co czuli, co myśleli, jacy są, jakie były kierujące nimi racje. O tym, że są ludźmi, choć uczyniliśmy wiele, by odczłowieczyć ich obraz.

A to są ludzie wspaniali.

## Zdziwienie czwarte:

---

### Japonia, czyli wizyta w Komputopii

#### I

Było to przy końcu drugiego tygodnia mojego krótkiego pobytu w Japonii. W worku, w którym przechowuję uciulane w ciągu lat umiejętności dziwienia się bez utraty równowagi umysłowej, zasoby odporności na zaskoczenie, ampułki zimnej krwi niezbędnej w obliczu rzeczy niesłychanych, widać już było dno. Wobec zupełnej niebywałości tego wydarzenia, jakim jest Japonia, wobec nieskończonej niezwykłości tego gigantycznego happeningu, jaki odbywa się w tym kraju, zacząłem się czuć bezradny. Pocięzałem się tylko, że podobną bezradność wobec japońskiej tajemnicy wykazują nie tylko ja, publicysta i reporter, ale i wielu wybitnych znawców przedmiotu: ekonomistów, historyków, badaczy kultury i cywilizacji.

Zgłębienie japońskiej tajemnicy przychodziło mi z wielkim trudem i różniłem się tym od pewnych dziennikarzy, którzy po kilku tygodniach zwiedzania potrafią już wyrokować o sensie, istocie i znaczeniu dosłownie wszystkiego. Trudno mi było przeniknąć do sedna japońskiego zjawiska, mimo że starałem się na prawo i lewo (dosłownie i w przenośni) sięgać do zdania autorytetów i mimo iż udało mi się ustalić z całą pewnością, że jest co najmniej dziewięćdziesiąt dziewięć różnych jego przyczyn. Ale wciąż nie potrafiłem ustalić setnej,

choć wiadomo, że na pewno istnieje i jest prawdopodobnie przyczyną najważniejszą.

Tak więc pod koniec drugiego tygodnia pobytu osiągnąłem już ostateczne granice chłonności i poczynąłem obawiać się, że grozi mi najgorszy wróg reportera: zubożenie i godzenie się na gotowe, powszechnie znane wyjaśnienia, które są wygodne, choć to wcale nie znaczy, że słuszne. Miałem już za sobą pełne oszołomienia dni zapoznawania się z Tokio, największym na świecie dwunastomilionowym zgromadzeniem śpieszących się ludzi. Co tam dwunastomilionowym, przecież razem z miastami Kawasaki i Jokohamą, z którymi Tokio jest zrosnięte, jak warszawskie Śródmieście z Mokotowem, ta najpotężniejsza na świecie maszyna do spędzania życia liczy już dwadzieścia milionów!

Miałem za sobą eksperyment zapuszczania się w dżunglę tokijskich centrów, których jest nie jedno, lecz kilka, wyprawy w głąb miast podziemnych, takich jak w dzielnicach Ginza czy Szindzuku, gdzie toczy się życie zupełnie niezależnie od tego, co się dzieje na powierzchni i gdzie po dokładnie pięciu minutach zwiedzania traci się poczucie kierunku i czasu, gdzie zresztą należy się zgubić, albowiem troska o zapamiętanie drogi staje się udręką uniemożliwiającą odbieranie wrażeń. Miałem także poza sobą poszukiwania stacji metro znajdującej się nie w podziemiach, gdzie jej szukałem, lecz na trzecim piętrze ogromnego budynku, wizytę w handlowym centrum elektroniczno-telewizyjno-radiowo-akustyczno - magnetofonowo - tranzystorowym Akihabara, gdzie w co najmniej tysiącu sklepów i domów handlowych, a także małych budek i straganów sprzedaje się co najmniej sto tysięcy różnych modeli przyrządów do słuchania, oglądania, zapisywania, przekazywania, odtwarzania i utrwalania dźwięków i obrazów i gdzie w przecenie jako przestarzałe są

sprzedawane urządzenia, o których my dopiero czytaliśmy w „Problemach”.

Widziałem fasadę wieżowca firmy „Sony” wyłożoną, zamiast kaflami czy płytami — telewizyjnymi lampami kineskopowymi, i to czynnymi; zapalane i gaszące w różnych układach i tworzące zawiłe wzory zestawiane przez komputer, mogą także nadawać jednocześnie setki razy powielony ten sam program telewizyjny albo wiele programów naraz. Jeździłem „motorwayami”, czyli ciągnącymi się na wysokości szóstego czy ósmego piętra wzdłuż i w poprzek miasta hulajdrogami dla samochodów, a także tunelami, które biegną pod dnem rzek z wodą i rzek z samochodami, a także pod pałacem cesarskim. Widziałem miejsca, w którym krzyżowało się jednocześnie sześć poziomów ruchu — nie pasm, lecz poziomów, wzajemnie sobie nie przeszkadzających, ale czyniących razem taki huk, że w biały dzień i niczego nie wypiwszy czułem drżenie nóg i chwianie się chodnika, chociaż nie było przecież trzęsienia ziemi.

Jechałem najniżej latającym samolotem świata, pociągiem „Hikari” pokonującym trasę Tokio—Osaka (pięćset pięćdziesiąt kilometrów) w trzy godziny i sześć minut. Pociąg jest sterowany przez komputer, ponieważ żaden maszynista nie potrafiłby utrzymać właściwej prędkości przeciętnej. Komputer sprzedaje również bilety i gotowy jest do unieruchomienia całej linii (pociągi odjeżdżają co piętnaście minut) w wypadku trzęsienia ziemi lub tajfunu. Piłem kawę stojąc przy barze w tym pociągu i widziałem strzałkę szybkościomierza, który w ciągu kilkunastu sekund wykazywał wahania od stu do dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę. Z trzymane­j przeze mnie filiżanki kawy nie chlapnęła ani jedna kropla.

Widziałem stalownię, rafinerie, kombinaty petroche-

miczne zbudowane w ciągu trzech, najwyżej czterech lat prosto w morzu, w którym utworzono ogromne, równe płaszczyzny stałego gruntu ścinając po prostu okoliczne góry i wrzucając do wody piach, ziemię, żwir i gruz skalny.

Zrozumiałem ironię mojego rozmówcy z naszej ambasady, kiedy była mowa o projekcie nawiązania stałego kontaktu Tokio—Warszawa. Powiedział:

— Wie pan, Tokio to rzecz bardzo wielkich rozmiarów. Może bardziej uzasadnione byłoby nawiązanie kontaktu z którąś z dzielnic tokijskich, a są przecież takie, co mają dwa lub trzy razy więcej mieszkańców niż Warszawa. Niejeden z tokijskich komisariatów jest większy niż warszawskie śródmieście...

Wydąło mi się wówczas, że Tokio jest miastem o numer, a może i dwa numery za dużym, przynajmniej jak na moje potrzeby. Że nigdy nie mógłbym żyć w tym wszechogarniającym, przeraźliwym hałasie, w tym powietrzu, które widać, albowiem w mieście utrzymuje się bez przerwy gęsty opar uniemożliwiający sfotografowanie miejskiej panoramy, zacierający kontury budynków na sąsiedniej ulicy, zakrywający niebo do tego stopnia, że przez dwa tygodnie nie widziałem słońca, chociaż wcale nie było chmur. W warunkach, kiedy liczni ludzie tracą, jak mi opowiadano, do czterech godzin na dojazd do pracy i z powrotem.

Pomyślałem, że lepiej żyć w starej, zacofanej Europie. A kiedy to pomyślałem, zrobiło mi się gorąco, ponieważ uświadomiłem sobie, że nigdy dotąd, od wielu wieków, te dwa przymiotniki nie pasowały do nazwy Europy.

Wiedziałem już, jak to wygląda z zewnątrz i co to oznacza, że Japonia wysunęła się na trzecie miejsce w świecie pod względem produktu narodowego brutto,

a według prognoz japońskich ekonomistów stanie się w końcu naszego wieku pierwszą potęgą gospodarczą świata. Miałem także za sobą wiele rozmów z licznymi Japończykami, z których jedni twierdzili, że przed Japonią otwiera się przyszłość, drudzy zaś, że przepaść. Jedni i drudzy zgodni jednak byli, że żyją dziś lepiej niż dawniej.

Miałem zatem w głowie chaos i niepokoiłem się, czy zdołam coś osiągnąć w dalszym ciągu mego pobytu. I właśnie wtedy zobaczyłem ów ogród.

Było to w mieście Koczi na wyspie Sikoku. Miasto położone na równinie wśród gór, góry gęsto spowite chmurami. Pośrodku miasta, na wysokim wzgórzu, stary pałac z drzewa, lecz o potężnych murach obronnych. Całość jak ze starych sztychów japońskich. Zaprowadzono nas do świątyni, za którą była drewniana weranda wychodząca na ogród. Wiedziałem już, że japońskie ogrody są dziełami sztuki i filozofii, że niektóre z nich są chronione jak najcenniejsze zabytki, jak u nas Wawel czy Pieskowa Skała. Widziałem kilka z nich i zdawałem sobie sprawę, że trudno nam przeniknąć ich istotę, jak w ogóle trudno zrozumieć japońską sztukę. Pochłaniałem tę sztukę podczas mego pobytu na równi z elektroniką i statystykami rozwoju gospodarczego. Złociste, tysiącrotnie powtórzone posągi wielorękiej bogini Kanon w starym, cesarskim Kioto. Olbrzymi posąg Buddy w Kamakura, do którego wchodzi się z tyłu po schodach. Subtelne drzeworyty Utagawa Hiroshige: „53 etapy drogi Tokaido”. Posągi ze świątyni Horyuji w mieście Nara.

Przed wyjazdem przestrzegał mnie Ignacy Witz: „To jest sztuka tak obca, że nie do zrozumienia”. A jeśli on, znawca malarstwa, tak to odczuwał, to cóż dopiero

ję, niedouczony profan. Ale potrzeba mi było przerwy, chwili medytacji, spokojnego zamyślenia.

Przed werandą rozpościerał się ogród na skarpie schodzącej w dół aż do tradycyjnego stawu, w którym pływały złote ryby. Zbocza były bezładnie obsadzone drzewami, z których każde było inne, a wiele ogromnej, dziwnej piękności. Tu i ówdzie krzewy, kwiaty, białe i szare kamienie. Intensywnie zielona woda u stóp.

Z tyłu cichutko zbliżył się stary Japończyk w sandałach, dozorca świątyni i oprowadzacz turystów. Przez chwilę obserwował mnie w milczeniu, potem jeszcze się zbliżył. Powiedział coś, a tłumacz przełożył:

— Czy pana to interesuje?

— Tak.

— Dobrze.

I zaczął mówić. Wyjaśniał wszystko jak dziecku, które po raz pierwszy styka się z zawilnością sztuki. Wzór tego ogrodu został przywieziony z Chin przez jednego z japońskich myślicieli buddyjskich. Oczywiście nie był to wzór dokładny, tylko idea, myśl. Ale ujrzeć tę myśl, zrozumieć ideę ogrodu można tylko z jednego miejsca, tu na werandzie. Wskazał mi miejsce i polecił, bym usiadł.

Zobaczyłem, że perspektywa zmienia się, a otaczający świat gdzieś ginie i wcale go już nie ma. Prawa strona ogrodu, tłumaczył stary dozorca, budzi myśl o ulotności życia i spraw materialnych. Wszystko jest tutaj tak zorganizowane, by wywoływać takie właśnie wrażenie, ani jeden krzak, ani jedno drzewo nie stoją tutaj przypadkowo. Może to być tylko tak, nie może inaczej. A lewa strona ma budzić smutek.

Wpatrzyłem się w nią. Było tam coś zgniętego, coś pociągającego i odpychającego zarazem. Był właśnie smutek. Szare kamienie porosłe niemłą zielenią zsuwały się do stęchłej wody. W stawie leżał samotny

głaz, taki sam, jak te, co leżały na zboczu. Dozorca tłumaczył, że ów kamień musi tam leżeć, by połączyć staw z ogrodem i musi leżeć w tym właśnie miejscu, a nie o metr dalej czy bliżej. Właśnie w ten sposób osiągnięto powiązanie całości kompozycji, wrażenie smętku i umierania. Całość została skomponowana dla widza patrzącego z jednego punktu i skupiającego myśli w jednym kierunku. W tym ogrodzie, jak w utworze muzycznym, nie można zmienić ani jednej nuty.

Kiedy wychodziliśmy, mój opiekun, Minoru Ookuma, młody i bardzo bystry człowiek, mówiący świetnie po angielsku, rozłożył bezradnie ręce:

— Nie mogę tego przetłumaczyć ani oddać pełnego sensu. To zbyt skomplikowane.

Powiedziałem mu, że osiągnął to, iż wiem, jak bardzo to jest skomplikowane. Zastanowił się i rzekł:

— Dobrze. Chodzi o osiągnięcie przynajmniej tego...

## II

Nie jestem miłośnikiem wystaw światowych, tych gigantycznych targowisk propagandy, tego wielkiego kłamstwa, owego obrazu świata, jaki istnieje tylko w kolorowych wydawnictwach drukowanych w poszczególnych krajach na użytek obywateli innych krajów. Widziałem dotąd dwie: w Brukseli w roku 1958 i w Osace, w 1970. Nie odczuwam żadnej potrzeby obejrzenia trzeciej.

Pamiętam, że w Brukseli Belgowie prezentowali pawilon Konga ukazujący kraj arkadyjskiej szczęśliwości, w którym bezgranicznie fortunni czarni ludzie paśli stada bezdennie szczęśliwego bydła i ku powszechnej radości i zbudowaniu rozdawali egzemplarze Biblii, psalterze i modlitewniki. Czarne dzieci zajęte były nau-

ką w jasnych szkołach, nieustannie głaskane po głowie przez białych nauczycieli, lekarzy i zakonnice. Było to piękne, cóż kiedy dwa lata później wybuchła w Kongo wojna, w której zginął milion ludzi, a kraj okazał się mniej szczęśliwy, niż to przedstawiono w pawilonie. Pamiętam też, że w pawilonie Haiti rozpromieniony personel rozdawał gratis filiżanki pachnącej kawy, a fakt, że w kraju „Papy” Duvaliera wielu przymierało głodem, w niczym nie mącił ich satysfakcji. Nigdzie nie było najmniejszej wzmianki, że gdzieś na świecie istnieją spory, są wojny, panuje głód. Był to taki obraz, jak gdyby jakiś dobry bóg potraktował na serio propagandę wszystkich rządów i ukształtował świat zgodnie z ich proklamacjami. Krótko mówiąc, był to wielki festiwal propagandy. W umyśle krytycznego obserwatora musiało zatem zrodzić się pytanie: jaki to ma sens? Czy rzeczywiście warto wydawać tak ogromne pieniądze po to, aby każde, najmniejsze nawet, najbardziej zacofane i rządzone najbardziej dyktatorskimi metodami państwo mogło zademonstrować dobre samopoczucie swojego rządu? Cóż to za „wystawa światowa”, w której pominięto milczeniem wszystkie najistotniejsze światowe problemy?

Od tego czasu organizatorzy wystaw światowych zmądrzeli. Osaka nie była już tak dosłowna, jak Bruksela, ani tak głupia. Nie uprawiano już tam tak obcesowej propagandy. Hasło wystawy: „Postęp i harmonia ludzkości” umożliwiło bardziej przemyślane potraktowanie sprawy. Poszczególne pawilony ukazywały, co osiągnięto na drodze postępu i jakie są zamierzenia na przyszłość. Chociaż zatem ogólny ton wystawy był podobny do poprzednich, jednak takie ujęcie sprawy pozwalało projektantom, aby byli nieco mniej dosłowni i bardziej popuścili cugli fantazji. Prawdziwych, światowych problemów oczywiście nadal na wystawie nie

było, a jedynym wyjątkiem, bardzo zresztą oględnie potraktowanym, była sprawa głodu, zaznaczona w pawilonach organizacji afiliowanych przez ONZ. W pawilonie Stanów Zjednoczonych były kamienie przywieszzone z Księżyca, ale nie było wojny wietnamskiej ani problemów wewnętrznych tego kraju. W pawilonie Portugalii nie było faszyzmu ani morderczej wojny kolonialnej w Angoli. Nie trzeba nawet tłumaczyć, czego nie było w pawilonie Grecji. Nie była to zatem rzetelna wystawa światowa, albowiem prawdziwa wystawa powinna na przykład ukazywać fragment świeżo zbombardowanego miasteczka wietnamskiego, kilku zamordowanych ostatnio Indian brazylijskich, jakiś najnowszy model obozu koncentracyjnego, kilka skonfiskowanych przez cenzurę książek, może trochę pni zniszczonego przez fabryki lasu. Tego wszystkiego w Osace nie było.

Była natomiast przyszłość, przedstawiona jako zbiór wspaniałych rozwiązań technicznych, oczywiście bez wnikania w problemy społeczne czy filozoficzne. Z tego, co pokazano, można było niezawodnie wywnioskować, że w przyszłym świecie nadal będzie się rozwijać technologia, i to w tempie dotąd nie znanym. Trudniej było natomiast dojść do jasnego wniosku, jak będą się rozwijać problemy społeczne, czy nadal trwać będzie wyścig zbrojeń i jaką przyszłość ma braterstwo wśród ludzi. Projektanci poszczególnych pawilonów unikali jednoznacznej odpowiedzi na te pytania. Postęp był więc pojmowany na wystawie wyłącznie jako naukowy i technologiczny. Natomiast harmonia... Harmonią zajmowano się mało. Próbowaly nieśmiało poruszyć ten temat pawilony ONZ, a także niektóre pawilony wielkich, międzynarodowych koncernów przemysłowych usiłujących udowodnić, że służą całej ludzkości. Argumentacja tych ostatnich była wszakże osłabiona fak-

tem, że czynią to za pieniądze i gwoli zysku, czego naturalnie nie pokazywały w pawilonach.

Najwięcej harmonii, jak zwykle w takich przypadkach, można było znaleźć w Muzeum Sztuk Pięknych, gdzie zgromadzono najznakomitsze przykłady dzieł sztuki z całego świata, pomysłowo zestawione w taki sposób, aby ukazać podobieństwa tematyczne występujące w sztuce różnych kultur, bez względu na rasę, historię, położenie geograficzne i formację kulturalną. Było to naprawdę bardzo ciekawe. Innym ciekawym zjawiskiem był pawilon chrześcijański. W Brukseli był pawilon państwa kościelnego — Watykanu. Uzyskał wtedy rozgłos swym zdecydowanie politycznym i propagandowym charakterem. W Osace zrezygnowano z powtarzania niedobrego doświadczenia i stworzono pawilon wszystkich wyznań chrześcijańskich. Ponieważ jednak trudno było uzgodnić jego treść, powstał bardzo piękny pawilon tworzący chwilę wytchnienia wśród panującego na wystawie elektroniczno-komputerowo-futurystycznego chaosu. Był zupełnie pusty, przyozdobiony jedynie cudownymi gobelinami wypożyczonymi z muzeów watykańskich. Było w nim także dużo dobrej muzyki — nie z elektronowych generatorów, jak gdzie indziej, lecz z genialnej głowy Jana Sebastiana.

Cała reszta wystawy ginęła w elektronicznym chaosie. Od piętnastego marca do piętnastego września 1970 roku, w dni powszednie, niedziele i święta trwał w Osace największy jarmark, cyrk i festiwal czasów nowożytnych. Ogólny koszt: 2,8 miliarda dolarów, z czego dwa miliardy wpłacone przez japońskich podatników. Podczas debaty w parlamencie japońskim jeden z deputowanych komunistycznych zwrócił uwagę, że za tę sumę można by zbudować 550 tysięcy mieszkań.

Trzysta trzydzieści hektarów ziemi zabudowanej najdziwniejszymi, najbardziej wymyślnymi i supernowo-

czesnymi strukturami. Specjalnie wybudowana sieć autostrad i parkingi na 25 tysięcy samochodów. Największy przezroczysty dach na świecie o powierzchni trzydziestu tysięcy metrów kwadratowych. Szesnaście tysięcy pełniących służbę policjantów, tysiąc prywatnych detektywów, 231 restauracji mogących jednocześnie podać 235 tysięcy posiłków. Codziennie nie mniej niż 200 tysięcy zwiedzających, a w dniach rekordowych — pół miliona.

Siedemdziesiąt sześć pawilonów narodowych, do tego następne trzydzieści dwa należące do rządu japońskiego lub poszczególnych koncernów przemysłowych — Japonii, Stanów Zjednoczonych albo zachodnioeuropejskich. Najwyższy pawilon — radziecki, liczący około 120 metrów wysokości. Najgłębszy — amerykański, sięgający przeszło pięć pięter w głąb ziemi.

Okrężna kolej jednoszynowa, najświeższy krzyk techniki, długości około dwudziestu kilometrów. Poruszające się kryte chodniki, wybiegające z centralnego pawilonu w cztery strony wystawy. Koleje linowe na wysokich słupach. Elektryczne autobusiki i taksówki.

„Największe widowisko świata” — tak brzmiały slogany reklamowe. I to była z pewnością prawda. Długie, wielomiesięczne widowisko, którego czas był odmierzany najbardziej niezwykłym czasomierzem: atomowym zegarem o dokładności równej jednej sekundzie na tysiąc lat, wysyłającym sygnały radiowe do stu dziesięciu podporządkowanych mu zegarów rozmieszczonych na całym terenie wystawy. Atomowy czas, nowego atomowego świata. Świata, w którym wszystkie kraje rozkwitają, gdzie wszystko idzie ku lepszemu, gdzie troską wszystkich rządów jest pomyślność obywateli, a troską wszystkich obywateli jest harmonijny rozwój ich państw.

Tyle informacji o wystawie w Osace powinno właściwie wystarczyć. Nie warto by się chyba więcej nią zajmować, zwłaszcza że już ją stokrotnie opisano, gdyby nie Japonia, Japończycy i pawilony japońskie. Wkraczamy tutaj na teren „Komputopii” i tu właśnie wyjaśniony zostanie tytuł tego „Zdziwienia”. Ponieważ jednak „Komputopia” to kraina powszechnej, elektronicznej i komputerowej symulacji, gdzie to, co udane, wygląda całkiem jak prawdziwe, zaś to, co prawdziwe, wygląda całkiem nierealnie, aby osiągnąć właściwy skutek, trzeba posłużyć się techniką synchronizacji obrazu z dźwiękiem i komentarzem, jak w filmie dokumentalnym. Rozbijamy zatem opis na poszczególne człony, które będziemy usilnie starali się zsynchronizować.

**OBRAZ** Plac przed zbudowanym w kształcie latającego talerza pawilonem firmy „Hitachi” (firma „Hitachi”: setki produktów od elektrycznych wiatraków na biurko po turbiny dla elektrowni i komputery). Długa kolejka do ruchomych schodów unoszących ludzi na wielką wysokość i wsuwających ich do wnętrza pawilonu.

**DŹWIĘK** Gwar, który cichnie podczas nabierania wysokości na eskalatorze. Im však wyżej, tym potężniejsza muzyka elektronowa symulująca chóry anielskie, nieziemskie dźwięki spotykane tylko w sferach niebieskich. Uduchowiony, ale i zdenerwowany, jak trzeba, głos komunikuje, jakim to niepowtarzalnym przeżyciem jest jazda ruchomymi schodami takiej długości i wysokości. Muzyka osiąga poziom ekscytacji dawniej przewidywany na okazję wniebowstąpienia za życia.

**KOMENTARZ** W rozdawanym przy wejściu prospekcie wyjaśnione zostało, że ruchome schody „Hitachi” są realizacją odwiecznego snu ludzkości o unosze-

niu się w przestworzach (zupełnie jakby już od dawna nie było samolotów). Osobiście nigdy nie śniłem o jeździe ruchomymi schodami, jednak z min otaczających mnie ludzi wnioskuję, że było to ich głównym, a dotąd nie ziszczonym marzeniem.

**OBRAZ** Wielka, okrągła kabina wewnątrz tegoż pawilonu, mieszcząca stu ludzi. Kabina jest windą przyspieszającą w taki sposób, że wszystkim uginają się kolana, a później hamująca, że żołądki uciekają pod grdykę. Nie wiadomo, jakiej winda jest barwy, bo mały komputer zmienia wciąż oświetlenie, to zalewając wnętrze falami przedziwnego światła, fiołkowymi, zielonkawymi, koloru ochry, lazuru, łososia lub proszku „Ixi”, to znów wygaszając światło lub je potęgując. Trwa to dość długo.

**DŹWIĘK** Piękne dziewczęta objaśniają dźwięcznymi głosami, że jazda windą jest niepowtarzalnym przeżyciem osiągniętym dzięki zastosowaniu przodujących, elektronicznych metod symulacji będących wynikiem niestrudzonej pracy setek uczonych i inżynierów w laboratoriach „Hitachi”.

**KOMENTARZ** Jedyny w windzie Europejczyk nie dowiadyuje się, niestety, na czym polega genialność urządzenia, natomiast dziewięćdziesięciu dziewięciu znajdujących się tam Japończyków nie zadaje głupich pytań. Na koniec okazuje się, że jazda była złudzeniem, albowiem pawilon „Hitachi” ma tylko dwa piętra i przebyliśmy zaledwie kilka metrów w górę.

**OBRAZ** Wąski, ruchomy chodnik wiezie ludzi przez środek piekła. Wokoło biją potworne fale, widać walące się domy na nabrzeżu i wyrzucane na brzeg okręty. Rozszalała woda miesza się z powietrzem, które dosta-

ło ataku furii, a jadący środkiem ludzie dziwią się, że chodnik jest wciąż suchy. Za chwilę wszystko się zmienia, przejeżdżamy przez krater wybuchającego wulkanu. Wokół goreje ogień, wytryskują gejzery lawy, lava i sadze płyną we wszystkie strony, otaczają nas. Wylatują w powietrze rozpalone kamienie, sypie się popiół.

**DŹWIĘK** Wycie, trzask, huk, syczenie.

**KOMENTARZ** W pawilonie koncernu „Mitsubishi” doskonała technika osiąga taką pełnię symulacji, że zwiedzający zdumiewa się, iż podczas ataku tajfunu nie moknie i nie marznie, podczas wybuchu wulkanu nie przypieka go ogień. Wszystko to miało nam uzmysłować, w jakim to kraju żyją Japończycy, z czym muszą się borykać. Złudzenie było tak realne, że przestrzegano ludzi o słabym zdrowiu przed groźącym im niebezpieczeństwem. W innych pawilonach inne chodniki wiozły widzów w głąb oceanów lub w przestrzeń kosmiczną. Odbywały się pozorowane wycieczki samolotem nad Japonią. I znów osiągnano pełnię złudzenia, kiedy za szybami kabiny o wygodnych fotelach migały bajkowe krajobrazy, góra Fudzi, północna wyspa Hokkaido, plaże południowej Japonii, przemysłowe krajobrazy okolic Tokio, Jokohamy, Osaki, flotylle rybackie na Pacyfiku. Pozorowany lot odbywał się bardzo nisko i zapierało dech w piersiach, gdy samolot ocierał się o kominy fabryczne lub spiczaste dachy starych pałaców w Kioto.

**OBRAZ** Zupełny chaos elektroniczny. Tysiące zapalających się i gasnących świateł, jakieś wędrujące linie, pola barw, dziesiątki zsynchronizowanych ekranów kinowych i setki telewizyjnych. Zarysy miast przyszłości umieszczonych w powietrzu, głęboko pod oceanem albo na słupach w morzu. Pojazdy kosmiczne,

wyprawy w głąb ziemi, modele „pociągów linearnych” o szybkości 500 kilometrów na godzinę.

Wszędzie komputery: tworzą barwne kompozycje na ogromnych płaszczyznach, grają z widzami w inteligencję, komponują utwory muzyczne na podane tematy i w wybranym przez widza stylu, odpowiadają na wszelkie pytania. Migotanie, falowanie, błyski. Pośrodku tego elektronicznego cyrku — ośmiopiętrowa rufa tankowca o wyporności 300 tysięcy ton. Japonia dnia dzisiejszego i Japonia jutra.

Komputery projektujące w ułamku sekundy strój kobiety złożony z podanych przez kobietę elementów, łączący nieraz w sobie różne epoki historyczne. Maszyny reagujące na ludzki głos i wykonujące na rozkaz różne skomplikowane czynności. Pokazy telewizji laserowej i wideotelefonu. Kamery rejestrujące sylwetkę widza i rzucające ją w ogromnym powiększeniu na ścianę sali. Gigantyczny cyrk, ogród technicznych osobliwości, wielki kapeluszyk prestidigitatora, spod którego wyciągano najdziwniejsze efekty i urządzenia, jakie staną się powszechne dopiero za kilka czy kilkanaście lat. Prater, Tivoli, Disneyland.

**DŹWIĘK** Muzyczny odpowiednik tego, co się dzieje wokół. Elektroniczne wizgi, grzmoty i zawodzenia. Nieartykułowane krzyki ludzkie, przetwarzane przez echo pienia.

**KOMENTARZ** Głównym japońskim celem tych igrzysk było ukazanie własnemu narodowi przeogromnych możliwości japońskiej techniki i nauki, wzbudzenie dumy, leczenie zastarzałych kompleksów, a także pokazanie w namacalny sposób całemu światu, czym stała się Japonia i czym będzie w przyszłości. EXPO-70 miała więc spełnić podobne zadanie, jak swego czasu olimpiada w Tokio, jak zimowa olimpiada w Sapporo, jak dziesiątki kongresów i zjazdów, które Japończycy

tak chętnie u siebie organizują. Wiadomo przecież zawsze, że jeśli jakiś zjazd międzynarodowy nie może znaleźć gospodarza, to na pewno zostanie przyjęty z otwartymi ramionami przez Japończyków. Japonia nie zamyka się barierą odległości czy utrudnień wizowych. Japonia chce się pokazać. Chce wzbudzić dumę wśród swych obywateli, szacunek wśród obcych.

A oto cichutka refleksja na boku. Zadziwiająca, jak najnowsze osiągnięcia nauki i techniki, jeśli nie traktowane w miarę i z dystansem, mogą się przemienić w bełkot. Najnowszy, nieznanym dotąd rodzaj bełkotu, „made in Japan” — elektroniczny. Napuszone niby-głęboko mające świadczyć, że te tysięczne zabawki są rzekomo podporządkowane jakiejś filozofii. Przy wejściu do japońskich pawilonów pyszni się motto: „Teraz odpowiedz — udziel odpowiedzi dniu jutrzejszemu — pytanie zostało ci postawione — odpowiedz na nie własnymi słowami”. To bardzo głębokie, niezmiernie pobudzające do myślenia, niestety... całkiem pozbawione sensu. Obok elektronicznej symulacji rzeczywistości, komputerowa symulacja myśli.

Bo kto się mnie tutaj o cokolwiek pyta?

A przecież...

**OBRAZ** Łagodnie oświetlone wnętrze małego domu na prowincji. Siedzimy na poduszkach ze skrzyżowanymi nogami, wokół niskiego stołu. Jest wieczór, a dom tchnie japońskim spokojem. Wiele pięknie wyprawionego drzewa, opalizujący papier zamiast szyb, poczucie intymności i odseparowania od świata. Otwarte drzwi na werandę ukazują obraz ogrodu pogrążonego w mroku. Blask światła elektrycznego padającego z wnętrza domu wydobywa z ciemności połyskujące wilgocią liście jakichś krzewów i perliste iskrzenie kropel wody

z fontanny. Pod ścianą, w oszklonej szafce, zwykły w japońskich domach zbiór lalek w strojach historycznych.

**DŹWIĘKU** nie będzie, lecz będzie **KOMENTARZ**. W długiej, wieczornej rozmowie z gospodarzem, po kolacji, złożonej z przeróżnych morskich smakołyków, popijanej łagodną wódką „sake” i piwem, dowiaduję się dziwnych rzeczy. Gospodarz jest emerytowanym nauczycielem, działaczem związku i licznych organizacji społecznych, cichym, zamyślonym, bardzo wykształconym człowiekiem. Zapraszając nas do swego domu na noc, co jest przywilejem rzadko udzielanym cudzoziemcom przez Japończyków, ułożył poemat, który odczytał na powitanie. Teraz opowiadał o synu i o stosunkach panujących w rodzinie.

Syn jest studentem i mieszka o sześćset kilometrów od rodzinnego domu. Między nimi oboma, synem i ojcem, istnieje zupełna rozbieżność poglądów, właściwie nie zgadzają się w niczym. Różnią się spojrzeniem na świat, na życie, cywilizację, przyszłość Japonii. Ponieważ widują się rzadko, przeto dyskutują korespondencyjnie. Gospodarz wyjmuje teczki, w których przechowuje posegregowane listy od syna. Student wyklada w nich swe poglądy, zarówno na tematy polityczne, jak i sprawy religii, rodziny, seksu, pracy, kapitalizmu, socjalizmu i historii. Wyklada swój sposób myślenia, polemizuje z ojcem, klóci się z nim i stara przekonać. Nauczyciel dostał już ponad dwieście takich listów i tyleż razy sam odpisał. Dialog z synem to odwieczna japońska tradycja. Tym razem jest to dialog na odległość, ale żaden z nich nie rezygnuje z przekonania drugiego, a jeśli już nie przekonania, to przynajmniej z lepszego wzajemnego zrozumienia. Japonia... Nie wiem, czy coś podobnego zdarza się w Europie czy Ameryce.

A później gospodarz powiedział nam coś nie mniej zdumiewającego. Opowiadał o swej podróży do Europy. Zwiedzał Włochy, Francję i Holandię. Paryż i Rzym nie podobały mu się, są za mało nowoczesne. Byłem poruszony. Jakże to? Dwa najwspanialsze miasta, jakie zbudowała ludzkość, nieskończenie piękne właśnie przez tradycję! Widząc moje zdziwienie, gospodarz wyjaśnił uprzejmie:

— Ależ nie, nie miałem na myśli zabytków. One są z pewnością wspaniałe, ale nie zajmowałem się nimi, nie miałem na to czasu. Myślę tylko, że można by coś zrobić, żeby ludzie żyli tam lepiej i bardziej nowoczesnie. Rzym i Paryż są okropnie przestarzałe.

W nocy, leżąc na pościeli z mat, przypomniałem sobie widzianą w dzieciństwie operę „Madame Butterfly”. Bohaterka z utęsknieniem spogląda na morze, oczekując, aż na horyzoncie ukaże się okręt z jej Pinkertonem, który popłynął w daleki, wielki świat. Dziś Pinkerton mieszka w niezbyt nowoczesnym otoczeniu, a gdy przyjedzie do Japonii, ze zdziwieniem przygląda się pani Butterfly, nie poznaje jej i trudno mu za nią nadażyć.

### III

Sceneria: gabinet wielkiego biznesmena w Tokio. Drewniane boazerie, meble świecące jak lustro, łagodnie szumiąca klimatyzacja, elektryczne wiatraki, kolorowe i o płynowych kształtach, olbrzymie zapalniczki gazowe o najbardziej fantastycznych formach, aparaty dyspeczerskie, monitory telewizyjne. O, nie, to wszystko nie jest niczym wyjątkowym, można powiedzieć, że jest to standartowe wnętrze biurowe. Takie same gabinety widziałem wiele razy, w firmach olbrzymich,

takich jak Japan Steel, Nichimen, Mitsui, ale również i w mniejszych.

Japońskie gabinety i gmachy biurowe w małym tylko stopniu odzwierciedlają rzeczywiste rozmiary przedsiębiorstwa. Małe firmy zadowolają się oczywiście skromniejszymi pomieszczeniami, ale jeśli tylko firma uzyska jakie takie powodzenie, natychmiast funduje sobie oślepiający gmach z pełną elektroniką w środku. Tego wymaga reklama. Rozrzutność? Nie ulega wątpliwości. Gdziekolwiek spojrzeć, w Tokio wszędzie wyrastają nowe siedziby biznesu. Od czasu, kiedy zastosowawszy komputery zdołano dokładnie wyliczyć wytrzymałość nowych elastycznych konstrukcji stalowych, buduje się wieżowce odporne na trzęsienie ziemi. Najwyższy budynek w Tokio liczy dziś 47 pięter. Statystyki wykazują, że japoński przemysł budowlany ma najwyższe tempo wzrostu na świecie.

Czyżby zatem ta roztaczająca się w Tokio, w Jokohamie, w Osace, w Kobe i innych miastach rewia aluminium i próżności, stali i dobrego samopoczucia, szkła i wyzywającego nuworyszostwa świadczyła, że dzisiejsza Japonia zatraciła swe tradycyjne cechy umiaru, skromności, oszczędzania? Chyba tak. Umiar znaleźć można tylko w prywatnych domach Japończyków. Jeśli chodzi o skromność, to przybysze z Europy są często zaskakiwani czymś wręcz przeciwnym. A oszczędność? W wielkich koncernach, fabrykach, firmach handlowych można spotkać wszystko, tylko nie oszczędność. Amerykańscy i europejscy ekonomiści są zdumieni tym, co się dzieje w japońskim przemyśle: usuwaniem maszyn, które jeszcze nie zdążyły się zamortyzować i po kilku zaledwie latach są zastępowane przez inne, nowocześniejsze; burzeniem hal fabrycznych, które postawiono na początku lat sześćdziesiątych i wznoszeniem nowych, lepszych, ale i bardziej ekstrawagan-

ckich; wyburzaniem pieców hutniczych, które w Europie pracowałyby jeszcze przez wiele lat.

Zachodniemiecki tygodnik „Die Zeit” tak pisał w roku 1970: „W Europie i USA mówi się czasami z ubolewaniem o «dobrych, starych zakładach, które będą mogły przetrwać jeszcze pięć lat». Gdyby ktoś odważył się zaproponować przekazanie na złom nierentownych zakładów, natychmiast określi się to jako «niszczenie kapitału»”.

„Twórcza destrukcja» — tak mówią z euforią Japończycy. Z radością zniszczyli oni prawie cały aparat produkcji stali, jaki w ciężkim znoju i z wyrzeczeniami zbudowali w latach pięćdziesiątych. W rezultacie dysponują najbardziej nowoczesnymi i racjonalnymi stalowniami świata. Podobnie dzieje się w przemyśle samochodowym, w zakładach elektronicznych, w stoczniach i w gigantach petrochemii”.

„Tworzy się nie zważając na długi. Kiedy brakuje pieniędzy, drukujemy je — powiadają Japończycy i zwiększają obieg pieniędzy o 17 procent rocznie”.

Nigdzie w przemyśle japońskim nie można zauważyć tendencji do oszczędzania. Niezmiernie to trudno zrozumieć. Nie chcę być posądzony o to, że uległem zawrotowi głowy albo że wyciągam zbyt pochopne wnioski. Powołam się zatem na bardzo poważny autorytet. Francuski dziennikarz Robert Guillain spędził w Japonii ponad trzydzieści lat jako korespondent wielu gazet, ostatnio dziennika „Monde”. Jego książka pt. „Japonia — trzecia potęga” uważana jest powszechnie za najlepszą książkę publicystyczną o Japonii, jaka ukazała się po wojnie. Guillain pisze:

„Często widuje się, że spółka przemysłowa kupuje nowy materiał, chociaż jej obecny, całkiem jeszcze nowy, dotąd się nie zamortyzował. Chce ona przede wszystkim pozostać w czołowym peletonie krajowej

lub międzynarodowej konkurencji. To przeinwestowanie jest cechą, która stale uderza zachodnich obserwatorów. Jeden z nich mówił na przykład o »kamikaze« z japońskich stalowni. Inny podkreślał »frenezję inwestycji« i napisał: »Wielkie przedsiębiorstwa ustalają programy inwestycji bez względu na realne możliwości rynku. Nie istnieje tam rzeczywisty rachunek ekonomiczny ani jeśli chodzi o koszt inwestycji, ani o koszt produkcji, ani o chłonność rynku»”.

Guillain pisze, że taka polityka prowadzi do kolosalnego zadłużenia przedsiębiorstw w bankach, co zmusza do maksymalnego rozszerzenia produkcji, co z kolei prowadzi do nowych inwestycji — i tak dalej. Użył on nawet określenia: „ekonomia na rowerze”, co oznacza, że posuwa się ona szybko do przodu i w ten sposób utrzymuje równowagę. Gdyby jednak przyszło ją zatrzymać, wówczas musiałaby się wywrócić. Istnieje wszakże tłumaczenie takiego postępowania. Otóż, zostało udowodnione, że jeśli wyroby firmy są zaliczane do czołówki światowej, jeśli uważa się, że chociaż w pewnym stopniu przekraczają standart, wtedy ich cena jest z reguły wyższa o 20—30 procent od średnich cen światowych. I odwrotnie, jeśli towar jest klasyfikowany choćby tylko trochę poniżej standardu światowego, cena, jaką można zań osiągnąć, natychmiast spada o 20—30 procent. Jest to zjawisko dobrze znane pracownikom naszego handlu zagranicznego, którzy mają często trudności z uzyskaniem średniej ceny za wyroby niewiele tylko ustępujące światowym wymaganiom. Może to także tłumaczyć, czemu Japończycy starają się za wszelką cenę wyprzedzić standard światowy.

Kiedy się patrzy na siedziby wielkich firm japońskich, gdzie wpakowano miliony dolarów, instalując tysiące urządzeń, bez których na pewno można się było obejść, zaczyna to wyglądać prawdopodobnie. Te foto-

komórki, które nie tylko otwierają drzwi, ale zastępują również przyciski w windzie (wystarczy zbliżyć rękę do odpowiedniej tabliczki, by przywołać windę, której drzwi same otworzą się i zamkną; potem trzeba wyciągnąć rękę w kierunku innej tabliczki, a winda pojedzie na właściwe piętro), ta klimatyzacja, te dźwigi opuszczające samochody do podziemi, te kolorowe telewizory w poczekalniach dla klientów...

W latach sześćdziesiątych Japonia przeznaczała na inwestycje do 34 procent swego dochodu narodowego. Dziś przeznacza nieco mniej. Przekracza to jednak wszystko, cokolwiek widziano dotąd na świecie. Wiąże się jednak z tym dość dziwne zjawisko, które zdumiewa ekonomistów. Rozpatrzmy je na przykładzie wyścigu gospodarczego między Japonią a NRF.

W latach 1952—1968 NRF przeznaczyła na inwestycje 281 miliardów dolarów, natomiast Japonia 243 miliardy, a więc Niemcy zainwestowali, jak widać, więcej. A przecież... Jeszcze w roku 1960 produkt społeczny brutto był w NRF o około 70 procent większy niż w Japonii (NRF — 74,2 miliarda dolarów, Japonia — 42,5 miliarda dolarów). W tymże roku, licząc na głowę mieszkańca, NRF produkowała o 50 procent więcej stali niż Japonia, jedenaście razy więcej samochodów osobowych, 30 procent więcej tworzyw sztucznych, 30 procent więcej aluminium, zaś eksport NRF był dwa i pół raza większy niż eksport Japonii. Tymczasem już w roku 1968 Japonia prześcignęła NRF w wielkości dochodu narodowego i wygrała również wyścig we wszystkich podstawowych dziedzinach. Japonia zajęła trzecie miejsce w świecie, a NRF została zepchnięta na czwarte. Odtąd Japonia coraz szybciej pozostawia z tyłu swego konkurenta. Oblicza się, że w roku 1975 łączna produkcja japońska będzie trzykrotnie większa od zachodniemieckiej. „Die Zeit” we wspomnianym już

artykule Hakana Hedberga (którego twierdzenia pokrywają się z obliczeniami innych autorytetów) pisała:

„— W ciągu dziesięciu, a najdalej za dwadzieścia lat pobijemy Republikę Federalną w zakresie łącznej produkcji — oświadczył jesienią 1960 roku profesor Osamu Shimomura w rozmowie z zaprzyjaźnionymi ekonomistami. Przyjaciele z niedowierzaniem potrząsali głowami. Problemy wydawały im się zbyt wielkie, brakło wówczas w Japonii m. in. około miliona wykwalifikowanych robotników. (...) Wyznaczony cel został osiągnięty już w roku 1968, a w istotnych dziedzinach już po pięciu latach. Jeszcze nigdy przedtem nie udało się tak szybko doścignąć i prześcignąć przemysłowego mocarstwa typu Republiki Federalnej. To, co się stało, powinno zainteresować nie tylko historyka rozwoju gospodarczego; w tym rozwoju można znaleźć również wskazówki tego, jak szybko Japonia może doścignąć Związek Radziecki i Stany Zjednoczone”.

Tymczasem wiemy już, że Japończycy zainwestowali mniej niż NRF. Jak więc było możliwe, że przy mniejszych nakładach Japończycy osiągnęli o tyle lepsze wyniki? Sprawia to takie wrażenie, jak gdyby biegacz angażując znacznie mniej energii i wysiłku przyspieszył nagle i zostawił z tyłu swego konkurenta, jakby ten ostatni zatrzymał się w miejscu. Aby to, choć w pewnym stopniu, wyjaśnić, dokonano następującego obliczenia.

Stal: — Francja potrzebowała 10 lat, aby podnieść produkcję z 15 do 20 milionów ton rocznie, Japonia dokonała tego w ciągu jednego roku. NRF zwiększyła produkcję z 29 milionów do 41 milionów ton w ciągu dziesięciu lat — Japonia w ciągu trzech i pół. ZSRR poświęcił 5 lat, by dokonać skoku z 60 do 80 milionów ton, Japonia zaś trzy lata. W roku 1970 Japonia wyprodukowała już 93 miliony ton stali, w roku 1971

miała przekroczyć sto milionów ton i zbliżyć się już bardzo do poziomu ZSRR.

Samochody: — Anglia potrzebowała trzynastu lat, by zwiększyć produkcję samochodów osobowych z 200 tysięcy sztuk do miliona rocznie, NRF dziewięciu lat, zaś Japonia sześciu. Już w roku 1969 Japonia wyprodukowała 4,7 miliona samochodów i wyszła zdecydowanie na drugie miejsce w świecie, przed NRF, która w tym samym roku wyprodukowała 3,6 miliona sztuk.

Już w roku 1969 Japonia zajmowała pierwsze miejsce w świecie w produkcji statków i telewizorów.

Jak to więc było z tymi inwestycjami? Wielki przełom nastąpił w roku 1967. W tym roku globalna produkcja NRF wciąż jeszcze była większa niż japońska. Ale inwestycje zachodnioniemieckie zmniejszyły się w tym roku o 10 procent i wyniosły 27,4 miliarda dolarów, natomiast japońskie wzrosły z 30,6 do 38 miliardów. W następnym roku japońskie inwestycje wzrosły o dalsze 25 procent, podobnie i w latach 1969—70. Dziś rozpiętość między sumami inwestowanymi przez NRF i Japonię nadal rośnie i jest już tak wielka, że NRF nie może nawet myśleć o nawiązaniu walki.

Nastąpił olbrzymi wybuch japońskiej gospodarki, słynna japońska „eksplozja technologiczna”. Oblicza się, że około roku 1980 produkcja Japonii równa będzie łącznej produkcji całego Wspólnego Rynku (w jego składzie z 1971 roku), zaś najpóźniej około roku 1985 Japonia osiągnie drugie miejsce w świecie.

Słynny amerykański futurolog, a zarazem teoretyk wojny atomowej, fizyk i matematyk Herman Kahn, nie jest człowiekiem, którego można by darzyć szczególną sympatią. Ale nie o sympatie tutaj chodzi. Kahn będąc zwolennikiem światowej supremacji Stanów Zjednoczonych, widzi jasno wyzwanie wyrastające na wyspach japońskich i poświęca mu wiele uwagi. Jako dyrektor

Hudson Institute w Nowym Jorku ma on dostęp do najlepszych informacji, warto więc posłuchać, co ma na ten temat do powiedzenia. W wywiadzie ogłoszonym w piśmie „US News and World Report” mówił:

„Japończycy mogą z łatwością utrzymać w ciągu lat siedemdziesiątych stopę wzrostu na poziomie 10 procent rocznie, w latach osiemdziesiątych — 8 procent i ponad 6 procent w latach dziewięćdziesiątych. W ten sposób Japonia zrówna się ze Stanami Zjednoczonymi pod koniec wieku XX lub nawet wcześniej. Perspektywy te stają się coraz wyraźniejsze obecnie, w związku z dużymi nakładami Japończyków na prace badawczo-naukowe i z poszukiwaniem możliwości korzystania z siły roboczej za granicą w niekomunistycznych krajach Azji i Pacyfiku”.

Moja relacja o Japonii, fragment tej reporterskiej „Księgi zdziwień”, nie ma być wszechstronnym wykładem o istocie japońskiej gospodarki i tak zwanego „japońskiego cudu”. Nie ma ona zastąpić innych, bardziej podstawowych lektur na ten temat. Jeżeli pozwoliłem sobie przytoczyć te wszystkie obliczenia i horoskopy, to tylko po to, aby przypominając zasadnicze dane — uświadomić sobie, w jakim kręgu problemów się obracamy i z jakiego rzędu wielkościami mamy do czynienia.

Yasuyoshi Tokuma, od którego gabinetu zacząłem tę relację, nie jest wielkim potentatem. Daleko mu do takich ludzi, jak Shoichiro Honda, słynny konstruktor motocykli i samochodów, albo Masaru Ibuka, założyciel „Sony”. Ale jego „Tokuma Shoten Publishing Company” rozwija się szybko: wydaje książki i czasopisma, produkuje filmy, ma udziały w elektronice, hotele i farmy. Na nasze pojęcie jest bogaczem, w Japonii zaś najwyżej średnim przedsiębiorcą. Jednakże to właśnie on, w swoim niklowo-drewnianym gabinecie, uzmysł-

wił mi pewne prawdy dotyczące nowej mentalności Japończyków. Najpierw wysłuchałem długiego monologu o nowej dziedzinie, w jaką odważnie zapuściła się jego firma: wideo-kasety, wkładane w przystawkę do telewizora, pudełka zawierające gotowe programy telewizyjne. Działa to podobnie, jak rozpowszechnione już szeroko w Japonii magnetofony kasetowe. Przy pomocy wideo-kaset i odpowiednich urządzeń podłączonych do telewizora można samemu rejestrować filmy i widowiska, przedstawienia teatralne, mecze sportowe, jednym słowem wszystko, co jest nadawane przez stacje telewizyjne. Można również kupować gotowe, już zarejestrowane programy.

Yasuyoshi Tokuma zapowiedział mi, że w roku 1972 ruszy masowa produkcja przystawek i kaset. Mówił oczywiście o telewizji kolorowej, bo czarno-biała nie budzi już w Japonii zainteresowania, w Tokio można odbierać siedem całodziennych programów kolorowych i tyleż czarno-białych. Wynalazek ma oczywiście wielką wagę, będzie miał ogromne znaczenie oświatowe, zapoczątkuje też nowe formy kolekcjonerstwa: zbieranie sztuk, filmów czy słynnych meczów.

Postanowiłem trochę podyskutować i podrażnić mego rozmówcę. Powiedziałem:

— Wie pan, nie jestem pewny, czy ten biznes panu się uda. Ostatecznie, jak wiele może być ludzi, którzy chcą kolekcjonować program telewizyjny? Przecież sama przystawka będzie kosztować więcej niż telewizor. Ja bym na przykład tego nie kupił..

— Pan się zupełnie nie orientuje w sytuacji — odparł. — U nas kupią to wszyscy, a w każdym razie wszyscy będą tego chcieli. Kiedy produkcja będzie już dostatecznie wielka — cena zmaleje. Potem zaczniemy eksportować.

— Myślę — upierałem się — że w Europie trzeba by

dość długo poczekać, zanim rzecz się upowszechni. U nas ludzie decydują się na tak poważny wydatek dopiero wtedy, kiedy są naprawdę przekonani. Czasami bywa to nader trudne...

— Może pan być pewny — przeciął moje wydziwianie — że u nas jest inaczej. W Japonii każda nowość jest witana z entuzjazmem. Wszystko, co nowe, zostanie natychmiast kupione. Nowość jest argumentem rozstrzygającym, jej wartość nie jest nigdy podawana w wątpliwość. Nowe jest lepsze — i warto się o to starać.

Yasuyoshi Tokuma miał rację, chociaż może się to wydawać sprzeczne z istniejącym wciąż w Japonii, przejawiającym się nieraz bardzo mocno, zamiłowaniem do tradycji. Najbardziej fantastyczną rzeczą jest bowiem w tym kraju współzycie wielu starych form, obyczajów, zjawisk kulturalnych i społecznych — z supernowoczesnością. Kolorowej telewizji z tradycyjnym teatrem Kabuki, potoków samochodowych — z japońskimi ogrodami, niebywałej urbanizacji — z zaciszem japońskich wnętrz mieszkalnych. Tokuma miał rację, chociaż mogło to mnie drażnić i irytować. Dlatego Japonia przeżywa dziś taką inwazję sprzętu do słuchania i patrzenia, co normalnego przybyśza z Europy doprowadza chwilami do szaleństwa. Gdy któregoś wieczoru przekonałem się w Tokio, że nie mogę znaleźć choćby małej knajpki, gdzie fotokomórka nie otwierałaby drzwi, gdzie nie byłoby kolorowego telewizora, grającej szafy (oczywiście ze stereofonią), a także klimatyzacji, gdzie wreszcie nie byłoby tłoku — zatęskniłem do wieku dziewiętnastego.

Zacząły mi się marzyć europejskie lokale, ciche, pułstawe, bez żadnych urządzeń technicznych, z kotem wygrzewającym się pod progiem. Niechby nawet ktoś upił się i śpiewał, niechby z kuchni było słychać kłót-

nię. Ale nie, wszystkie napotkane tego wieczoru restauracje rozbrzmiewały muzyką najśłynniejszych światowych zespołów big-beatu, sławnych piosenkarzy lub znakomitą muzyką symfoniczną. Ale nawet to stawało się już męczące i marzyłem po prostu o ciszy.

Podczas zwiedzania hipernowoczesnego gmachu największej japońskiej kompanii radiowo-telewizyjnej „NHK” wspomniałem w pewnej chwili, że zwiedzałem też nowy gmach radia i telewizji francuskiej w Paryżu. Oprowadzający mnie dyrektor zdziwił się:

— Nowy? Ależ w Paryżu nie ma nowego gmachu radia i telewizji.

— Jakże nie ma! Przecież zwiedzałem!

— Pewnie widział pan gmach oddany do użytku w latach 1962—63?

— Tak jest.

— No, przecież on nie jest nowy! Tyle lat!

Na to już nic nie umiałem odpowiedzieć. Pomyślałem tylko, że być może oni startują do lotu w krainę zupełnie nam jeszcze nie znaną, w wiek dwudziesty pierwszy. Poczulem też lęk i nagły przyływ sceptycyzmu i niewiary. Do czego to zmierza i czy potrwa długo? Czy ten niezwykle eksperyment, obalający tak liczne spośród pewników uznawanych zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, nie skończy się kraczem? Czy nie jest to efemeryda, krótkotrwały sen o wielkim powodzeniu, po którym znowu pojawi się zwykła rzeczywistość?

Pomyślałem też, że bez względu na ostateczny wynik dobrze się stało, że to wielkie wyzwanie rzucił światu naród azjatycki, naród żółty, mieszkający na końcu naszego globu, jeśli glob może mieć koniec. Dobrze, ponieważ stanowi to przykład dla innych krajów borykających się z zacofaniem. Dobrze również i dlatego, że postępy Japonii ośmieszają rasizm, tę

hańbę dwudziestego wieku, ponurą skamielinę, która powinna zginąć już dawno, a tymczasem pleni się nadal, jakbyśmy wciąż żyli w czasach, gdy ludzie wierzyli w czarownice.

#### IV

„Dziwny to, a cudny kraj, ta Japonia! A jednak nowoczesny Japończyk za mało, mierząc naszą miarą, kocha jego naturę jako taką, i często też z powodu braku należytego uszanowania słuszne na siebie wywołuje oburzenie. To opanowanie kraju przez reklamę kupiecką jest tam wstrętne, barbarzyńskie. Między Jokohamą a Tokio na przykład wzdłuż całej linii kolejowej, wśród pól, widać ogłoszenia olbrzymimi literami na dziwacznych wiatrakach; reklama papierosów »Hero«, najnowszego wyrobu fabryki Murai, szpeci monstrualnymi napisami wzgórze otaczające port Nagasaki”.

„Nie tylko jednak reklama, ale także, a raczej jeszcze więcej, roboty publiczne zagrażają pięknościom ziemi japońskiej. W Kobe dla zwykłego wodnego kanału zepsuto wspaniałą wodospad Nunobiki. Spółce spekulantów udało się uzyskać pozwolenie na obrócenie biegu Minotogawy w celu sprzedaży przytykających do niej terenów. Pobudowano tam teraz domy handlowe i Kobe straciło swoje aleje okazałych drzew — jedyne miejsce przechadzek...”

„Dla miłośnika czystego egzotyizmu nie przedstawia już dzisiejsza Japonia, jak to było przed laty pięćdziesięciu, harmonijnego całokształtu — obraz zepsuty jest na zawsze. Ale dla kogoś, kto się interesuje przeobrażaniem społeczeństw, żaden kraj na świecie nie nastroczy może tyle, co ona, sposobności do czynienia ciekawych spostrzeżeń, bo nigdzie tylu, co tam, wśród

przekształcania się ogólnego, nie napotyka się kontrastów. Nic tam, nie wyłączając rzeczy świętych, nie uchroniło się od napływu nowoczesności”.

„Rozwój ekonomiczny Japonii od lat trzydziestu paru — to nadzwyczajne socjologiczne zjawisko... Czy nie podziwu godny jest widok jednego z najstarszych krajów na świecie, przeistaczającego nie tylko cały swój ustrój polityczny, ale całe swoje życie organiczne, przechodzącego z systemu produkcji jeszcze feudalnego do systemu kapitalistycznego i zaznaczającego już dążenie ku socjalizmowi?”

„Wstąpiła Japonia na drogę wielkiego przemysłu... W głębi zatoki Tokia zieją czarnym dymem wysokie kominy; na przedmieściach i w okolicy stolicy rozwinęły się najrozmaitsze gałęzie przemysłu... Szczytem ambicji nowej Japonii jest rozwój zewnętrznego handlu. Z 26 milionów yenów w roku 1868 wzrósł już w r. 1889 do 136 milionów, a w r. 1901 do 508 milionów. Stosunek więc wzrostu w trzydziestu trzech latach jak 1 : 16. Czy to nie zdumiewające?”

Właściwie mógłbym przytoczyć jeszcze serię podobnych cytatów — i skończyć na tym ten rozdział. Myśli i obserwacje zawarte w tym reportażu z roku 1904 są aktualne i dziś. To, co zdumiewało podróżników już wtedy, zdumiewa nas i dziś, choć dzisiaj może w jeszcze większym stopniu. Należałoby tylko dodać, że powyższe słowa napisał niejaki Z. Kłośnik i zawarte są w książce „Japonia” wydanej w roku 1904 nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. Czy to nie zdumiewające?

Tak właśnie zamierzałem postąpić, jednak w trakcie dalszych studiów sprawa bardzo się skomplikowała, a zarazem stała się bardzo śmieszna. Otóż Z. Kłośnik powołał się w kilku miejscach na dzieło francuskiego pisarza G. Weulersse pt. „Japon d'aujourd'hui”. Udało

mi się zdobyć tę książkę, ale nie po francusku. Została wydana... po polsku w tymże roku 1904, pt. „Współczesna Japonia”, nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie, w tłumaczeniu Jana Lorentowicza. Kiedy zacząłem ją czytać, ogarnął mnie niepowstrzymany śmiech. Książka Kłóśnika zaczyna się tak:

„Jedną z ogólnych cech japońskiego krajobrazu jest powikłanie linii... Co jednak nadaje japońskiemu krajobrazowi jedyną w swoim rodzaju, nigdzie może nie spotykaną oryginalność, to wypukłość”.

A oto początek książki G. Weulersse:

„Pokłębienie linii stanowi jedną z najogólniejszych cech krajobrazu japońskiego... Największą przecież oryginalnością pejzażu japońskiego jest jego wypukłość”.

Potem, już tylko dla zabawy, otwierałem francuską książkę w dowolnym miejscu, a następnie odnajdywałem stosowny fragment w książce Kłóśnika. U Weulersse'a zakończenie rozdziału o parlamencie: „Margrabia Ito nie mógłby już dziś powiedzieć, że parlament to dekoracja dla galerii”. U Kłóśnika zakończenie takiegoż rozdziału o parlamencie: „I dziś już margrabia Ito nie mógłby, jak przed laty, powiedzieć, że parlament jest tylko dla galeryi”.

I tak dalej, i tak dalej. Ciekawe, czy Z. Kłóśnik był przynajmniej kiedykolwiek w Japonii. Przypuszczalnie nigdy, bo chyba coś by od siebie dodał. Najzabawniejsze zaś jest to, że swoje przepisywanie Kłóśnik zadeedykował: „Pracę tę żonie mojej poświęcam”. No, i na zdrowie...

Wszelako Kłóśnik znał niezłe język francuski, bo, jak przypuszczam, przetłumaczył tę swoją „pracę” z francuskiego. Tymczasem przypominam sobie, że przed paru laty pewien nasz znany tygodnik ilustrowany zamieścił wielki reportaż z Japonii pióra mło-

dego, lecz obrotnego publicyście, który nie tylko nie był w Japonii, ale i nie znał dokładnie języka niemieckiego. Reportaż był dosłownie przepisany z zachodnioniemieckiego tygodnika „Der Stern”. Niemiecki autor wprowadził fikcyjną postać typowego Japończyka, którego nazwał „Herr Soundso” (pan Taki-a-taki). Nasz dzielny publicyście zrozumiał to dosłownie i napisał: „Pewien Japończyk, pan Soundso”...

A jednak, chociaż tak dobrze — i to od lat — radzimy sobie z obcym piśmiennictwem o Japonii, to jednak istnieje w Polsce wiele podstawowych nieporozumień i pomyłek dotyczących spraw japońskich.

Ileż to bajek i fantastycznych historii wciąż opowiada się u nas o Japonii! Niektóre z nich są w ogóle nieprawdziwe, inne pochodzą z dawnych czasów, z zupełnie różnej epoki. Są to rozmaite opowieści o japońskich zegarkach sprzedawanych na wagę, o perkalikach tak tanich, że prawie za darmo, o słabej jakości japońskiej masowej produkcji, wreszcie o tym, że ta produkcja jest przeznaczona przede wszystkim na eksport. I oto właśnie pierwsza pomyłka: — cel japońskiej produkcji. Pokutuje u nas przekonanie, że Japończycy zręcznie kopiują wzory czerpane z krajów bardziej rozwiniętych, po czym sprzedają swoje wyroby bijąc konkurentów ceną. Eksport jest przy tym ich głównym celem i racją istnienia. Nieraz też wyciągano z tego wnioszek, że trzeba — wzorem Japończyków — rozwijać produkcję eksportową, godząc się na rozmaite wyrzeczenia i zaciskając pasa.

Ale to wszystko jest nieporozumieniem, poczynając już od sprawy zegarków, albowiem firma „Seiko” cieszy się dziś doskonałą opinią na świecie. Po drugie, Japończycy konkurują obecnie z mocarstwami gospodarczymi nie tyle na polu perkalikowym i innych tanich, masowych a tandetnych wyrobów (choć jest praw-

dą, że nadal eksportują dużo towarów włókienniczych, zwłaszcza do USA, ale są to przede wszystkim włókna sztuczne) — ile w dziedzinach najbardziej zaawansowanych, o najtrudniejszej technologii. A więc, podstawą japońskiego eksportu są dzisiaj statki, samochody, komputery i wszelka aparatura elektroniczna, aparaty fotograficzne, telewizory, wytwory przemysłu precyzyjnego i chemicznego, wreszcie kompletne obiekty przemysłowe. W roku 1968 wyroby przemysłu maszynowego stanowiły 44 procent całości eksportu, stal i inne wyroby metalowe — 18 procent, zaś tekstylia — 15 procent.

Największy jednak skok przeżył przemysł elektroniczny, który ma też przed sobą największą chyba przyszłość. W tej dziedzinie Japonia zajmuje już drugą pozycję na świecie, za Stanami Zjednoczonymi, ale wyraźnie wyprzedzając NRF i Anglię. W ostatnich latach przemysł ten osiągnął roczny wzrost produkcji równy 24 procentom, a więc znacznie szybszy niż większość pozostałych dziedzin przemysłu. W roku 1967 produkcja Japonii w tej dziedzinie osiągnęła już wartość 4 miliardów dolarów, z czego wyeksportowano ponad miliard.

W roku 1970 w Japonii było czynnych 6 718 sztuk komputerów. Stany Zjednoczone dysponowały w tym czasie niebotyczną liczbą blisko 50 tysięcy czynnych komputerów, natomiast NRF zajmowała ex aequo z Japonią drugie miejsce na świecie.

Wszelako rozpowszechnione u nas nieporozumienie polega nie tylko na błędnej ocenie istoty japońskiego eksportu. Polega ona przede wszystkim na mniemaniu, że Japończycy pracują głównie na eksport. Tymczasem wcale tak nie jest. W stosunku do całości dochodu narodowego Japończycy eksportują mniej niż Kanada, NRF, Wielka Brytania, nawet Francja. Jeśli brać pod

uwagę stosunek eksportu do produktu narodowego, to Holandia eksportuje 32 procent całości, Kanada 23 procent, NRF 21 procent, Wielka Brytania 16 procent, Francja 14 procent, a Japonia 12 procent (dane z roku 1968).

Robert Guillain-tak pisze o tym we wspomnianej już książce „Japon troisieme grand”:

„Tak skutecznie urobiono Japonii opinię »wciskającego się wszędzie eksportera«, że wielu Francuzów jest wielce zdumionych, kiedy udowadnia się im, że Francja jest bardziej »wciskająca się« niż Japonia... To, co najbardziej dziś liczy się dla japońskich producentów — to nie handel zagraniczny, ale wysiłek podejmowany wewnątrz kraju, a mający na celu uczynienie go kwitującym, właśnie przez uprzemysłowienie i modernizację. Oczywiście przywóz i wywóz towarów stanowi system oddechowy kraju, bez którego musiałby się udusić. Ale popełnia błąd ten, kto — jak to się często zdarza — wierzy, iż handel zagraniczny jest podstawą pomysłowości Japonii... W rzeczywistości przemysłowcy Nipponu zarabiają pieniądze nie na zewnątrz, ale na rynku krajowym. Nie szukają zysków w eksporcie. Przede wszystkim oczekują od niego, aby dostarczał dewiz koniecznych, by zapłacić za import. Myli się definitywnie ten, kto sądzi, że handel zagraniczny jest motorem aktywności i potęgi ekonomicznej Japonii. W rzeczywistości jest przeciwnie. Motor znajduje się wewnątrz i można by powiedzieć, że handel zagraniczny jest epifenomenem rozwoju »japońskiej fabryki«”.

Prawdą jest natomiast, że japoński handel zagraniczny wykazuje najszybsze tempo wzrostu na świecie, ale tak samo jest z japońską produkcją.

A oto drugie błędne, lecz często spotykane twierdzenie — Japonia produkuje, lecz mało spożywa. Tak się u nas — i nie tylko u nas, lecz w ogóle w Europie —

uważa. Jednak już poprzedni wywód wskazuje, że to nieprawda. Od szeregu lat odbywa się w Japonii wybuchowy wzrost rynku wewnętrznego. Około 90 procent wciąż rosnącej produkcji japońskiej jest przeznaczona na zaspokojenie potrzeb własnych. W roku 1969 Japończycy wyprodukowali 4 675 tysięcy samochodów, z czego wyeksportowali 856 tysięcy. Pomyślmy: ponad 3 800 tysięcy samochodów zostało w tym roku sprzedanych w samej Japonii! Wiadomo, że dopiero za kilka lat, gdy rynek wewnętrzny zostanie zaspokojony (w roku 1970 było w Japonii 12,5 samochodu na 100 mieszkańców) — kraj stanie się być może największym eksporterem samochodów na świecie, ale do tego czasu produkcja będzie musiała znacznie się powiększyć.

Kilka razy miałem okazję rozmawiać na ten temat z japońskimi ekonomistami i biznesmenami. Gdy pytałem ich o produkcję eksportową, słyszałem za każdym razem uprzejme wyjaśnienie:

— Nie ma niczego takiego, jak produkcja eksportowa. Żeby coś wyeksportować, trzeba najpierw dowieść na rynku wewnętrznym, że produkt ma wysoką jakość i poprawić nieuniknione błędy. Eksport nie podlegający kontroli klientów w kraju nie wydaje nam się możliwy.

Wszystko to musiało dziwić przybysza z kraju, gdzie przez wiele lat wciąż mówiło się o pierwszeństwie produkcji eksportowej i gdzie uruchamiano całe fabryki przeznaczone wyłącznie dla produkcji na rynki zagraniczne.

Jest rzeczą jasną, że w niektórych dziedzinach stosunek wywozu do całości produkcji jest w Japonii inny, na przykład w dziedzinie aparatów fotograficznych. Wynika to stąd, że rynek krajowy jest już w zasadzie nasycony. Można się o tym codziennie przekonać na

ulicach miast, w parkach i w pobliżu świątyń. Tysiące ludzi celują, pstrykają, zmieniają filmy i obiektywy. Mój tłumacz miał ze sobą trzy kosztowne aparaty z całym zestawem obiektywów, ja miałem jeden, a przecież właśnie ja fotografowałem dla celów zawodowych. Sześćdziesiąt procent Japończyków ma własne aparaty fotograficzne.

Nie chciałbym przez to powiedzieć, że w Japonii przeciętna stopa życiowa jest już wysoka. Tak jeszcze nie jest. Obok olśniewających buildingów są — nawet w centrum Tokio — kompromitujące baraczki. Większość ulic miasta Jokohama sprawia takie wrażenie, jak gdyby to nie był największy port Japonii, lecz miasto prowizoryczne, zamieszkałe przez przesiedleńców. Nad Morzem Wewnętrznym, w zachodniej części kraju, są jeszcze okolice niemal nie dotknięte przez rewolucję przemysłową. W Japonii nie było dawniej kultu przedmiotów, zasobnych domów z marmurami, ciężkich, połyskujących mebli, kryształowych kandelabrow. Dopiero od kilku lat Japończycy zaczynają zdradzać wyraźne zamiłowanie do „rzeczy”, tych przynajmniej, które można pokazać, którymi łatwo się pochwalić. A więc, na przykład, ubranie. Przechodnie na ulicach miast japońskich są ubrani czyściej i lepiej niż przechodnie w Londynie czy Paryżu. Mężczyźni przykładają wielką wagę do tego, aby ich ubrania, koszule, krawaty wyglądały jak z igły, no, a kobiety traktują rzecz jak wszędzie na świecie, z tym tylko, że wciąż wiele z nich ubiera się w tradycyjne kimona. Jednakże kimono w dobrym gatunku kosztuje nie mniej niż samochód osobowy, a każdy Japończyk potrafi natychmiast odróżnić, czy to jest dobre kimono czy nie.

Następną rzeczą, która jak magnes przyciąga Japoń-

czyków, jest oczywiście samochód. Potem idą rozmaite przedmioty elektroniczno-tranzystorowe, dalej maszyny służące w gospodarstwie domowym.

Różnice w poziomie życiowym są — w zależności od miejsca, w którym Japończyk żyje i od rodzaju pracy, jaką wykonuje — olbrzymie. Wykwalifikowany robotnik o długim stażu pracujący w którymś z wielkich i słynnych koncernów elektronicznych może zarabiać pięć, a nawet dziesięć razy więcej, niż jego kolega produkujący detale do tych samych telewizorów w którymś z małych warsztatów kooperujących, a położonych na prowincji.

Nie byłoby jednak rzetelne, gdybym nie wspomniał o tym, o czym mówili mi wszyscy rozmówcy, wśród nich działacze opozycyjnej Partii Socjalistycznej i aktywiści związków zawodowych, a mianowicie, że poziom życiowy rośnie w ostatnich latach nader szybko. Od pięciu lat tempo podwyżek płac stale wzrasta. W roku 1966 — 10,4 procent, w 1967 — 12,1 procent, w 1968 — 13,5 procent, w 1969 — 15,8 procent, w 1970 — 18,3 procent. Część tych imponujących podwyżek zjadana jest przez wzrost cen, ale mimo to oblicza się, że realny zarobek przeciętnego Japończyka był w roku 1969 wyższy o 9 procent niż w roku 1967.

W artykule wydrukowanym w roku 1970 w „Neue Zürcher Zeitung” znalazłem następujące stwierdzenie: „Jeżeli zapowiedzi japońskich organów planujących sprawdzą się i coroczny wzrost płac będzie do roku 1975 wynosił 12 do 13 procent, wówczas japońscy robotnicy znajdą się wśród najlepiej opłacanych na świecie”.

Badania przeprowadzone w roku 1970 w Tokio i w Osaka wykazały, że 95 procent wszystkich rodzin miało już telewizory, 88 procent — pralki, 85 procent — lodówki i maszyny do szycia.

Trzeba przy tym zwrócić uwagę na bardzo wymowny

fakt. Otóż do roku 1968 wzrost wydajności pracy wynosił rocznie średnio 12 procent i był szybszy od wzrostu płac. Później jednak płace zaczęły rosnać szybciej niż wydajność i — jak utrzymują fachowcy — będzie tak również i w następnych latach. Wynika z tego wniosek, że Japonia zaczyna coraz intensywniej korzystać z wyników swego dotychczasowego rozwoju gospodarczego.

Pomyłka trzecia: — pochodzące z dawnych lat mniemanie, że na przeludnionych wyspach nie ma dość żywności i Japończycy muszą kupować wszystko za granicą. W rzeczywistości Japonia jest samowystarczalna w dwóch najważniejszych dziedzinach: ryżu i produktów morza. Japonia jest dziś trzecim producentem ryżu na świecie (za Indiami i niewiele ustępując Pakistanowi, ale przed Indonezją i Syjmem), jednak pod względem przeciętnej produkcji z hektara zajmuje zdecydowanie pierwsze miejsce. Zastosowanie wielkich ilości nawozów sztucznych, mechanizacji, najlepszych gatunków roślin itp. sprawiło, że Japończycy zbierają średnio 4,4 tony ryżu z hektara, co jest rezultatem przewyższającym osiągnięcia amerykańskie. Doszło do tego, że po latach namawiania rolników do zwiększania produkcji ryżu rząd musiał zmienić politykę i obecnie zachęca ich do innych upraw, a do ograniczenia produkcji ryżu. Inna sprawa, że kuchnia japońska bardzo się ostatnio zmienia i przybliżyła do europejskiej. W ciągu ostatnich trzech lat (1968—70) spożycie wieprzowiny i drobiu wzrosło o połowę, kawy o 36 procent, a serów nawet dwukrotnie. Produkcja tych wszystkich wiktuałów również rośnie (z wyjątkiem oczywiście kawy), ale Japończycy muszą ich jednak coraz więcej sprowadzać. Ale to już inna historia, faktem zaś pozostaje, że ryżu i ryb oraz wszelkich produktów oceanu mają Japończycy pod dostatkiem, toteż głód im nie grozi.

Te trzy nieporozumienia wrosły głęboko w nasze wyobrażenia o Japonii. Należało je sprostować — gwoli prawdy i dla potrzeb dalszych rozważań.

Weulersse napisał: „W ogóle przecież rozwój ekonomiczny nowej Japonii nie wzbudza uczucia ani strachu, ani żalu, ale — podziwu i nadziei... Dla świata rozkwit ekonomiczny Japonii może być jedynie zjawiskiem pożądanym. Tylko ludzie tępi wyobrażają sobie przyszłe narody jako zażartych konkurentów, usiłujących doprowadzić się wzajemnie do ruiny”.

Napisano to sześćdziesiąt siedem lat temu. Piękne to słowa, ale trzeba przyznać, że ostatnie kilkadziesiąt lat dziejów Japonii niezupełnie potwierdza ich słusność.

## V

Rankiem Tokio sprawia wrażenie planety mrówek. We wszystkich punktach miasta z niezliczonych podziemnych korytarzy wiodących od peronów metra wysypują się kolumny jednakowych istot. Ciemnoszare, granatowe lub prawie czarne ubrania; biała koszula o najnowszym kroju, tak biała, że można przysiąc, iż jeszcze wczoraj opakowana w celofan leżała w którymś ze sklepów; ciemny, stonowany krawat; okulary; teczka. Ubranie tak czyste i odprasowane, że wygląda jakby Tokio było zaludnione wyłącznie przez modeli śpieszących teraz do swych domów mody.

Ani jednego barwnego krawatu. Ani jednej kolorowej koszuli. Ani śladu nonszalancji. Wszyscy tacy sami, bez względu na pogodę, nawet gdy nad miastem wisi dławiący upał. Ale nawet w takie dni, kiedy nie ma czym oddychać, wracający po południu ludzie, zdążający do podziemnych korytarzy, mają koszule, na których nie ma śladu męczonego dnia. Zapewne w teczkach

tkwią po prostu zapasowe. A jeśli spadnie deszcz, wszyscy trzymają w rękach parasole.

Kiedy patrzyłem na te roje spieszących do pracy Japończyków: małych, suchych, odprasowanych, przypomniał mi się Pekin. Tam też widziałem dziesiątki tysięcy jednakowo ubranych ludzi. Jakże to inaczej jednak wyglądało, jak inne były ubrania i jak różna sytuacja ubranych w nie ludzi... Pekin — niedaleko od Tokio, a przecież to dwa odrębne światy. I tylko w tym jednym momencie, patrząc na ów ujednoczony, zdyscyplinowany tłum złotych ludzi, poczułem jakieś odległe skojarzenie, jakieś przypomnienie wspólnoty i pokrewieństwa. Japonia i Chiny — to był kiedyś wspólny pień, z którego wyrosły dwie bliźniacze gałęzie. Dziś trudno sobie wyobrazić dwa różniące się bardziej kraje. Ale nie można wykluczyć, że w przyszłości wspólny pień znów okaże się ważniejszy.

Japoński tłum, tak schludny i czysty, świadczy chyba o jednym: osiągnięto już poziom, w którym każdy zwraca uwagę na to, aby odziewać się estetycznie i jak zarazy unikać niechlujstwa, ma też na to wystarczające środki. Nie osiągnięto natomiast etapu wyższego, kiedy ludzie nie muszą już udowadniać, że stać ich na porządne ubranie i zaczynają się ubierać tak, jak im jest wygodniej. Dlatego podczas upałów Japończycy chodzą z ciasno zawiązanymi krawatami, w nylonowych koszulach, a jeśli na tokijskiej ulicy spotyka się człowieka w sportowej, rozpiętej koszuli bez marynarki i w nieco pomiętych, za to wygodnych spodniach — to jest to zazwyczaj Amerykanin lub Europejczyk.

Jest zatem w tłumie japońskim dyscyplina i podporządkowanie się przyjętemu wzorowi, brak zaś indywidualizmu. Tylko wieczorami pojawiają się młodzieńcy z włosami do ramion, w kwiecistych wdziankach, czasem nawet brudni. Ale jest ich niewiele. Większość to

posłuszni i zrównoważeni pomnożyciele dochodu narodowego.

Profesor Takahaszi, ekonomista z tokijskiego uniwersytetu, powiedział mi:

— Młodzi są często rewolucyjni, noszą sztandary i wykrzykują hasła, czasem biją się z policją. Ale gdy wejdą do przedsiębiorstwa, zależy im na sukcesie firmy. Dzieje się tak, mimo iż u nas jest inaczej niż w Ameryce, u nas młodzi nie mogą się spodziewać szybkiego awansu. W Japonii awans przychodzi z biegiem lat i nikt nie może zarabiać więcej niż jego starszy kolega. Ja sam byłem zdumiony widząc za granicą tak wiele młodych ludzi na wysokich stanowiskach.

Profesor Takahaszi sformułował swoje poglądy na przyczyny japońskiej eksplozji gospodarczej i jej przyszłość w sposób następujący:

— Tuż po zakończeniu wojny reforma rolna poszerzyła rynek wewnętrzny. Chłopi zaczęli kupować maszyny. Armia cesarska przestała być odbiorcą wytworów przemysłu, pojawiły się natomiast nowe możliwości. Na poszerzenie rynku wewnętrznego wpłynęła również rosnąca siła związków zawodowych, element dotąd w Japonii praktycznie nie znany. Doniosłą rolę odegrał system bankowy, udzielający hojną ręką pożyczek dla producentów na inwestycje. Wypożyczano do stu procent złożonych w bankach depozytów. Było w tym ogromne ryzyko, które trwożyło wielu zagranicznych ekspertów bankowych, ale było w tym i źródło sukcesów. Pewną rolę odegrała amerykańska pomoc finansowa, ogromną zaś — amerykańska technologia. Mieliśmy wreszcie bardzo niskie wydatki na zbrojenia.

— Niektórzy mówią, że zbliżamy się do katastrofy, podobnej do tej, jaka wydarzyła się w roku 1929. Katastrofy ekonomicznej. Ale mówi tak tylko niewielu. Ja

sądzę, że to nie nastąpi. Będzie zapewne niewielkie zwolnienie tempa, bo trzeba zwrócić większą uwagę na sprawy społeczne i walkę z niszczeniem naturalnego otoczenia człowieka. Ale w sumie jestem optymistą. Ogólna sytuacja w społeczeństwie poprawia się, nie ma pauperyzacji bezwzględnej, natomiast — trzeba przyznać — zwiększa się odstęp między bogatymi a biednymi. Dla przeciwdziałania temu zjawisku wprowadzane są ulgi podatkowe, a także zastosowano podatek progresywny. Rząd wprowadził serię bardzo postępowych posunięć.

Trzeba wyjaśnić, że profesor Takahaszi nie jest przedstawicielem prawicy i wielkiej burżuazji. Przed wojną utracił asystenturę na Uniwersytecie Tokijskim, ponieważ zbyt interesował się marksizmem. Spędził trzy lata w więzieniu, a następnie został zmuszony do emigracji, przebywał w Europie i w Chinach. Wspomina, że jako asystent był zdania, iż należy rozwalić Uniwersytet Tokijski, ponieważ była to kuźnia kadr imperialnych. Dziś jest jednak optymistą.

Ale nie wszyscy patrzą w przyszłość tak pogodnie. Pod szarymi marynarkami ujednoczonego tłumu czai się tu i ówdzie niepokój. Późnym wieczorem na którymś piętrze jednego z tokijskich buildingów miałem okazję uczestniczyć w dyskusji z czterema młodymi dziennikarzami, których zapowiedziano mi jako wyjątkowo bystro i krytycznie myślących. Patrzyłem przez stół na cztery uśmiechnięte twarze, słuchałem opinii sformułowanych z wyszukaną uprzejmością, okrągłych, choć na ogół niekonwencjonalnych. Mieli liczne pretensje do japońskiej rzeczywistości. Niektóre wydały mi się interesujące i słuszne, inne przesadne i grzeszące brakiem znajomości światowych realiów. Byłem od nich starszy, widziałem więcej świata, no i miałem za sobą ten polski życiorys, który sprawia, że opinie wypowia-

dane w krajach Zachodu często wydają się nam naiwne i oderwane od rzeczywistości.

Zadałem im nieco ogólnikowe pytanie:

— Co panowie myślą o przyszłości Japonii?

Rozpoczęły się długie i ożywione konsultacje. Wreszcie jeden z nich zwrócił się do tłumacza:

— Pragniemy uprzejmie wyjaśnić, że dwóch spośród nas uważa, że sytuacja Japonii jest beznadziejna, dwóch zaś nie jest aż takimi pesymistami.

Używali gładkich sformułowań rodem z poradników dla agitatorów, czasem gazetowych, czasem zaś naiwnych. Pierwszy z tych, którzy uważali, że przed Japonią otwiera się przepaść, oświadczył następnie, że nie jest zadowolony ze struktury społeczeństwa i uważa, że na dłuższą metę nie uda się przewyciężyć istniejących sprzeczności. A poza tym nie ma zaufania do przywódców politycznych. Drugi powiedział, że obawia się, iż Japonia może stać się taka sama, jak USA, a wtedy powstanie sytuacja napawająca intelektualistów rozpaczą. Poczyniono wprowadzić postępy ekonomiczne, ale jeśli Japonia będzie nadal pozostawać w bliskich stosunkach z USA, sprawy staną się beznadziejne.

— Będzie to agonia kraju — powiedział. Pozostali dwaj byli zdania, że istnieją pewne szanse i nie jest aż tak niedobrze.

— Dopóki rząd nie czyni nic złego — powiedział jeden — dopóty rząd mnie w zasadzie nie interesuje.

A drugi dodał:

— Wysoka pozycja ekonomiczna Japonii jest osiągnięta przez poświęcenie ludu japońskiego. To wstyd, że jesteśmy na trzecim miejscu pod względem rozmiarów dochodu narodowego, bo jednocześnie pod względem poziomu życiowego jesteśmy daleko w tyle. Ktoś nazwał nas „zwierzęciem ekonomicznym” — to okropne — i boję się, że w przyszłości będziemy z tego powodu

izolowani w Azji. Obawiam się też, że w przyszłości może się wydarzyć „accident” (wypadek), że może dojść do czegoś strasznego. Ale może uda się tego uniknąć...

Byli to dziennikarze związani z lewicą, z opozycją. To, co mówili, wyrażało bardziej uczucia niż rozumową analizę. Większość Japończyków, z którymi rozmawiałem, nie miała takich obaw. Bardzo pouczająca była dla mnie rozmowa z przywódcą najsilniejszej partii opozycyjnej Japonii, sekretarzem generalnym Japońskiej Partii Socjalistycznej, Eda Saburo. Ale nawet on, szef partii zdecydowanie przeciwstawiającej się rządowi, nie oceniał sytuacji tak pesymistycznie, i to pomimo dającego się od dłuższego czasu zauważyć spadek liczby wyborców głosujących na JPS.

Był to nadzwyczajny wieczór, jaki może się przytrafić tylko w Japonii. W małym, drewnianym domku pod miastem Okajama, w mieszkaniu sekretarza generalnego, zebrała się grupka miejscowych aktywistów partii. Najpierw potoczyła się długa, niespieszna rozmowa, potem przystąpiono do gry w „go”, niemal nieznaną w Polsce, a wcale nie ustępującej szachom. „Go” wymaga błyskawicznego refleksu i umiejętności przewidywania kilkudziesięciu ruchów i wielu tysięcy kombinacji. Sekretarz okazał się wielkim mistrzem „go”, co mogłem ocenić, albowiem kiedyś jeden z przyjaciół starał się mozolnie, lecz bez większych rezultatów przyswoić mi zasady tej gry. Przez rozsunięte drzwi wpadał szmer małej fontanny tryskającej pośrodku niewielkiego, zielonego stawu w ogrodzie. W wodzie odbijały się światła padające z okien domu, a jej powierzchnia marszczyła się od poruszeń złotych ryb gromadzących się przy brzegu, gdy tylko Eda Saburo ukazał się w drzwiach. Sekretarz jest, jak wielu Japończyków, zapalonym ogrodnikiem — hobbystą, a jego ogródek to starannie skomponowany poemat

złożony z drzew, krzewów i kwiatów pochodzących z różnych krajów, przywożonych z dalekich podróży politycznych lub przysyłanych przez przyjaciół. Jak zawsze w japońskich ogrodach żadna roślina nie powtarza się dwukrotnie, każda zaś zajmuje sobie tylko właściwe, głęboko przemyślane i nieprzypadkowe miejsce.

W przerwie między podziwianiem ogrodu, grą w „go” i dyskusjami z zaglądającymi do domku gośćmi, miałem okazję odbyć z sekretarzem dłuższą rozmowę. Jego partia wstawiła się od lat walką przeciwko remilitaryzacji Japonii, przeciw sojuszowi z USA, przeciw stacjonowaniu broni atomowej na japońskim terytorium. Występowała za demokratyzacją społeczeństwa, głosiła hasła pokoju i współpracy ze wszystkimi państwami. W ubiegłych latach potrafiła wyprowadzić w obronie swoich haseł miliony ludzi na ulicę, cieszyła się zwłaszcza poparciem studentów. Od pewnego jednak czasu jej wpływy maleją, przynajmniej jeśli sądzić na podstawie liczby głosów padających w wyborach na jej kandydatów. Dlaczego tak się dzieje?

Eda Saburo uważa, że stało się tak, ponieważ partia w swej ostatniej kampanii wyborczej zwracała zbyt dużą uwagę na sprawy polityki zagranicznej, a zwłaszcza na walkę przeciw układowi z USA, zbyt mało zaś uwagi poświęcała sprawom społecznym. Polityka zagraniczna interesuje dzisiaj ludzi mniej aniżeli przedtem, zwłaszcza że rząd premiera Sato potrafił uzyskać od Amerykanów obietnicę zwrotu wyspy Okinawy. Natomiast przybierają coraz bardziej na sile nowe problemy społeczne.

— Podstawowym problemem jest rosnąca rozpiętość między dochodem narodowym a poziomem życia mas. Rozpiętość ta będzie się pogłębiać. Gdybyśmy osiągnęli władzę, będziemy się starać, aby o dalszym rozwoju kraju decydowali zwykli ludzie. Pierwszym krokiem

byłoby przyznanie znacznie większej samodzielności samorządom lokalnym.

Drugą sprawą mającą coraz większe znaczenie jest zagrożenie naturalnego otoczenia człowieka. Powstaje z tego wielki problem polityczny. Powietrze jest zatrute, w miastach dręczy ludzi hałas, rosną trudności komunikacyjne, pracownicy tracą po cztery, a nawet sześć godzin dziennie na dojazdy do pracy i z powrotem. Powstają coraz to większe kłopoty z wodą, zwiększają się trudności mieszkaniowe. Rząd, współpracujący z wielkim kapitałem i wyrażający jego interesy, nie zwracał na to dostatecznej uwagi. W rezultacie, mimo rosnących dochodów ludności, jakość życia pogarsza się. Otwiera się tutaj wielkie pole do działania dla opozycji.

Polityka zagraniczna? Sprawa stosunków z Ameryką nie jest dziś tak paląca jak dawniej, ponieważ Ameryka zmniejsza swe zaangażowanie w Azji. Ale w miarę, jak Ameryka wycofuje się, coraz istotniejsze staje się pytanie, jaka ma być w przyszłości polityka Japonii. Socjaliści japońscy rozumieją, że sprawa Chin nie jest jasna. Są oni za nawiązaniem stosunków z Pekinem i za współpracą japońsko-chińską, narazie jednak nie ma wielu szans, aby i Chińczycy życzyli sobie tego samego. Kolejne pytanie dotyczy japońskich sił zbrojnych. Czy są one w ogóle potrzebne? Pewne niewielkie siły samoobrony są z pewnością, zdaniem Eda Saburo, potrzebne. Ale tylko tyle. Japonia handluje z wieloma krajami. Gdyby rozporządzała wielką potęgą zbrojną, powstałaby pokusa, by użyć tych sił dla ochrony i popierania handlu, a do tego nie wolno dopuścić.

W tym momencie sekretarz wspomniał o swoich rozmowach z indyjskim premierem Nehru. Nehru opowiedział mu o swoich ideałach, o wyrzeczeniu się siły i o tym, że należy mieć odwagę, by nie tylko wyznawać ów ide-

ał, ale i aktywnie głosić wpływające z niego wnioski, działać na rzecz ich realizacji.

— Rozumiem — powiedział sekretarz JPS — że wy, w Europie, macie inną sytuację, w której znacznie mniej miejsca na ideały. Ale my, na wyspach, możemy prowadzić inną politykę. My nie chcemy wyrzekać się ideału, chociaż w waszych uszach to może brzmieć jak utopia.

Wieczorny ogród promieniował spokojem. Z górnych pomieszczeń na piętrze przyływał delikatny zapach tłących się trociczek. Było to dobre, dalekowschodnie miejsce, jakby stworzone dla medytacji o ideale, o wyrzeczeniu się siły, o sensie życia i współpracy między ludźmi. Było tam bardzo pięknie, chociaż trochę nie-realnie.

Inny członek Partii Socjalistycznej, burmistrz Jokohamy, pokazał mi ośrodek kontrolujący zanieczyszczenie powietrza istniejący przy zarządzie miasta. Była tam wielka hala maszyn rejestrujących dane przekazywane przez punkty kontrolne rozmieszczone w całym mieście. Nieustannie zapisują one temperaturę i wilgotność powietrza w różnych dzielnicach Jokohamy, przede wszystkim zaś — zawartość dwutlenku siarki, a wreszcie: kierunek i natężenie wiatru. W punktach kontrolnych dokonuje się pomiarów na trzech poziomach: trzy metry, trzydzieści metrów i pięćdziesiąt pięć metrów.

Na ogromnej mapie miasta umieszczonej w ośrodku zaznaczone są wszystkie punkty pomiarowe, a specjalna aparatura wprawia w ruch umieszczone na mapie strzałki wskazujące, w którą stronę wieje w danej chwili wiatr. Jeżeli w którymś punkcie miasta zanieczyszczenie przekracza dozwolone normy, urządzenie zmontowane obok mapy włącza sygnał alarmowy. Je-

żeli przekraczające normę zanieczyszczenie powietrza utrzymuje się dłużej niż dwie godziny, wówczas burmistrz miasta ogłasza alarm. W tym celu miasto jest podzielone na trzy okręgi, zaś alarm może być ogłoszony bądź w jednym, bądź w dwóch lub trzech okręgach.

W chwili ogłoszenia alarmu zostaje wprowadzony w życie opracowany zawczasu system wstrzymywania produkcji w najbardziej zatruwających powietrze zakładach przemysłowych. Jeżeliby jednak nie przyniosło to szybkiej poprawy, wówczas możliwe jest wstrzymanie ruchu samochodowego. Na przekazany przez policję sygnał każdy kierowca jest obowiązany zatrzymać samochód, zgasić motor i czekać na odwołanie alarmu albo udać się na piechotę do domu.

Stan alarmowy jest osiągany w Jokohamie średnio w ciągu dziesięciu dni w roku i trwa łącznie około czterdziestu godzin. Uważa się, że stan powietrza w mieście wydatnie poprawił się w ostatnich latach. Służy temu specjalne ustawodawstwo lokalne, którego opracowanie i przeforsowanie zajęło pięć lat. W Tokio sprawy przedstawiają się gorzej, a i z innych miast przyjeżdżają do Jokohamy delegacje, aby zapoznać się z tamtejszymi metodami walki z zatrutowaniem powietrza.

— U nas jest lepiej — powiedział mi burmistrz — ponieważ masy ludowe mają tu większy wpływ. Zresztą związki zawodowe nie są w tej sprawie zbyt aktywne, natomiast bardzo przejmują się tym zwykli obywatele, a zwłaszcza gospodynie domowe. My zaś, czyli władze miejskie, przyjęliśmy metodę mówienia całej prawdy. W innych miastach, tam gdzie są konserwatywni burmistrzowie, a rząd i wielkie korporacje mają większe wpływy — tam ukrywa się prawdę. My ogłoszaliśmy liczby dotyczące zatrutowania powietrza przez poszczególne fabryki. Używaliśmy także innej broni: uzależnialiśmy udzielanie licencji na budowę nowych

fabryk i na rozszerzanie starych od wprowadzenia skutecznych środków zapobiegawczych. W rezultacie uzyskaliśmy polepszenie sytuacji, ale wciąż nie rozwiązaliśmy największego problemu: ruchu samochodowego. Mamy trzysta tysięcy samochodów w mieście. Trzeba nam nowych autostrad, nowych szos przelotowych, nowych przejazdów podziemnych.

Kiedy wracaliśmy samochodem z Jokohamy do Tokio, widać było wyraźnie gęsty opar wiszący nad trzema miastami: Jokohamą, Kawasaki i Tokio. Miasta zrosły się już ze sobą, połączyły, granice między nimi są poznawalne tylko dzięki stanowiącym je rzekom. W miarę zbliżania się do Tokio opar gęstniał coraz bardziej. Wątpliwe, by zatrzymał się na granicy Jokohamy, chociaż jest tam lepsze ustawodawstwo lokalne.

Tego wieczoru podczas spaceru głównymi ulicami Tokio oczy szczypały mnie bardziej niż w poprzednie dni. Wśród feerii neonów, wśród sunących, nieprzejrzalnych szeregów aut pomyślałem sobie, że przyśniła mi się bajka o przyszłym świecie, w którym najtrudniej będzie o łyk świeżego powietrza.

Pewnego dnia, pod koniec pobytu, znalazłem się w okolicy nazywanej przez miejscowych „Stanem Hitachi”, ponieważ we wszystkich miastach tego rejonu ulokowane są zakłady przemysłowe należące do tego koncernu, a stolica powiatu nazywa się po prostu Hitachi. Na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, o dwieście kilometrów na północny wschód od Tokio, rozciąga się zagłębie fabryczne należące do tego kolosa przemysłowego. Jest z nim związanych około stu tysięcy ludzi. Produkują mnóstwo najrozmaitszych rzeczy: od wiatraków elektrycznych, odkurzaczy i przyrządów do masowania obolałych pleców zmęczonych kierowców samo-

chodowych, po gigantyczne turbiny dla elektrowni o mocy 600 megawatów.

Spotkałem tam grupę młodych działaczy związku zawodowego. Związek jest zorganizowany w ten sposób, że skupia robotników i techników, a inżynierów tylko wtedy, gdy nie pełnią funkcji kierowniczych. Administracja nie ma prawa do niego należeć. Powiedziano mi, że strajki zdarzają się, owszem, ale rzadko. Najdłuższy był w roku 1950 i trwał dwadzieścia parę dni. Ostatnio nie ma dużych strajków, ponieważ dyrekcja ustępuje przed żądaniami związku i godzi się na stopniowy wzrost płac. W zeszłym roku płace wzrosły średnio o 20 procent.

Zapytałem, czy u nich też jest tak, że młody pracownik otrzymuje najniższą stawkę i awansuje w miarę, jak mu przybywa lat. Odpowiedzieli, że istotnie tak jest. Ale w takim razie — ciągnąłem — ludzie stojący przy takiej samej maszynie i wykonujący tę samą pracę są różnie opłacani. Czy zatem oni, młodzi, nie odczuwają tego jako niesprawiedliwość? Tak, odczuwają. Młodzi dostają znacznie mniej pieniędzy za taką samą pracę niż ich starsi koledzy. Często się zdarza, że młody człowiek przychodząc do „Hitachi” w ogóle nie wie, ile mu będą płacić. Przekonuje się o tym dopiero przy pierwszej wypłacie. Różnice są bardzo duże. Po pięciu latach pracy robotnik dostaje dwa razy więcej niż miał na początku i ma dłuższy urlop. Po dziesięciu latach — trzy razy więcej.

— Czy wy, młodzi działacze związku, chcecie to zmienić?

— Nie.

Przyglądałem im się z niedowierzaniem. Pospieszili z wyjaśnieniem, że wyrównanie płac pogorszyłoby sytuację starszych. A oni muszą wszak myśleć o całej załodze, a nie tylko o młodych. Ponadto zaś ten system

zdał egzamin, dobrze służy firmie. A przecież — i powinienem to zrozumieć — związek musi dbać zarówno o interesy pracowników, jak i firmy. Jedno jest z drugim nierozłącznie związane.

Trzeba tu wyjaśnić, że związek zawodowy w „Hitachi” nie został zorganizowany przez dyrekcję, chociaż słuchając słów młodych działaczy związkowych można było mieć takie podejrzenie. Powstał on w roku 1946 w ostrej walce, wtedy gdy ruch robotniczy w Japonii eksplodował po latach zakazów i prześladowań, gdy wydawało się, że socjalizm jest tuż za progiem, gdy partie socjalistyczna i komunistyczna były u szczytu swych wpływów. I trzeba również wyjaśnić, że 50 procent załogi „Hitachi” ma maturę, zaś 10 procent — dyplom studiów wyższych. A mimo to w zakładach nie słyszy się narzekań, że mają zbyt wielu nie wykorzystanych techników czy inżynierów. Narzekań, które słyszałem w innych zakładach, w innym kraju, nie mającym zresztą w przemyśle nawet połowy tej liczby ludzi wykształconych co Japonia.

Wszystko to bardzo się różni i od naszego systemu, i od amerykańskiego. Tajemnicę działania japońskiego społeczeństwa i jego sukcesów niesie ze sobą ten tłum, co rano wychodzi z podziemnych korytarzy, a wieczorem do nich wraca. Tłum ludzi o poważnych twarzach, tłum czysty, odprasowany, jednaki, gdzie oko obserwatora nie ma się na czym zatrzymać.

## VI

Przywiozłem z mych dalekowschodnich podróży wiele pytań. W ogóle wydaje mi się, że im więcej przybywa lat, tym więcej jest też pytań, a mniej odpowiedzi. Na dłuższą metę byłby to zatem proces nie do zniesie-

nia, cóż kiedy nie trwa zbyt długo. Oto jedno z podstawowych pytań, jakie przywiozłem z tych podróży: jak to się stało, że w tym samym rejonie świata żyją narody o podobnych wprawdzie tradycjach, podobnej kulturze, wspólnym pniu światopoglądowym — a które osiągnęły tak różne rezultaty. Jak to się dzieje, że obok siebie egzystują: najwyższa cywilizacja przemysłowo-techniczna i najsłabsze zacofanie? Jak to możliwe, że tak podobne narody znalazły się w tak krańcowo różnej sytuacji?

Odpowiedzi na to jest bardzo wiele, wszystkie zaś są tylko częściowe. Japończycy wskazują na przykład, że położenie geograficzne ich kraju sprawiło, iż nigdy nie utracili niezawisłości i nie stali się kolonią. I rzeczywiście niektóre kraje mogą ponieść nawet klęskę, a mimo to nie utracić niepodległości. Ale to tylko częściowe wyjaśnienie.

Jest także inna odpowiedź, na którą zwrócił mi uwagę profesor Naramoto, historyk mieszkający w starym, cesarskim Kioto, mieście, w którym zabytkowe pałace i świątynie sąsiadują ze szpetnymi, nowoczesnymi gmachami, lecz gdzie wciąż unosi się atmosfera starej Japonii i gdzie wieczorem, przechadzając się uliczkami dzielnicy gejsz (piętrowe budyneczki z drzewa, oświetlone starymi lampami, balkoniki, żaluzje, sącząca się łagodna muzyka) traci się poczucie czasu. Profesor powiedział:

— Do szesnastego wieku nie było większych różnic w rozwoju między Japonią a Europą. Technika i nauki stały na podobnym poziomie. Dopiero w osiemnastym wieku Japonia zamknęła drzwi przed światem, w wyniku czego japońska technika skostniała, nauka stała się akademicka i przesiąknęła metafizyką. Ale poziom oświaty był bardzo wysoki, w połowie dziewiętnastego wieku 40 procent ludzi umiało czytać. To wię-

cej niż w większości krajów europejskich tamtego czasu. Kiedy w epoce Mejdzi, w połowie dziewiętnastego wieku, ponownie otwarto drzwi, można było szybko posłużyć się wiedzą europejską. To właśnie jest główna przyczyna różnic między Japonią a innymi krajami azjatyckimi. Kiedy zwiedzałem Chiny, przekonałem się, że warunki przypominają tam bardzo to, co istniało w Japonii właśnie w okresie Mejdzi, oczywiście jeśli chodzi o ogólny poziom cywilizacyjny. Natomiast w dziedzinie oświaty Chiny nie osiągnęły jeszcze nawet tego poziomu.

— W licznych krajach azjatyckich — ciągnął dalej profesor Naramoto — bardzo trudno ludziom uzyskać właściwe wykształcenie. Bogatsi wyjeżdżają w tym celu za granicę, ogromna większość nie może o tym marzyć. Tymczasem w Japonii są dziś laureaci Nagrody Nobla, którzy studiowali wyłącznie w Japonii.

Anglik Richard Storry, autor znanej książki „A History of Modern Japan”, napisał: „Obowiązkowe nauczanie wprowadzono na ambitną skalę w roku 1872. Plan rozwoju oświaty przewidywał stworzenie około 54 tysięcy szkół podstawowych — czyli mniej więcej jednej na 6000 mieszkańców. Wynik tego w pięćdziesiąt lat później był taki, że Japończycy stali się tym, czym są dziś: najbardziej oświeconym ludem w Azji”.

Dodajmy: chyba nie tylko w Azji. Przytoczę kilka prostych porównań. W roku 1968 ukazało się w Polsce 8559 tytułów książek, podręczników i broszur. W Japonii, w tym samym roku, ukazało się 25 421 tytułów książek, przy czym do tej liczby nie są doliczone podręczniki szkolne i wydawnictwa oficjalne, rządowe. Polski łączny nakład książek wyniósł w tym roku 99 017 000. Japoński: 464 000 000. Przypomnijmy jeszcze, że stosunek ludności Polski do Japonii ma się jak jeden do trzech.

A zatem: średnio na Japończyka wypadało dwa razy więcej książek, licząc według nakładu, niż na Polaka. Prócz tego Japończyk miał trzy razy więcej tytułów do wyboru. A trzeba też pamiętać, że w roku 1970 było w Japonii zarejestrowanych 23,5 miliona telewizorów, z czego 6 milionów telewizorów kolorowych. Dziewięćdziesiąt procent wszystkich rodzin japońskich ma już telewizor. Przeciętnie każda japońska rodzina prenumeruje dziennie dwie gazety. Na każdy tysiąc mieszkańców przypada 490 egzemplarzy gazet.

Zwiedzałem supernowoczesny gmach kompanii radiowo-telewizyjnej NHK, będącej odpowiednikiem brytyjskiej BBC (prócz tego są w Japonii prywatne rozgłośnie komercyjne). Opowiadano mi, że w kraju jest 1000 stacji przekaźnikowych, że 97 procent rozciągniętego, wyspiarskiego i górzystego kraju jest w zasięgu stacji telewizyjnych, że rozbudowuje się nadal sieć radiową, zwłaszcza na falach średnich i instaluje stacje o mocy 500 kilowatów, że w roku 1970 było w budowie sto radiowych stacji pracujących na falach ultrakrótkich, że w okresie „Expo” gmach NHK zwiedziły pięćdziesiąt cztery koronowane i niekoronowane głowy obcych państw. Może już dosyć tego... Jeszcze tylko jeden szczegół wskazujący, że NHK nie będąc przedsiębiorstwem dochodowym, ma wielkie ambicje społeczne i oświatowe i nie ułatwia sobie pracy. Programy NHK składają się w 20,5 procent z wiadomości, w 30,2 procent z audycji oświatowych, w 30,7 procent z pozycji kulturalno-artystycznych, w 18,6 procent z dramatu, audycji muzycznych i rozrywkowych. Nadawane są także specjalne audycje dla ludzi chorych. Istnieje wreszcie niezwykle rozbudowany program nauki przez telewizję, prowadzony na wielu poziomach, dający uczestnikom pełnoprawne dyplomy. W roku 1970 stu-

diowało na rozmaitych kursach telewizyjnych pół miliona osób.

Japonia będąca światowym mocarstwem ekonomicznym wyprzedza nas nie tylko pod względem tempa rozwoju gospodarczego, produkcji stali, okrętów, maszyn czy komputerów.

Zajrzyjmy teraz do jednego z największych wydawnictw japońskich, firmy Szogakukan, założonej w roku 1922 i mieszczącej się w ogromnym, ośmiopiętrowym budynku w Tokio. W japońskim Stowarzyszeniu Wydawców jest zrzeszonych około 500 firm wydawniczych, ale Szogakukan należy do trójki największych. Na marginesie: 48 dzisiejszych wydawnictw powstało jeszcze przed rokiem 1900.

Przed wojną Szogakukan wydawało literaturę dla dzieci, po wojnie również dla dorosłych. W roku 1962, w tym samym roku, w którym u nas Państwowe Wydawnictwo Naukowe przystępowało do wydania Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, wydawnictwo Szogakukan stało się wielkim wydawnictwem słownikowo-encyklopedycznym. Przypominam o PWN nieprzykładkowo. To porównanie nasuwa się samo i lepiej ukaże ogromną różnicę w organizowaniu tych spraw u nas i w Japonii.

W tym właśnie roku 1962 Szogakukan zaczęło wydawać 14-tomową encyklopedię, podobną rozmiarami do naszej. Co dwa miesiące ukazywał się nowy tom, każdy w nakładzie 700 tysięcy egzemplarzy (w Polsce 1—2 tomy rocznie w nakładzie niemal trzykrotnie mniejszym). Prócz tego do encyklopedii dołączono sześć tomów suplementów, takich jak „Ilustrowany słownik owadów”, „Ilustrowany słownik roślin”, „Sztuka na świecie”, „Atlas Japonii” itp. W roku 1969 ukazało się

drugie pełne wydanie tejże encyklopedii. My w tym roku nie ukończyliśmy jeszcze wydawania pierwszej.

W ciągu ośmiu lat wydano również encyklopedię „Japonica” — 18 tomów, 120 tysięcy haseł, 100 tysięcy barwnych zdjęć i plansz. Była to pierwsza encyklopedia wydana całkowicie w kolorze. Nakład: 300 tysięcy egzemplarzy. Potem wydano ośmiotomową „Encyklopedię światową”, również barwną, w nakładzie miliona egzemplarzy. W sztabie, który ją redagował, był m. in. laureat Nagrody Nobla, fizyk dr Hideki Yukawa.

Ale to wcale nie koniec. W ciągu tych ośmiu lat zdołano również opracować i wydać 20-tomową „Sztukę Japonii w kolorze”. Jakość druku tego istnego muzeum sztuki na prywatny użytek jest oszałamiająca. Wydano także: „Historię światowej muzyki” (piętnaście tomów, każdy z dołączonymi czterema płytami długogrającymi), trzynastotomowy „Zarys historii japońskiej kultury”, osiemnastotomowy „Zarys japońskiej kultury i geografii”, trzynaście tomów serii „Podróże po świecie” i tyleż tomów „Podróży po Japonii”. O słownikach, atlasach, encyklopediach podręcznych w ogóle nie wspominał.

Kiedy mi to wszystko pokazywano, trudno mi było, pamiętającemu PWN-owskie perypetie, uwierzyć. Cóż, kiedy widziałem to na własne oczy. A trzeba przecież pamiętać, że Szogakukan jest firmą prywatną, która ze swoich wydawnictw ciągnie zyski, a ponadto, ze względu na język i alfabet, nie może liczyć na większy eksport do innych krajów. A zatem to **wszystko jest** kupowane przez samych Japończyków. Japonia eksportuje zaledwie niecałe dwa procent swych wydawnictw.

Pracowników Szogakukan dosłownie rozpiera duma. Kiedy powiedziałem, że — o ile się orientuję — wydają oni swoje encyklopedie bardzo szybko, zostałem na-

tychmiast poprawiony przez kierownika jednej z redakcji:

— Należy raczej powiedzieć, że niezwykle szybko. W innych krajach pracuje przy tym więcej ludzi, ale wydają dłużej i książki są droższe.

Było to powiedziane uprzejmie, ale w zdecydowany i pewny siebie sposób.

W wydawnictwie pracuje około pięciuset osób. Co roku przyjmują dwudziestu nowych pracowników wybieranych spośród wielu zgłaszających się kandydatów. W tym roku zgłosiło się tysiąc osób pragnących podjąć pracę w wydawnictwie. Decyduje trzydniowy egzamin. Kandydat musi ukończyć studia wyższe, najlepiej, jeśli skończył dwa wydziały, ale nie przywiązuje się zbyt wagi do tego, jakie to były studia. Średni zarobek miesięczny wynosi około 100 tysięcy jenów (niecałe 300 dolarów), do tego dochodzi dwukrotnie w ciągu roku premia w łącznej wysokości około 2200 dolarów. Początkujący zarabia połowę średniej płacy. Natomiast liczący 41 lat redaktor, z którym rozmawiałem, pracujący w wydawnictwie już od dwudziestu lat, zarabia 440 dolarów miesięcznie i dostaje premie wartości 2700 dolarów. Ale kiedy zaczął pracę, dostawał miesięcznie tylko 25 dolarów...

Shogakukan jest jednym z trzech największych wydawnictw. Ścisłe się wyrażając jest właśnie trzecim. „Kodansha” jest większe, ma tysiąc pracowników. Na czele zaś znajduje się „Gakuken” zatrudniające trzy tysiące ludzi. Strach pomyśleć, jak wygląda produkcja tych olbrzymów.

Rozwój ruchu wydawniczego i czytelnictwa w Japonii jest zjawiskiem doprawdy zdumiewającym. Nie przeszkodziła mu telewizja, a nawet, o ile można się zorientować — pomogła. W ciągu ostatnich piętnastu lat liczba tytułów książkowych publikowanych co roku

w Japonii wzrosła o 50 procent, zaś według najnowszych badań liczba książek czytanych przez statystycznego Japończyka wzrosła w tym czasie trzykrotnie. Robert Guillain przytacza listę bestsellerów wśród książek kieszonkowych, ogłoszoną przez wielkie wydawnictwo „Kunikuniya”. Warto zadumać się chwilę nad tą listą. Oto ona:

1. „Obrona Sokratesa” — Platona, 2. i 3. prace Engelsa, 4. „Utopia” Tomasza Moore’a, 5. inne wydania „Obrony Sokratesa”, 6. „Druga płeć” Simone de Beauvoir, 7. „Notatki o życiu” Kiyoszi Miki, 8. „Cierpienia młodego Wertera” Goethego, 9. „Emil” Jana Jakuba Rousseau, 10. „Studium Zen” Ikutare Niszidy.

Jakże prymitywne wydają się dziś nasze twierdzenia sprzed kilkunastu lat o charakterze kapitalistycznego rynku wydawniczego: że to tylko kryminały, literatura brutalności i niezdrowych sensacji...

Tak przedstawiają się sprawy wydawnicze w tym dziwnym kraju na końcu świata. Zatrzymałem się nad nimi nie tylko z tego powodu, że są to sprawy bliskie memu sercu. Piszę o nich głównie dlatego, że, jak sądzę, to one właśnie stanowią fundament, na którym wznoszą się japońskie wielkie piece i gigantyczne stocznie, na którym mogła się oprzeć japońska eksplozja elektroniczna i rolnicza. To, że w Japonii ludzie kupują takie książki i w takich nakładach, ma na pewno nie mniejsze znaczenie niż japońskie komputery i fotokomórki.

Warto o tym wiedzieć.

## VII

Wchodząc do domu zdjęliśmy buty. Teraz siedzimy ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach, dotykając rękami podłogi, na której rozścielono trzciniową matę.

Okna werandy wychodzą na ogród. Widać trochę zielonych krzewów i drzew. Siedząc na poduszkach mamy wrażenie, że za oknami rozciąga się wielki park, ale gdybyśmy unieśli się z naszych siedzeń, ujrzelibyśmy płot, za którym stoi następny domek — równie mały i tak samo wciśnięty w ogródek, jak nasz. Z poziomu poduszek nie widać ulicy i sąsiednich domów, przestrzeń jakby poszerza się i nic nie rozprasza nam myśli. Daleko pozostał ruch uliczny, samochody, tunele metra, pośpiech i zgiełk. Trociczka rozsnuwa pachnący dym po pokoju, imbryk z wodą grzeje się nad żarem węgla drzewnego. Gospodarz rozciera zieloną herbatę w przeznaczonych dla nas czarkach. Milczenie.

Ceremonia herbaciana „chanoyu”, tradycja istniejąca od piętnastego wieku, wciąż odprawiana w Japonii. W sąsiednim pokoju stoi kolorowy telewizor, kilka ulic dalej wznosi się estakada, po której co kilkanaście minut przelatują komputerowe pociągi „Hikari”, jeszcze trochę dalej sterczy kilkudziesięciopiętrowa, bardzo szpetna wieża telewizyjna z obracającą się restauracją na szczycie. Jesteśmy w Kioto, uniwersyteckiej stolicy Japonii. W mieście co krok dawne pałace i świątynie zaliczane do japońskich skarbów narodowych — białe i szare kamienie, czarne osmolone przez stulecia belki. Miasto dostojne, poważne, spokojniejsze niż Tokio, ale przecież i tu wdziera się nowoczesność, a czasem — jak na przykład ta paskudna wieża — przysłania nawet horyzont.

W mieszkaniu gospodarza ściany przysłonięte książkami. Setki tomów dzieł historycznych, głównie japońskie, ale i w innych językach. Przyjmuje nas historyk, emerytowany profesor uniwersytetu, autor wielu dzieł. Również i dziś, po odejściu z uniwersytetu, nadal inten-

sywnie pracuje publikując w Japonii, jak i w czasopiśmie europejskich.

Nic więc dziwnego, że inicjację w zawilej uroczystości, jaką jest ceremonia herbaciana, otrzymujemy właśnie z jego rąk. Nie znaczy to, że tylko profesorowie historii organizują takie ceremonie. W każdym bez mała domu japońskim można znaleźć ozdobne, przeznaczone tylko na ten cel czarki, łyżki, pędzle, czajniki. I wciąż w całej Japonii zbierają się przyjaciele, by spędzić rytualną godzinę milczenia, teatralnych gestów, skupienia i całkowitego oderwania od świata. Albowiem ceremonia herbaty nie polega ani na picciu tego napoju, ani na przyjacielskiej pogawędce. Polega na ciszy, medytacji, kontakcie ze starymi i pięknymi przedmiotami. Przepisowym składnikiem ceremonii jest podziwianie wnętrza pokoju, rozwieszonych na jego ścianach „skrolów” przedstawiających krajobrazy lub znakomite przykłady kaligrafii, a także czarek herbacianych i łyżek. Każdy ruch, każdy gest, każdy łyk herbaty został wielokrotnie opisany w stosownej literaturze. Jeśli istnieją różnice, to są to różnice szkół, a każda z nich ma prastary rodowód.

Ceremonia polega więc na ciągłości, na milczącym złączeniu się ze starą Japonią, z jej długimi dziejami, z nieskończoną procesją przodków. Herbata ma bowiem w Japonii długą historię. Sprowadzono ją z Chin już w siódmym wieku, a w czternastym rozpowszechniła się w całym kraju zabawa towarzyska polegająca na odgadywaniu pochodzenia i gatunku podawanego napoju. Zwycięzcy otrzymywali nagrody. Później jednak buddyjscy kapłani sekty Zen nadali picciu herbaty charakter medytacji, skupienia, mistycznego połączenia z pięknym otoczeniem. Opracowali też ściśle reguły ceremonii, które przetrwały do dziś. Jest rzeczą zrozumiałą, że w dzisiejszych miastach ceremonia uległa

pewnemu uproszczeniu. Dawniej, odprawiana w pełnej krasie, wymagała czterech godzin, kosztownych, choć niezbyt barwnych strojów (by nie odwracały uwagi), osobnego domku w ogrodzie. Dziś odprawia się ją zazwyczaj w formie skróconej, jednak nie zmieniając zasadniczego rytuału.

Herbata podana w czasie ceremonii nie smakowała mi. Tradycyjne słodczyce towarzyszące herbacie z trudem przeszły mi przez gardło. Ale smakowała mi atmosfera ceremonii, egzotyczna, a zarazem pełna powagi. To prawda, że otrzymaliśmy tylko najbardziej ogólny obraz tego, czym była „chanoyu” dawniej. Prawdziwa ceremonia wymaga specjalnego pawilonu w ogrodzie, osobnego pokoju, w którym się czeka, sali, w której pije się herbatę, ławek w ogrodzie, na których należy medytować w przerwie między podaniem dwóch różnych gatunków herbaty. Ale przecież poznaliśmy choć małą cząstkę prastarego zwyczaju.

Tu właśnie, w starych obyczajach, w kulturze dnia powszedniego i święta, w otoczeniu, jakie Japończyk tworzy dla siebie, a którego nie widać z ulicy — najlepiej można rozpoznać różnice psychiczne, odrębne cechy mentalności pomiędzy nimi a nami, ludźmi zachodu, członkami rasy białej. Na przykład japońskie ogrody, o których była kilkakrotnie mowa. Są inne niż w Europie, nie ma w nich nic z geometrii, nic nienaturalnego. Nie ma kompozycji, a przynajmniej tego, co my pod tym mianem rozumiemy. Ogrodnicy europejscy, zwłaszcza w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, próbowali naśladować ogrody chińskie i japońskie, unikali przeto geometrii linii prostych, tak charakterystycznych dla ogrodów francuskich, ale zastąpili ją geometrią linii zakrzywionych. Postąpiwszy tak, byli równie daleko od istoty japońskiego ogrodu, jak daleko były od niej ogrody w Wersalu. Albowiem praw-

dziwy ogród chiński, a za jego przykładem japoński, jest małym mikrokosmosem, jest obrazem świata i istniejących naprawdę krajobrazów, choć nigdy nie jest ich dokładnym naśladowaniem. Jest to obraz maksymalnie skrócony, czasem zasadzający się na kilku rozrzuconych kamieniach, kilku krzakach, jakiejś roślinie wodnej. Nie ma zachwycać masą ani ułożeniem kwiatów, ani też niezwykłością form sztucznie nadanych roślinom.

Po to, by osiągnąć głębię medytacji, by oderwać się od rzeczywistości, by osiągnąć spokój i zachwycenie, nie trzeba wytwornych kompozycji z róż czy orchidei. Czasem wystarczy błysk światła na wilgotnym liściu, cień gałązki na białym kamieniu. Dawny poeta chiński Czi Czeng z czasów dynastii Ming tak pisał w swojej „Księdze ogrodów”: „Zwykły pagórek wzbudzić może wiele wrażeń, mały kamyk zrodzić wiele uczuć. Cień zwiędłych liści bananowych rysuje się harmonijnie na papierowych szybach okna. Korzenie sosny torują sobie drogę w szczelinach spękanych kamieni”...

Dlatego potrzebne są wody stawów i strumieni, skały, kamienie, ciągle zmieniające się światło. Dlatego trzeba oglądać ogród w różnych porach dnia, a także i nocy, w różnych porach roku i przy różnej pogodzie. Nie ma dla niego najkorzystniejszych pór, bo każda może służyć medytacji. Taki ogród jest bardziej dziełem filozofii niż sztuki.

Jednakże Japończycy, przyjąwszy zasady chińskich ogrodników, wzbogacili je również własnymi. Niektóre z nich mają znaczenie religijne, jak na przykład utrwalona w dziełach teoretyków zasada, że strumień w ogrodzie powinien płynąć ze wschodu na zachód, to znaczy z czystej strony świata ku nieczystej. Podobne znaczenie ma również rozmieszczenie niektórych kamieni. Czasem są to zwykłe kamienie, ale często poszukuje się

głazów szczególnie dziwnych lub ozdobnych. Wreszcie, wychodząc od chińskiej sztuki ogrodniczej, Japończycy stworzyli trzy własne odmiany. Po pierwsze: ogrody stanowiące odzwierciedlenie w miniaturze istniejących naprawdę krajobrazów. Po drugie: „bonsai”, czyli hodowlę drzew karłowatych, które powinny w zmniejszeniu naśladować wielkie i dziko rosnące drzewa. I wreszcie: „bonkei”, czyli modelowanie krajobrazów w ogromnym pomniejszeniu, na zwykłej tacy stołowej. Jest to sztuka trójwymiarowa, przypominająca malarstwo pejzażowe, w połączeniu z rzeźbą. Na owalnej, zwykle półmetrowej tacy powstają przy użyciu kamyków, piasku, żwiru, piasku barwionego itp. łańcuchy górskie, doliny, urwiste brzegi morskie, wulkaniczne wyspy.

Dalszą odmianą tej sztuki, bardziej jeszcze uproszczoną, jest „suiseki”, czyli kolekcjonowanie pojedynczych kamieni, które same naśladują fragmenty krajobrazu: szczyty albo łańcuchy górskie, wyspy, zbocza z dolinami, łagodnie wznoszące się masywy itp. Oczywiście, oprócz kształtu, duże znaczenie ma też kolor kamienia. Kamienie osadzone są na specjalnej tacy, a im mniejszy kamień — tym lepiej. Najpiękniejsze kamienie „suiseki” pochodzą z dna rzek. Podobno w Japonii jest dziś ponad trzy miliony amatorów uprawiających „suiseki”. Co roku organizuje się pokazy nowych znalezisk.

Wszystkie te hobby tak blisko graniczące z jednej strony ze sztuką, z drugiej — z naturą, wskazują na prawdziwe umiłowanie przyrody, na umiejętność obserwacji i docenianie naturalnego piękna. Wskazują także na kontemplacyjny raczej niż kreatywny typ umysłowości.

O sztuce układania kwiatów, tworzenia kompozycji, które mogą być bukietami, ale mogą też składać się

z jednej tylko gałązki — nie będę pisać. Robiono to już wielokrotnie i czynili to lepsi ode mnie znawcy.

Ważne jest jedno: wszystkie te specyficznie japońskie rodzaje sztuki czy rozrywki mają prastary rodowód. Niewiele jest chyba krajów, gdzie by wniesiono we współczesność tyle wiernie zachowanych elementów obyczajowości sprzed pięciuset czy nawet tysiąca lat, a jeśli pamiętać o ich chińskim pochodzeniu — to nawet i starszych. To samo dotyczy japońskiego dramatu, zarówno teatru „kabuki”, owego przedziwnego połączenia baletu z pantomimą, zastygłego w formach ustalonych od wieków, a przecież niewiarygodnie żywego, jak również tradycyjnego teatru lalek „bunraku”. Chyba nigdzie na świecie nie ma podobnego zjawiska, jak „kabuki”, krwawe dramaty, moralitety ze średniowiecza, opiewające tragedie z czasów samurajów, stylizowane, nierealistyczne, w niczym nie przypominające współczesności, a przecież mające nadal miliony wielbicieli, stanowiące żelazny program najnowocześniejszych środków masowego przekazu jak telewizja kolorowa, wystawiane w dziesiątkach teatrów, przenoszone na ekrany kinowe. Teatr „Kabuki” przy całej swej niezrozumiałej dla nas konwencji, pełen sztucznej umowności, gdzie role kobiece są nadal grane przez mężczyzn, tak daleki od wszystkiego, co na całym świecie jest uznawane za nowoczesny teatr — nadal włada milionową widownią we współczesnej, elektronicznej Japonii. Tylko chińska opera była czymś, co można by do tego przyrównać, ale społeczeństwo chińskie nie jest społeczeństwem nowoczesnym, a ponadto władze w Chinach zniszczyły chińską operę i — przynajmniej na razie — przestała ona praktycznie istnieć.

Wszystko to skłania do myśli, że oto w erę technologiczną, w epokę postindustrialnej automatyzacji wkroczyła zupełnie odrębna i samoistna kultura, cywi-

lizacja inna od europejskiej. Jest to pierwszy tego rodzaju wypadek, który powinien jednak budzić naszą radość. Wkład Japonii w dywersyfikację ogólnoludzkiej kultury może się przyszłości okazać bezcenny.

Gdy byliśmy już po ceremonii herbacianej u profesora historyka, zapytałem:

— Czy w Japonii, która zanurzyła się przecież w nowoczesności, ludzie interesują się jeszcze historią? Wszyscy są tutaj opętani nowością. Czy ci, co budują pięćsettyśięczne tankowce i zalewają świat elektroniką — czytają książki historyczne?

Profesor roześmiał się.

— Proszę pana — powiedział — jestem emerytem, ale jak pan może się zorientować patrząc na moje mieszkanie — zarabiam nadal bardzo dobrze. Dlaczego? Właśnie dlatego, że ludzie szukają książek historycznych. Ostatnio sprzedano w Japonii sześćset tysięcy dwudziestoczwierotomowej historii Japonii. To znaczy, że ludzie interesują się dziejami i to zainteresowanie ciągle rośnie.

Daleki jestem od bezkrytycznego gloryfikowania przeszłości, a już szczególnie nie wiem, czemu miałbym wyzbyć się krytycyzmu wobec przeszłości japońskiej. Ale jest przecież zupełnie jasne, iż rzetelny namysł nad sprawami dnia dzisiejszego musi być oparty na znajomości dziejów. Bez owej wiedzy nie jest możliwa solidna kultura.

Profesor z Kioto myśli tak samo. Niedawno opublikował w pewnym poważnym czasopiśmie europejskim obszerną rozprawę o „Ludziach Eta”. Problem Eta jest brzydką skazą na japońskiej rzeczywistości. Są to potomkowie ludzi, którzy w dawnych latach wykonywali zawody „nieczyste”, byli wywozicielami śmieci, graba-

rzami, a także — aktorami. Wolno im było mieszkać tylko w określonych dzielnicach lub osobnych wsiach, zwanych „burak”. Ich wnukowie są dyskryminowani do dziś, a rozpoznaje się ich według miejsca zamieszkania. Jest ich około 300 tysięcy. Mają nadal wielkie trudności w uzyskaniu lepszej pracy, są dyskryminowani społecznie i towarzysko, zarabiają mniej i mają kłopoty z kształceniem dzieci. Jak widać, elektronika i komputery nie rozproszyły jeszcze wszystkich mroków średniowiecza. Znaczący sprawcy twierdzą jednak, że wielkie zmiany społeczne, a zwłaszcza wędrówka ludzi ze wsi do miast, szybko zmniejszą wagę problemu. Ktoś powiedział mi nawet:

— Wystarczy dobre trzęsienie ziemi, żeby problem znikł. Po prostu nastąpi wtedy powszechna zmiana adresów...

W każdym niemal mieście Japonii można znaleźć sklepy z „akcesoriami historycznymi”. Są to nieraz rzeczy szczególnego rodzaju. Któregoś dnia stanąłem w Tokio jak wryty. Ujrzałem dom, z którego frontu zwisały flagi hitlerowskie. Była to właśnie reklama takiego sklepu. Można w nim było znaleźć całą kolekcję hitlerowskich sztandarów i proporców, hełmy, odznaki, sztylety Hitlerjugend, żelazne krzyże. Były również sztandary, hełmy, broń i odznaczenia krajów alianckich. Były czapki z czerwoną gwiazdą. Do tego cała kolekcja japońszczyzny. Czapki armii cesarskiej, bandery marynarki wojennej, białe chusty ze wschodzącym słońcem wiązane na czole przez wylatujących w ostatni lot pilotów „kamikaze”, samurajskie miecze, płyty z marszami wojennymi, przy dźwiękach których cesarskie pułki wkraczały do Singapuru.

Japończycy lubią bawić się takimi rekwizytami. Naj-

słynniejszym z Japończyków, który wielbił zabawę w armię, sztandary, hełmy, ćwiczenia polowe był utalentowany pisarz, Jukio Miszima, kandydat do nagrody literackiej Nobla i najczęściej tłumaczony na obce języki pisarz japoński. Miszima stworzył sobie własną, prywatną armię, która liczyła stu ludzi i ubóstwiał komenderować nimi, odbywać z nimi menewry. Publiczność sądziła, że jest to dziwaczne, lecz nieszkodliwe maniactwo pisarza, jego przyjaciele myśleli jednak inaczej. Kiedy Miszima wtargnął do gmachu dowództwa okręgu wojskowego i spróbował dokonać patetycznego, choć nieudanego zamachu stanu przemawiając z balkonu do zgromadzonych na placu tym razem autentycznych żołnierzy, a następnie popełnił samobójstwo — okazało się, że rację mieli przyjaciele, a nie publiczność. To była zabawa, którą Miszima traktował poważnie — poważniej niż własne życie.

A przecież nie należy z tego wyciągać pochopnych wniosków. Wspomnienia przegranej wojny, a zwłaszcza atomowych pobojozisk Hiroszimy i Nagasaki są ciągle bardzo świeże. W najszerszych kręgach społeczeństwa istnieje niezmiernie mocna, tak mocna jak nigdzie na świecie, niechęć do wojny i militarizmu.

Byłem w Hiroszynie, mieście odbudowanym i kwitującym. Sam dźwięk tej nazwy brzmi strasznie i człowiek wzdryga się widząc na dworcu kolejowym wymalowane napisy. Gdybym nie pochodził z Warszawy, dziwiłbym się, jak ludzie mogą tutaj żyć. Kiedy z wysokiego wzgórza położonego za miastem przyglądałem się panoramie Hiroszimy, nad domami, ulicami i portem wisiała chmura, zawirowany kłęb, w którego środku było przejaśnienie. Padał zeń długi promień światła na miasto. Była to zwykła chmura, ale nie mogłem uwolnić się od niesamowitego uczucia, była to bowiem chmura nad Hiroszimą.

W piasku przepływającej przez Hiroszimę rzeki nadal znajduje się rozmaite przedmioty, a ostatnio znaleziono kilka starych zegarków na rękę. Mają one jedną wspólną cechę: wskazują godzinę 8.15.

Powiedziano mi w Hiroszimie, że premier Sato nigdy nie odwiedził tego miasta, a partie prawicowe chcą tutaj postawić pomnik ku czci żołnierzy japońskich, czemu sprzeciwiają się socjaliści. Niewykluczone, że Jukio Miszima zostanie w przyszłości uznany za legendarnego bohatera przyszłej, potężnej armii japońskiej.

Ale na razie jest to tylko hipoteza. „Siły samoobrony” — bo tak nazywa się armia istniejąca nie całkiem legalnie i wbrew konstytucji — są nieliczne, a ich personel nie przekracza liczby dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Są to jednak siły kadrowe, znakomicie wyszkolone, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt zapewniający im wielką ruchliwość i siłę ognia. Ponadto wiadomo już dziś, że Japonia zamierza w niedalekiej przyszłości dwukrotnie powiększyć wydatki na zbrojenia. Pomimo tego, Japonia nie może na razie prowadzić samodzielnej polityki wojskowej, zapewnić sobie niezależności strategicznej. Możliwe jednak, że z uwagi na wycofywanie się USA z Azji, rosnące trudności w handlu japońsko-amerykańskim, wreszcie rosnącą rolę Chin, Japonia zwiększy wysiłki, by zapewnić sobie niezależność. A możliwości ma w tej dziedzinie ogromne. Wymagać to jednak będzie nie tylko uzbrojenia w sensie materialnym, ale również psychicznym, a to będzie o wiele trudniejsze.

W jednej ze szkół tokijskich, które zwiedzałem, nauczyciele z oburzeniem pokazali mi podręcznik do nauki rachunków w pierwszej klasie. Na jednej ze stron książki ujrzałem dziesięć małych chorągiewek ze wschodzącym słońcem. Dyrektor szkoły powiedział:

— To jest nowy podręcznik, który wzbudza oburze-

nie nauczycieli, a także licznych rodziców. Niech pan się sam przekona. Dotąd uczono dzieci rachunków na wiśniach. Ile to jest sześć wiśni dodać cztery? Teraz zmieniono wiśnie na chorągiewki. Nie możemy się z tym pogodzić.

Nie rozumiałem. Zapytałem:

— A cóż jest złego w tym, że do nauki używa się chorągiewek o narodowych barwach?

Zgromadzeni nauczyciele popatrzyli na mnie jak na raroga.

— Jak to, pan nie rozumie? Toż to jest typowy przykład budzenia nacjonalizmu, gloryfikowania flagi, która służyła militarystom! To pod tą flagą najechano Chiny i rozpętano wojnę na Pacyfiku! I teraz znowu pragnie się z nią oswoić dzieci — i to od pierwszej klasy!

Wysłuchałem tego bez wypowiedania własnego sądu. Pomyślałem tylko, że wiele by mi trzeba czasu, aby dokładniej zrozumieć ten kraj.

## VIII

A więc, moja podróż do „Komputopii”, krainy na antypodach, którą można by nazwać „krainą tysiąca zdziwień”, dobiega końca. Starałem się zabrać w tę podróż czytelników, pokazać — jak umiałem — dzisiejszą Japonię, zwierzyć z budzących się pod wpływem tego, co widziałem, myśli. Nie ukrywałem zdumienia w obliczu wielu niespodziewanych faktów. Myślę, że reporter jest godzien tego miana, dopóki świat nie jest dla niego zbiorem gotowych formuł, dopóki jego praca jest przygodą odkrywczą, w której powinni później brać udział również i czytelnicy. Zbyt często, niestety, widziałem teksty, w których autor z góry, jeszcze przed wyjazdem,

wie, co on sam i jego czytelnicy myśleć powinni. Tacy autorzy wstydzą się okazać zdziwienie, uważają, że obniżyłoby to ich powagę; nie tolerują tego również i u innych, zarzucając im, że „ulegli fascynacji”. Oni sami nigdy nie pozwalają sobie na fascynację tematem.

Nie będę ukrywał: wiele rzeczy dziwiło mnie w Japonii. Nie dziwiły mnie ani tranzystory, ani fotokomórki, ani samochody, ani sklepy. Widziałem już w życiu kilka niezłych miast w paru zamożniejszych od Japonii krajach i etap rozbijania czoła o kryształowe tafle wystaw sklepowych mam już raczej za sobą. Zdumiały mnie dwa zjawiska. Jedno: owa przenikająca wszystko japońska siła witalna, ten pęd naprzód, to zaczarowanie nowością i szybkość, z jaką Japonia przeskakuje po kilka stopni naraz, pozostawiając za sobą wszystkich współspieszających. I drugie: że ta japońska eksplozja nie daje się w żaden sposób objaśnić przy pomocy uznanych — i wystarczających w innych częściach świata — tłumaczeń.

Niedaleko Tokio, w Kamakura, wznosi się słynny posąg Buddy. Nieruchomo wpatrzony przed siebie sięga pięciu metrów i waży siedemdziesiąt ton. Codziennie stoi tam długa kolejka, ludzie czekają, aby po schodkach dostać się do wnętrza. Atmosfera świętości narodowej, jaka otacza posąg, potęguje niecierpliwość czekających, którzy spodziewają się niezwykłego przeżycia. Ale w środku nie ma nic ciekawego.

Ci, którzy wchodzą do środka posągu Buddy w Kamakura, z pewnością nie mogą powiedzieć, że spenetrowali buddyzm. Ci, którzy przyjeżdżają na krótko do Japonii, nie mogą oczekiwać, że przenikną jej zagadkę. Setki, a nawet tysiące dziennikarzy, jacy w ostatnich latach odwiedzili Japonię, najpierw przy okazji Olim-

piady, a następnie Wystawy Światowej w Osace, zadawały wciąż te same pytania: jakie są źródła powodzenia Japonii. Otrzymywali też wciąż te same, nad wyraz uprzejme, a przecież niewystarczające odpowiedzi. Wszystkie one są słuszne, a przecież wyjaśniają niewiele.

Mówi się, że jednym ze źródeł siły gospodarczej i rozwoju Japonii jest brak wielkich zbrojeń. To z pewnością ważny czynnik. Ale... chociaż Japonia wydaje rocznie na obronę tylko jeden procent swego globalnego dochodu narodowego, to jednak jest to pokaźna suma. Produkt rośnie bardzo prędko, a wraz z nim rosną również wydatki zbrojeniowe. I tak, w roku 1970 japońskie wydatki na obronę wzrosły o 17 procent, a więc nawet szybciej niż produkt narodowy. Oblicza się, że w ten sposób już w 1975 roku japoński budżet zbrojeniowy będzie większy niż chiński — i to łącznie z kosztami chińskiego programu atomowego. Wiadomo jednak, że rząd japoński przewiduje przyśpieszenie rozbudowy armii, wydatki wzrosną więc szybciej. Gdyby Japonia postanowiła wydawać nie jeden, a powiedzmy, dwa procent produktu narodowego rocznie, wówczas za jednym zamachem zdystansowałyby wszystkie kraje azjatyckie — i to bez większego uszczerbku dla swej gospodarki.

Tak więc, argument zbrojeniowy, choć ważki, nie jest jednak wystarczający. Nie można przy tym zapominać, że sam brak większych zbrojeń nie gwarantuje automatycznego postępu. Indie, Brazylia czy Argentyna też nie mają zbyt wielkich wydatków tego rodzaju, a przecież ich tempo rozwoju nie umywa się do japońskiego.

Mówi się, że dużą rolę odegrała pomoc amerykańska. Ale i to niezupełnie jest słuszne. Pomocy, jako takiej, Japonia właściwie w ogóle nie otrzymała. Nie wpuściła też do siebie amerykańskiego kapitału. W odróżnieniu

od Europy zachodniej w Japonii nie ma firm, w których obcy kapitał kontrolowałby choć połowę udziałów. Natomiast Japonia otrzymywała amerykańskie pożyczki. I tak w latach 1953—60 Japończycy dostali 615 milionów dolarów pożyczek długoterminowych. W latach 1945—60 otrzymali również 1175 milionów dolarów pożyczek krótkoterminowych. Łatwo się zorientować, że tego rządu sumy nie mogły mieć decydującego znaczenia, a prócz tego: trzeba je było spłacić.

Poważnym jednak źródłem dochodów stały się dla Japonii tak zwane „zamówienia specjalne” lokowane w tym kraju przez USA, zwłaszcza po wybuchu wojny koreańskiej i w związku z wojną w Wietnamie. W latach 1950—60 Japonia zarabiała w ten sposób przeciętnie 560 milionów dolarów rocznie. Nie była to jednak pomoc, czyli darowizna, lecz pieniądze zarobione przy pomocy japońskiej produkcji.

W Europie zachodniej, gdzie realizowano plan Marshalla, w NRF, gdzie trwała konfrontacja z NRD, pomoc amerykańska odegrała poważną rolę. W Japonii sprawy wyglądały nieco inaczej.

Shoichiro Honda, „japoński Ford”, słynny konstruktor i producent motocykli i samochodów, który rozsławił w świecie japoński przemysł motoryzacyjny, powiedział kiedyś: „Jeżeli towarzystwo Honda wyrosło do dzisiejszych rozmiarów, to dlatego, że nie miało żadnych tradycji. Nie mając przeszłości, mamy tylko przyszłość... To dobrze, że przegraliśmy wojnę. Inaczej nigdy nie mielibyśmy tej swobody, jaką mamy teraz. Mogliśmy zacząć od zera i planować na wielką skalę”.

To dobrze, że przegraliśmy wojnę... Chyba nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak mówił. Honda zna się na rzeczy i z pewnością ma rację, kiedy mówi, że

ważnym składnikiem sukcesów Japonii jest to, że jej przemysł został zbudowany od nowa i jest bardziej nowoczesny niż przemysł wielu spośród konkurentów. W podobny sposób tłumaczy się również sukcesy NRF. A przecież NRF przegrywa wyścig gospodarczy z Japonią, nie osiąga japońskiej stopy wzrostu. I trudno też nie zauważyć, że zniszczenia wojenne nie stanowią obowiązującej wszędzie recepty na sukcesy gospodarcze. Wiele było krajów ciężko dotkniętych przez drugą wojnę światową, ale jest tylko jedna Japonia.

James Abegglen, wiceprezes znanej firmy ekspertów gospodarczych „Boston Consulting Group” napisał niedawno, że „tempo wzrostu japońskiej ekonomii nie ma odpowiednika w światowej historii gospodarczej”. Przewiduje się, że w roku 1975 globalny produkt narodowy Japonii będzie już równy połączonemu produktowi wszystkich krajów Wspólnego Rynku w Europie zachodniej. Przewiduje się, że w 1980 roku przewyższy łączny produkt wszystkich krajów azjatyckich (bez azjatyckiej części ZSRR). Futurolog Herman Kahn przewiduje, że w końcu stulecia Japonia przewyższy pod tym względem również i USA — i to zarówno w liczbach globalnych, jak i na głowę mieszkańca. Piśsze on, że wiek XXI stanie się „wiekiem japońskim”. W wywiadzie dla tygodnika „US News and World Report” Kahn powiedział:

„Po wycofaniu się Ameryki z Azji Japonia stanie się w niekomunistycznej części kontynentu hegemonem, najpierw pod względem gospodarczym, a później woj-skowym i politycznym, co z kolei spowoduje cały bieg wydarzeń, którego my prawdopodobnie byśmy nie wywołali.

Pytanie: — Co leży u podstaw japońskiej potęgi?

Odpowiedź: — Ludzie. Japończycy to sumienni i inteligentni robotnicy, mądrze zorganizowani i kierowani,

o stosunkowo dużym zasobie wiedzy technicznej i ogólnej. Poza tym rząd japoński odgrywa wybitną rolę kierowniczą; jednocześnie bezwzględnie odmawia on popierania tych gałęzi przemysłu i przedsiębiorstw, które pozostają w tyle za innymi... W mojej książce wysuwam twierdzenie, że Japończycy mogą z łatwością utrzymać w ciągu lat siedemdziesiątych stopę wzrostu na poziomie 10 procent rocznie, w latach osiemdziesiątych — 8 procent i ponad 6 procent w latach dziewięćdziesiątych. W ten sposób Japonia zrówna się ze Stanami Zjednoczonymi pod koniec dwudziestego wieku lub nawet wcześniej”.

Otóż to jednak nie wydaje się dzisiaj takie pewne. Nie brakuje znanych ekspertów, którzy uważają te prognozy za zbyt śmiałe. Japoński ekonomista Hidetake Sawe napisał w „Industriekurier”: „Powstaje pytanie, czy japońska gospodarka zdoła wjechać w wiek dwudziesty pierwszy jako przednia straż? Poziom intelektualny i pracowitość Japończyków na pewno nie obniżą się... Jednakże obecne przeszkody na drodze rozwoju gospodarki japońskiej są zbyt na to wielkie”. Wylicza on wiele takich przeszkód, a zwłaszcza nierównomierność rozwoju kraju, zaniedbania inwestycji publicznych i ogólnych warunków egzystencji. Uważa, że rozwój odbywał się zbyt chaotycznie, co wkrótce zacznie coraz bardziej ciążyć krajowi i może doprowadzić do zaburzeń. Użył terminu »wypaczenie wskutek wysokiego wzrostu«.

Jest w tym chyba wiele racji. Chaos urbanistyczny miast japońskich, zatrucie powietrza, które coraz częściej osiąga stan alarmowy, piętrzące się zatory komunikacyjne w tym samym tempie powiększają trudności życia, w jakim technika życie ułatwia. A może nawet prędzej... Być może zatem, niekorzystne zjawiska dające się łatwo zaobserwować w Japonii, a polegające

na tym, że jej rozwój jest nierównomierny, doprowadzą w końcu do zwolnienia tempa. Pewne oznaki tego zwolnienia pojawiły się już dziś, a są one potęgowane przez znane trudności w handlu japońsko-amerykańskim stanowiącym bądź co bądź jedną trzecią całości japońskiego handlu zagranicznego.

Cytowany już parokrotnie Robert Guillain, który do niedawna wyrażał głęboką wiarę w przyszłość Japonii i jej dalszy rozwój, napisał w sierpniu 1971 roku w „Le Monde”: „Czy... zbliża się koniec sukcesu gospodarczego? Japończycy obawiają się tego i myślą, że w każdym razie uwaga kraju powinna teraz skoncentrować się na »odwrotnej stronie cudu«. Niewątpliwie kraj będzie obecnie coraz bardziej odczuwać skutki rys, jakie pojawiły się w jego systemie, takich jak brak mieszkań, bająnskie ceny gruntu, inflacja itp. Wraz ze spadkiem koniunktury niezbędne stanie się przystąpienie do zwalczania plagi, jaką zrodziło szalone tempo wzrostu przemysłowego — stanie się to zarazem przedsięwzięciem bardziej bolesnym. Ową plagą jest zanieczyszczenie środowiska naturalnego, które objęło cały kraj. Już dziś przewiduje się, że pod koniec roku powstanie konieczność uchwalenia dodatkowych kredytów, sfinansowanych przy pomocy pożyczki, by utrzymać poziom stopy życiowej i zapewnić gospodarczy rozruch. Na dłuższą metę przywódcy japońscy położą większy nacisk na inwestycje publiczne, a odbędzie się to kosztem rozwoju interesów prywatnych”.

Wszystko to jest bez wątpienia poważnym stojącym przed Japonią problemem. Jednakże są też liczni teoretycy, którzy głoszą co innego. Uważają oni, że Japonia stworzyła w latach sześćdziesiątych takie moce przemysłowe, technologiczne, naukowe i finansowe, stworzyła je w dziedzinach najbardziej zaawansowanych, najlepiej opłacalnych, rokujących najlepsze ma-

dzieje, że teraz stoi u progu kompletnego przewrotu zarówno w dziedzinie produkcji, jak i poziomu życiowego. Uważają, że lata siedemdziesiąte przyniosą taki skok, przy którym zblednie wszystko, co widziano dotąd. Mówi się już o tym, że pod koniec lat siedemdziesiątych Japonia będzie produkować 160 milionów ton stali rocznie.

Szukając przyczyn, dla których Japonia rozwija się tak szybko, podczas gdy ich kraje rozwijają się wolniej, wielu zagranicznych ekonomistów próbowało to wytłumaczyć niskimi płacami i wyzyskiem robotników na wyspach. Jest w tym trochę racji, a w każdym razie nie trzeba być nadmiernie bystrym obserwatorem, aby spostrzec wielkie rozpiętości w japońskich płacach. Nietrudno zauważyć małe przedsiębiorstwa zatrudniające kilku pracowników zarabiających nie więcej, niż wynosi minimum życiowe, zobaczyć jeszcze mniejsze warsztaciki rodzinne, gdzie najbliżsi krewni właściciela nie dostają niemal żadnych pieniędzy, a tylko dach nad głową i skromne utrzymanie.

Pamiętam tkacza w małym warsztacie w Kioto, który bez słowa pokazał mi paznokcie u rąk na pół starte niemi jedwabiu.

A przecież i to wyjaśnienie również nie jest wystarczające. Po pierwsze: ponieważ niskie płace nigdzie i nikomu nie gwarantują sukcesu i można bez trudu wskazać wiele krajów, w których płace są nawet jeszcze niższe, a gdzie wcale z tego powodu nie osiągnięto sukcesów gospodarczych. Po drugie: ponieważ od kilku lat w Japonii notuje się szybki wzrost płac. Najszybszy w wielkim, nowoczesnym przemyśle, gdzie sięga czasem 20 procent rocznie, mniejszy w małych przedsiębiorstwach, ale i tam zarobki również rosną.

W latach 1961—1969 w przedsiębiorstwach zatrudniających ponad 40 pracowników płace wzrastały rocznie nie mniej niż o 10 procent (jest to średnia krajowa). W roku 1967 padł rekord: 13,5 procent wzrostu, a po odliczeniu ruchu cen: 9,1 procent. W latach 1957—1967 początkowa płaca absolwenta wyższej uczelni przychodzącego do przemysłu została podwojona — i to jest również średnia ogólnokrajowa.

Płace w Japonii rosną, a dający się zauważyć, po raz pierwszy w dziejach, brak rąk do pracy, zwłaszcza wykwalifikowanych, powinien sprawić, że proces ten będzie się jeszcze przyspieszał. Trzeba przy tym pamiętać o zjawisku, które ma kardynalne znaczenie: wydajność pracy w Japonii wzrastała dotąd szybciej niż płace, a obecnie dotrzymuje im kroku. O ile zapamiętałem coś z wykładów ekonomii na uniwersytecie, jest to zjawisko zdrowe i pożądane...

I trzeba również zwrócić uwagę na to, że w tych dziedzinach, w których Japończycy najsilniej konkurują z innymi krajami: w przemyśle stoczniowym, samochodowym, elektronicznym, komputerów — tam właśnie płace są najwyższe. Tak więc owe standardowe tłumaczenie, z którym tak często można się było spotkać, również nie wytrzymuje bardziej szczegółowej analizy i tłumaczy bardzo niewiele.

Jakie więc jest źródło japońskiego fenomenu? Myślę, że jest ich bardzo wiele i nikt nie potrafi wskazać, które z nich jest najważniejsze. Jest po prostu tysiąc źródeł i tak się szczęśliwie dla tego kraju złożyło, że biją w jednym kierunku. Japonia jest punktem, w którym skrzyżowało się wiele szczęśliwych przypadków i wiele pomyślnych okoliczności. Niektóre z nich wyglądały pozornie na okoliczności niekorzystne, jak na przykład

przegrana wojna, czy położenie geograficzne, brak surowców itp. A jednak i one okazały się w końcu korzystne. Dlatego też sądzę, że fenomen japoński jest zjawiskiem, którego nie można się nauczyć i przenieść na inne miejsce. Ale jest również w tym kraju wiele rzeczy, które nie są tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Mimo przegranej wojny, mimo włączenia na długie lata w orbitę amerykańskiej strategii globalnej — Japonia potrafiła zachować niepodległość polityczną i tożsamość narodową. I ma ona ludzi, którzy są jej największym skarbem. Robert Guillain napisał: „Dlaczego Japonia uzyskała sukces? Dzięki Japończykom. Dlatego, że Japończycy stanowią lud niezmiernie pracowity, ożywiony zdecydowaną wolą postępu, pasjonujący się wszystkim, co nowe, zdolnym w imię sukcesu do niezmiernie trudnej pracy, pełnej poświęceń, dyscypliny, i skromności, dla których trudno o odpowiednik na Zachodzie”.

A profesor Edwin O. Reischauer, słynny japonista, wieloletni ambasador USA w Japonii w okresie powojennym, tak pisał w „Japan Times” w 1964 roku: „Nie ma chyba drugiego kraju, w którym chęć uczenia się byłaby większa... Japończycy uważają za całkiem naturalne, kiedy chłopci — jeśli tylko mają po temu możliwość — starają się uczyć nowych i naukowych metod uprawiania ziemi; a przecież w wielu krajach bardzo trudno przekonać chłopów, by zmienili swoje stare obyczaje”.

A więc ludzie. Wykorzystali oni istniejące szanse, a od nich z kolei wzięto całą ich energię, wykorzystano inicjatywę, zdolności twórcze, dano możliwość skutecznej pracy. Bo przecież ludzie, bez względu na to, gdzie się urodzili i jaki mają kolor skóry, kochają się w sku-

tecznej, przynoszącej wyniki pracy. W Japonii nie marnuje się ludzkiej energii i inicjatywy.

Reporterów wysyła się w dalekie kraje, aby rzetelnie opisali, jak tam jest, jak ludzie żyją, pracują, co myślą. Taka jest treść listu przewodniego wręczanego reporterom.

Ale to nie wystarcza. Zawsze patrzy się na obcy kraj, a widzi własny, patrzy na górę Fudzi, a widzi pola na Mazowszu. Tak było i ze mną — i tak starałem się napisać ten reportaż. Nie wiem, czy z przykładu Japonii wynikają dla nas jakieś wnioski. Żyjemy w innej części świata i w całkiem różnej sytuacji geograficznej, politycznej i społecznej. Jest bardzo prawdopodobne, że — z wyjątkiem rozwiązań czysto technicznych — niewiele tylko wzorów moglibyśmy przenieść z Japonii do Polski. Ale są tam na pewno sprawy, nad którymi powinniśmy się głęboko zastanowić. Ot, choćby na przykład nad japońskim podejściem do oświaty, nad wysiłkiem włożonym w rozwój kultury i nad wynikami, jakie to dało w gospodarce. Albo nad japońską chłonnością na wszystko, co nowe, nad pragmatycznym do tego stosunkiem, nad umiejętnością zastosowania z pożytkiem dla własnego kraju rzeczy wymyślonych gdzie indziej. Nad łącznością, jaką Japonia, z pożytkiem dla siebie, utrzymuje z całym otaczającym ją światem.

Dlatego nazwałem podróż do Japonii „wizytą w Komputopii”? Jest w tym pewna przesada, ale mimo wszystko chwilami wydaje się, jakby ten niecodzienny kraj po trosze stawał się na naszych oczach utopią obliczoną i opracowaną przez komputery na podobieństwo tych, które na Wystawie Światowej w Osa-

ce komponowały sztuczne symfonie, tworzyły wyczarowane ze światła obrazy, przenosiły nas w dowolną epokę, projektowały przyszłość. Jednakże owa utopia rozwija się naprawdę, a to, co w niej najważniejsze, zależy nie od maszyn, ale od ludzi — jak wszędzie.

Kiedy dwukrotnie przejeżdżałem pociągiem u stóp góry Fudzi, nie zdołałem jej jednak zobaczyć. Potężny opar ciągnący się od gigantycznych metropolii na wybrzeżu Pacyfiku: Tokio, Kawasaki, Jokohamy aż po Nagoja, Osakę i Kobe przysłaniał Fudzi gęstymi chmurami. Wyglądało, jakby Japonia ukryła swą największą świętość płaszczem dymów przemysłowych.

## Zdumienie i groza:

---

### Złoty Bengal

#### — śmierć w promieniach słońca

Oto relacja o wszystkim, co zobaczyłem na własne oczy w pierwszych dniach lipca 1971 roku na wschód od Kalkuty.

Wyjeżdżaliśmy z miasta długo i z trudem i nie tylko dlatego, że drogę tarasowały nam snujące się środkiem jezdni krowy, rowerzyści, ciągnięte przez kulisów rik-sze, ciężarówki, ale i dlatego, że na głównej ulicy wyjazdowej, tuż przed naszym przybyciem, terroryści rzucili bombę i policja zamknęła ruch. Jechaliśmy więc bocznymi uliczkami wśród niewiarygodnych domów z mnóstwem balkoników, podcieni, krużganków, zasłon i żaluzji, domów białych i żółtych z zielonymi okiennicami, kolorowych, ale tak zniszczonych, że po barwach zostało już tylko wspomnienie. Ścigały nas gwałtowne zapachy, było duszno i parno, wiele ludzi jeszcze nie wstało, to jest nie podnieśli się z chodników, na których spędzali noc. W jednym miejscu przejeżdżaliśmy koło pralni, to znaczy była tam łąka między domami, zawieszona wzdłuż i w szereg suszącymi się spodniami i koszulami. Trwał nieustanny zgiełk, krzyki, trąbienie samochodów, krakanie kruków czy wron. Chwilami utykaliśmy w szczególnie złośliwych zatorach, jacyś ludzie biegli, krzyczeli, trwały jakieś kłótnie, inni leżeli z boku obojętni na wszystko, a mnie przebiegało przez myśl pytanie, czy terroryści, zwani naksalitami, oficjalnie

uznający się za maoistów, w rzeczywistości zwalczający się głównie między sobą, otóż, czy ci terroryści porywają czasem dziennikarzy z Europy czy też nie.

Wstawał normalny dzień Kalkuty, która jest największym miastem Indii, jednym z największym miast na świecie, a za kilkanaście lat, jak twierdzą, obejmie światowe przewodnictwo pod względem liczby mieszkańców. Dziś jest tam pół miliona bezrobotnych i podobno około ośmiuset tysięcy bezdomnych. Bezdomnych jest więcej niż bezrobotnych, ale to tutaj normalne. Wyjeżdżaliśmy na wschód, w stronę granicy z Pakistanem. Po drodze kupiłem egzemplarz jednego z ukazujących się w Kalkucie dzienników w języku angielskim. Był tam rysunek przedstawiający dwóch rozmawiających ludzi. Podpis głosił: „Świat nic nie powiedział na to, co się dzieje w Pakistanie Wschodnim”. I odpowiedź: „Nieprawda. Niektórzy powiedzieli: ho, ho!”

Już na przedmieściach spotykamy pierwszych ludzi idących stamtąd. Idą powoli, niektórzy niosą na głowach worki z dobytkiem, inni ciężko wloką się bez żadnego ładunku. Idą tak już od wielu dni, obdarci, półnaczy, brudni. Widzę piękną dziewczynę niosącą małe dziecko. Idzie nie widząc nikogo, sari zsunęło jej się z piersi, ale nie zauważa tego.

Najdalej wysunięte obozy dla uchodźców z Pakistanu Wschodniego otaczają już kalkuckie lotnisko międzynarodowe. O kilkaset metrów od stojących na płycie odrzutowców wielkich światowych linii lotniczych rozciąga się na polu pierwszy obóz. Długie, kilkudziesięciometrowe szalasy, rusztowania z drągów, a na nich rozpięte szmaty. Ścian nie ma, jest tylko dach, zamiast podłogi udeptana glina. W każdym szałasie gnieździ się kilkanaście rodzin. Siedzą lub leżą, palą ogniska, kobiety piorą szmaty w pobliskiej gliniance. Pośrodku obozu punkt rozdawania żywności, stoi przed nim długa

kolejka, dwa, może trzy tysiące ludzi. Stoją cierpliwie, w milczeniu.

Nie zatrzymując się jechaliśmy dalej. Teraz już w każdej mijanej miejscowości, co kilka kilometrów, spotykaliśmy pola świeżo ustawionych szałasów, a także ludzi koczujących przy drogach, pod drzewami, w ogrodach. Na werandzie jakiegoś domu zobaczyłem leżącą pokotem na ziemi rodzinę: długowłosego mężczyznę, coś w rodzaju świętego hinduskiego, starą kobietę, młodą dziewczynę, dwoje dzieci. Leżeli przykryci workami, obok stało kilka siatek z nie rozpakowanymi rzeczami. Był w tym cały ich dobytek, licząc na oko nie więcej niż dziesięć kilo.

Zaczął padać deszcz. W oka mgnieniu z nieba poczęły walić strugi wody, zalewając szyby w samochodzie, zamieniając szosę w płynący potok. Była pora monsunu, kilka razy dziennie, a również w nocy, przetaczały się nad Bengalem ulewy, które pokrywały większość pól lustrem stojącej wody. Naokoło panoszyła się rozszalała zieleń. To był przecież Bengal, ten z literatury, Bengal dżungli, tygrysów, słoni, maharadzów. W rzeczywistości Bengal uchodźców, szałasów, nędzy i cholery.

Minęliśmy szkołę, pod którą mokła długa kolejka ludzi czekających na przydział ryżu. Wielu było półnagich, inni przykrywali się parasolami lub trzymali nad głowami szmaty. O pół kilometra dalej widniała tablica z napisem „Diecezja Barrackpure” i znowu była tam taka sama kolejka. Drogą, mimo deszczu, wciąż szedł długi, nie kończący się rząd ludzki, ludzki wąż dźwigający worki, siatki, koszyki, w nich jakieś garnki, dzbanki, zawiniątka. Pod każdym drzewem przy drodze gromadka chroniących się przed deszczem. A drzewa były wspaniałe, potężne, z ogromnymi pniami i konarami, jak u najpotężniejszych dębów. Dobrze przynajmniej,

że rosną tam te drzewa. W którymś miejscu zgromadził się tłum większy niż gdzie indziej. Zwolniliśmy i powiedziano nam przez uchylone okno, że przy drodze umiera dziewczyna. Rzeczywiście, tuż nad rowem leżała mała, skulona postać, ale nie można było na to nic poradzić.

Znowu przy drodze ciągnęły się długie rzędy szalasów: z liści palmowych, ze szmat, z kawałków blachy. Ci ludzie nie czekali na namioty z Europy. Deszcz monsunowy padał im na głowę już teraz, w tej chwili, a nie za miesiąc czy dwa, kiedy odpowiednie komitety miały podjąć odpowiednie uchwały. Znowu wieś po brzegi wypełniona siedzącymi i leżącymi ludźmi, obok nich worki, sagany, amfory i garnki. Liczni nie mieli przy sobie niczego. Deszcz przestał padać tak nagle, jak zaczął, ale naokoło nadal szorowała strumieniami woda. I znowu wieś, tak samo jak poprzednia — i jak następne — wypełniona siedzącymi ludźmi. Pełno ich, coraz więcej, głowa przy głowie. Kolejka po żywność, punkt szczepień przeciw cholerze, transparent z napisem „Ósrodek pomocy dla Bangla Desz”. Teraz coraz częściej widać było takie transparenty, ale też droga szła coraz więcej ludzi, nie kończąca się ludzka taśma. Nagle ujrzałem zgiętą we dwoje, pewnie połamaną przez reumatyzm starą kobietę wspartą na kiju i posuwającą się krok za krokiem, prowadzoną przez dziesięcioletniego może chłopca. Zobaczyłem mężczyznę idącego przed siebie z przewieszonym przez ramię półrocznym chyba dzieckiem. Jakaś stosunkowo dobrze ubrana kobieta siedziała przy drodze zasłaniając sobie rękami twarz.

Wieś, tablica z napisem: „Granica pakistańska — 4 mile”. Zatrzymaliśmy się. Tam też był obóz, ale tak przepełniony, że nikogo już nie przyjmował. W mgnieniu oka otoczył nas zbity tłum ludzi. Niczego nie chcieli,

o nic nie prosili, pokazywali tylko kartki papieru, na których hinduskie władze graniczne zarejestrowały ich przybycie, co uprawniało do otrzymania żywności. Obejrzałem pięćdziesiąt, a może sto takich kartek. Daty dzisiejsze, wczorajsze i przedwczorajsze. To ruszyła nowa fala, tym razem z głębi Pakistanu Wschodniego. Niektórzy szli do granicy dziesięć, nawet dwanaście dni. Na kartkach było zanotowane nazwisko głowy rodziny, liczba osób, data przekroczenia granicy. Wielu miało już świadectwo szczepienia przeciw cholerze. Staliśmy tak ściśnięci, że nie można się było poruszyć. Straszny zaduch, rozpaczliwe twarze.

Dalej, co kilkaset metrów, zawieszono na drzewach napisy: „Relief Team” — Drużyna Niosąca Pomoc. Wjechaliśmy do miasta Bongaon. Tłok był taki, że główną drogą nie można się było przecisnąć i policjant skierował nas na boczną. Jak ckiem sięgnąć, na ulicach i w ogrodach siedzieli ludzie. Myślę, że w samym tylko Bongaon widziałem osiemdziesiąt, może sto tysięcy uchodźców, ale zagadnięci Hindusi twierdzili, że więcej, że ćwierć miliona. Być może, bo czułem, że tracę wszelką możliwość oceny.

Punkt szczepień przeciwko ospie i cholerze. Tłum przed małym budynkiem. Wszedłem do środka. Pracowało tam czterech młodych ludzi o twarzach szarych ze zmęczenia. Byli ochotnikami, przyjeżdżali codziennie około szóstej rano, odjeżdżali, gdy zapadł zmrok. Ile szczepień dziennie? Zaraz, tu gdzieś powinny być wczorajsze notatki, proszę zaczekać, o już są. Wczoraj było 1278 szczepień przeciw ospie i 1239 przeciwko cholerze. Dziś będzie tyle samo, może więcej. Dzisiaj szczepią radziecką szczepionką przeciw ospie i egipską przeciw cholerze. Bywają też lekarstwa brytyjskie, szwajcarskie, amerykańskie. Nie, nie ma czasu na dezynfekowanie igieł.

Pojechaliliśmy dalej. Na poboczach szli ludzie. Szli, szli, szli, szli... Ani ja, ani oni, ani nikt nie wiedział, jak długo będą szli i czy gdziekolwiek dojdą. Obozy przy granicy były przepełnione ponad ludzkie wyobrażenie, musieli więc iść w głąb kraju. Znów ujrzałem przy drodze piękną kobietę, która długo patrzyła za naszym samochodem. Nie wiem, czemu przypomniała mi się „Maria” Borowskiego. Niezwykłego wysiłku było trzeba, by patrząc na tę poruszającą się ludzką masę, na ten straszliwy exodus, nie zubożnąć, nie przemienić się w chłodnego statystyka, pamiętać, że wśród tych tysięcy ludzi każdy pojedynczy człowiek przeżywa tragedię, że jest tu nieskończona ilość trwogi, obawy, smutku.

A ja byłem naocznym świadkiem tego kataklizmu, największej chyba od czasu drugiej wojny światowej klęski, tej sytuacji biblijnej i ostatecznej. Tam nie było pomyłki, tych ludzi nikt nie wymyślił, oni szli drogami Bengalu Zachodniego. Poprzedniego dnia podano mi oficjalne liczby: sześć milionów czterysta tysięcy uchodźców zarejestrowanych, wielu nie zarejestrowanych, ponieważ udali się do krewnych czy znajomych i nie korzystają z pomocy. Władze liczą się z tym, że ostateczna liczba sięgnie dziesięciu milionów.

Miejscowość Boyra. Rzeka — to granica. Z tej strony w rzece kąpią się kobiety w sari, z drugiej strony cisza i pustka. Ludzie mówią mi, że wczoraj była tu strzelanina. O, tam, po drugiej stronie, o jakieś osiemset metrów stoi ukryty w drzewach budynek — to posterunek pakistański. W dzień nikt tu nie przekracza granicy, ludzie idą w nocy. Podchodzi do mnie człowiek mówiący po angielsku, opowiada, że przepłynął rzekę dziś w nocy, przez całą noc przeprawiano się łodziami. On sam siedzi przedtem dziesięć dni ku granicy. Strzelano do niego, ale nie trafiono. Jeszcze nie zdążył się zarejestro-

wać, ale dostał już posiłek. Przyglądam się mu — to mocny, surowy mężczyzna, nie zdradza objawów paniki, nie rzuciłby domu z byle powodu. Inteligentna twarz, duża broda.

Kiedy ja leciałem z Warszawy, zgubiłem po drodze bagaż, zwiedzałem Delhi, przysłuchiwałem się debacie parlamentarnej na temat Bangla Desz, rozmawiałem z hinduskimi ministrami, potem leciałem do Kalkuty, nocowałem w znakomitych hotelach, pocilem się w obcym mi klimacie — on szedł. Był obrabowany, strzelano za nim. Spotkaliśmy się na granicy, nad rzeką, opowiedział o swoich przejściach, spojrzeliśmy sobie w oczy. Powiedzieliśmy sobie: „good luck!”

Co to znaczy? I czy ma jakiegokolwiek znaczenie? Nie wiem, ale opiszę w dalszym ciągu wszystko, co widziałem, opowiem o szpitalach, gdzie leżą pacjenci chorzy na cholere, opowiem o nieprzytomnych dzieciach przynoszonych do lekarzy, o ludziach, którzy giną, i tych, co starają się ich ratować. Trzeba to wszystko opisać — to jedyne, co mogę zrobić.

— Po północy, bez ostrzeżenia, kiedy ludzie spali, diabeł został wypuszczony.

W ciszy późnego wieczoru, w jednym z domów w centrum Kalkuty padały ciężkie słowa. Do domu trudno się dostać, w bramie w dzień i w nocy czuwają młodzi ludzie o energicznym wyglądzie. Mieści się tutaj misja Bangla Desz w Indiach. Rozmawiałem z jej przewodniczącym, panem Hosainem Ali, byłym wysokim komisarzem Pakistanu w Indiach. To on właśnie użył dramatycznego porównania o diable, którego wypuszczono po północy. Jak to się stało?

— Dwudziestego piątego marca oddziały wojska z zachodniego Pakistanu poszły na uniwersytet w

Dacke i do domów akademickich. Wyprowadzili na dwór wszystkich studentów i zabijali ich na miejscu. Chowali w masowych grobach, które kazali kopać innym studentom, a ich następnie też zabijali. Natomiast dziewczęta zabrali ze sobą do koszar, gdzie większość zabił w następnych dniach. Jednocześnie inne oddziały zaatakowały koszary policji i pułku Strzelców Wschodniopakistańskich, bo wiadomo było, że te jednostki składają się z Bengalczyków i rząd zachodniopakistański nie może na nie liczyć. W istocie stawiały one zdecydowany opór, ale przewaga liczebna i techniczna była po stronie atakujących, a ponadto obrońcom wkrótce zabrakło amunicji. Wielu policjantów i żołnierzy bengalskich zdołało jednak przebić się przez kordon i ujść z miasta do partyzantki.

Skończywszy ze studentami, wojsko ruszyło do mieszkań profesorów, prawników, dziennikarzy, zwłaszcza zaś przywódców i działaczy Ligi Awami. Kto z nich nocował w domu, został zamordowany. Po inteligencji przyszła kolej na miejską biedotę. Armia przystąpiła do niszczenia slumsów, tak zwanych „shanty towns” (dzielnice chat), okalających Dakkę szalasów. Jak zwykle w takich miejscach żyły tam ogromne, nieraz kilkudziesięcioosobowe rodziny. Ludzi zabijano, zaś w domach wzniecano ogień. Była to noc grozy, przerażenia i zbrodni. W następnych dniach podobne sceny powtórzyły się w innych miastach, a potem i w mniejszych miejscowościach.

Opowiadający mówił o tym z trudem, unosił się, używał najmocniejszych określeń. Powiedziałem Hosainowi Ali, że ludziom w Polsce, a nawet mnie samemu, trudno zrozumieć, jak to możliwe, że siedem czy osiem milionów ludzi rzuciło swoje domy, swoją ziemię, swoje warsztaty pracy i udało się na tułaczkę; wiadomo przecież, jak trudno oderwać chłopca od jego ziemi,

a wśród tych siedmiu milionów pochodzących z zaco-  
fanego rolniczego kraju ogromna większość to nie  
prawnicy ani studenci, ani kupcy, czy nawet robotni-  
cy — lecz właśnie chłopci. Po drugie, że niełatwo nam  
zrozumieć, w jaki sposób nieliczne, składające się z za-  
ledwie siedemdziesięciu tysięcy ludzi, oddziały wojsko-  
we mogły do tego stopnia sterroryzować kraj liczący  
siedemdziesiąt milionów mieszkańców, gdzie siedem-  
dziesiąt dwa procent wyborców poparło program Ligi  
Awami, a jednak nie umiano stawić nielicznej armii  
skutecznego oporu. I wreszcie: że Liga dała się tak za-  
skoczyć, że nie przewidziała biegu wydarzeń i nie przy-  
gotowała się doń.

Odpowiedź na te pytania jest trudna, ale Hosain Ali  
nie unikał stawienia im czoła. To, co mi powiedział,  
można streścić w sposób następujący. Nikt nie mógł  
przewidzieć, że własna armia, we własnym kraju (bo  
przecież Bengal Wschodni był, przynajmniej teoretycz-  
nie, równoprawną częścią Pakistanu, chociaż istniała  
dotkliwa dyskryminacja gospodarcza i polityczna), wy-  
ruszy do akcji z taką zaciekłością. Konsekwencja,  
z jaką przeprowadzono akcję, zaskoczyła wszystkich  
i wszystkich też w pierwszym okresie dosłownie pora-  
ziła.

— Przyzna pan — powiedział — że nikt nie ocze-  
kuje po swoich wojskach czegoś takiego. Co innego,  
gdyby kraj napadł wróg, ale żeby prezydent wydał taki  
rozkaz...

Ludzie początkowo nie mogli po prostu uwierzyć w  
to, co się działo, dlatego wojsko mogło przerzucać się  
z miasta do miasta i kontynuować likwidację wszyst-  
kich, którzy mogli podjąć się organizacji oporu. W koń-  
cu ludzie uwierzyli, że armia chce naprawdę wymor-  
dować wszystkich Bengalczyków. Wtedy zaczęli  
uciekać.

Liga Awami niewątpliwie dała się zaskoczyć. Uważano po prostu, że gra toczy się w konwencji wyborów, miejsc w parlamencie, rokowań z prezydentem i przywódcami innych partii. Wszak sam prezydent Yahia Khan mówił w pewnej chwili o przywódcy Awami, szejku Rahmanie, jako o przyszłym premierze całego Pakistanu. Sam szejek, chociaż ostrzeżony w ostatniej chwili, że szykuje się coś złego, odmówił ukrycia się. Powiedział:

— Jestem przywódcą siedemdziesięciu pięciu milionów. Nie będę się ukrywał. Jeśli mnie zabiją, uzyskacie niepodległość wcześniej.

Odmówił też ogłoszenia secesji Pakistanu Wschodniego. Nie chciał rozbijać państwa. Liga nie przygotowywała akcji zbrojnej ani nie miała organizacji oporu. Teraz jest już inaczej.

Wielki ciężar spadł na Indie, a przecież ten kraj ma dosyć własnych problemów. Jaki wpływ na gospodarkę i przyszłe plany indyjskie będzie miała ta klęska żywiołowa, którą stał się napływ milionów głodnych ludzi? Zadałem to pytanie ministrowi planowania centralnego rządu Indii, Subramaniamowi. Sześćdziesięcioletni minister, wybitny działacz partii Kongresu, zaufany współpracownik Indiry Gandhi, dwukrotny więzień angielski, wielokrotny minister i autor licznych książek dotyczących gospodarki Indii, wreszcie członek zarządów słynnych międzynarodowych ośrodków badania i rozwoju nowych upraw rolniczych w Meksyku i w Manili — wygląda tak właśnie, jak sobie zawsze wyobrażałem hinduskich przywódców. Siedział w swoim gabinecie ze skrzyżowanymi nogami na kanapie, boso, w długiej, białej koszuli dhoti. Mówił cicho,

z namysłem, doskonałą angielszczyzną. Oto streszczenie tego, co mi powiedział.

Konieczność przyścia z pomocą rzeszy uchodźców zmniejsza i tak już zbyt szczupłe zasoby Indii. Jeżeli istniejąca sytuacja będzie się przeciągać, wpłynie to na realizację bieżącego, czwartego planu gospodarczego, obejmującego lata 1969—74. Pomoc zagraniczna, jak dotąd, nie pokrywa nawet dziesiątej części kosztów. Mówiąc o pomocy nie należy zresztą popełniać omyłki. To nie jest pomoc dla Indii, lecz dla Pakistanu, bo to są jego obywatele. Dla Indii cała ta sprawa nie jest tylko problemem finansowym. Jest to również kwestia dezorganizacji życia w stanach graniczących z Pakistanem Wschodnim, zwłaszcza zaś w Bengalu Zachodnim, gdzie istnieje poważne bezrobocie. Klęska wpłynęła w tych stanach szkodliwie na funkcjonowanie służby zdrowia, oświaty, transportu, co grozi z kolei zdezorganizowaniem produkcji. Rodzi się z tego poważny problem społeczny i polityczny.

Zapytałem ministra Subramaniam, co sądzi o książce szwedzkiego ekonomisty i socjologa Gunnara Myrdala pt. „Dramat Azji: analiza ubóstwa narodów”. Książka słynnego Szweda jest bogato udokumentowanym, lecz bardzo ponurym obrazem piętrzących się przed krajami azjatyckimi problemów. Myrdal dochodzi w niej do wniosku, że z powodu różnorodnych przyczyn dla krajów tych nie ma właściwie nadziei, chyba że nastąpiłby cud w postaci ogólnoświatowego połączenia wysiłków dla zwalczenia nędzy i zacofania.

Minister znał książkę od chwili jej narodzenia, dyskutował z autorem o poszczególnych rozdziałach jeszcze przed jej opublikowaniem. Ale nie zgadza się z jej wnioskami. Przede wszystkim dlatego, że w ostatnich latach kraje azjatyckie osiągnęły szybszy postęp, niż wynikało z myrdalowskiej analizy. W wielu rejonach

nastąpiła tak zwana „zielona rewolucja”, dzięki której przyrost produkcji żywnościowej jest szybszy niż przyrost ludności. Tak jest właśnie w Indiach. W tym momencie minister wskazał wiszące na ścianie wykresy. Ukazywały one postępy w produkcji żywności osiągnięte przez Indie w ostatnich latach. Dane te były już opublikowane i stanowią promyk nadziei na tym pogrążonym w ciężkich kłopotach kontynencie. Po drugie... zdaniem ministra Myrdal dopatruje się przyczyn azjatyckiego zacofania w pewnych genetycznych obciążeniach mieszkańców kontynentu, wynikających głównie z klimatu.

— Tu są ludzie niedożywieni — powiedział minister — ale nie ma tu niższości genetycznej. Dziecko, które już w łonie matki było niedożywione — jest słabsze. Jest to odbiciem nędzy. U nas dzieci w wieku do sześciu lat nie dostają dość pożywienia i to odbija się na ich późniejszej zdolności do pracy, bo właśnie ten wczesny okres ich życia jest decydujący. Gdybyśmy mogli zapewnić im lepsze pożywienie, byłibyśmy fizycznie i umysłowo równi innym narodom. Świadczy o tym przykład dzieci z rodzin zamożniejszych. W świecie istnieje nierówny poziom dochodu narodowego, ale świat nie jest podzielony genetycznie. Najlepszym przykładem jest Japonia.

Wyszedłem po tej rozmowie głęboko poruszony. Na Indie, których nigdy nie oszczędzały klęski żywiołowe, spadła teraz klęska innego pochodzenia, choć o nie mniej groźnych skutkach. Wywołana nie przez suszę ani huragany, tylko przez wydarzenia w innym państwie. Stało się to w chwili, gdy przyszłość wydawała się nabierać cieplejszych blasków.

•

Miejscowość Taky, tuż przy granicy pakistańskiej. Godzina dziewiąta trzydzieści, dzień 2 lipca 1971 roku. Duża sala miejscowego szpitala, rzędy łóżek, wszystkie zajęte. Na pierwszym łóżku przy drzwiach pięcio-, a może sześciolatek. Lekarz, doktor Ray, wskazuje mi ruchem głowy małego pacjenta i mówi półgłosem:

— Cholera. Tam dalej też...

Podchodzę do łóżka. Chłopiec leży na boku, ma oczy otwarte, jest przytomny, patrzy na mnie. Usiłuję pokrępiąco uśmiechnąć się do niego, ale nie bardzo mi to wychodzi. W rękę dziecka jest wbita igła, nad jego głową zawieszona butelka z fizjologicznym roztworem soli. Ta butelka to nieodzowny i najpewniejszy sposób ratowania chorych na cholere, chociaż trudno, oczywiście, mówić o jakiegokolwiek pewności.

— Przyniesiono tego chłopca dziś o pół do ósmej. Był nieprzytomny — mówi lekarz. — Być może uda się go jednak uratować.

Na sąsiednim łóżku inne dziecko, bez przytomności, ale widać, że jeszcze żyje, oddycha. W nogach łóżka skulona postać dorosłego mężczyzny, który nie jest chory.

— Tu taki zwyczaj — tłumaczy doktor. — Zawsze chorym opiekuje się ktoś z rodziny. Czy to niebezpieczne? Tak, ale są szczepieni. Jeżeli nie byli zarażeni już przedtem, to się uratują.

Na wszystkich łóżkach widać po dwie postacie: chorego i zdrowego. Być może jutro zdrowy zajmie miejsce chorego, jego zaś miejsce zajmie ktoś inny z rodziny, oczywiście, o ile jest jeszcze jakaś rodzina.

Oficjalne dane w dniu 5 lipca brzmiały: dotąd zanotowano w Bengalu Zachodnim 29 574 przypadki zachorowań na cholere. Cztery tysiące dwustu trzydziestu ośmiu chorych zmarło. Komunikat przyznawał, że

mogły też być przypadki nie zarejestrowanych śmierci. W tym momencie wydawało się, że epidemia została przyhamowana, ołbrzymi wysiłkiem indyjskich lekarzy, personelu medycznego, ochotników pracujących na punktach szczepień przyniósł wreszcie rezultaty. Niestety, w następnych dniach epidemia wybuchła z nową siłą. Już szóstego lipca zanotowano ponad trzysta pięćdziesiąt zgonów.

Doktor Ray ze szpitala w Taky powiedział mi:

— Musieliśmy pracować właściwie bez przerwy. Nie mogliśmy w ogóle wyjść ze szpitala. Mieliliśmy dwa tysiące jedenaście przypadków cholery. Stu dwudziestu trzech pacjentów zmarło. Bywało, że dziennie przyjmowaliśmy do dziewięćdziesięciu chorych. Teraz jest lepiej, wczoraj było ich tylko siedmiu.

Było to powiedziane w dniu 2 lipca. Niestety, w następnych dniach sprawy znowu przybrały zły obrót. Doktorowi Ray pewnie znów trudno było opuścić szpital, choćby na kilka godzin.

Oto inny szpital, położony o kilka kilometrów od lotniska w Kalkucie, dokąd dotarły już fale uchodźców, a wraz z nimi zaraza. Wielki napis głosi: „War on Want Field Hospital”. (Wojna Nędzy — Szpital Polowy). Wojna Nędzy — to brytyjska organizacja charytatywna. Trudno sobie rzeczywiście wyobrazić szpital bardziej polowy niż ten. Na przestrzeni oczyszczonej z krzaków przez uczniów kalkuckich szkół widać kilka brezentowych dachów rozpiętych na rusztowaniach z drągów. Nie ma ścian ani podłogi. Pod dachami rzędy składanych wojskowych łóżek. Zamiast prześcieradeł — plastyk, który łatwo zmywać. Pod nogami wysuszona gлина, ale każdy sprzęt aż świeci czystością. Jest tutaj czterech lekarzy Anglików, sześć pielęgniarek, również z Wielkiej Brytanii, prócz tego dwóch hinduskich lekarzy z Kalkuty. Poprzedniego dnia szpital przyjął czte-

rystu pacjentów. Niektórzy po zabiegach wrócili do obozów, ale były też ciężkie przypadki. Lekarka Rene James, z Londynu, pokazuje mi małego chłopca biegnącego wokół studni — trzy dni temu przyniesiono go z obozu nieprzytomnego. We wszystkich sąsiednich obozach, wraz z uchodźcami, gnieździ się cholera. Prócz tego wiele innych chorób, a zwłaszcza biegunka i dyzenteria.

W ukrytym pod drzewami najbardziej polowym szpitalu ze wszystkich, jakie widziałem, panuje cisza i jakiś nieuchwytny, lecz wzbudzający zaufanie nastrój pewności siebie. Byłem przekonany, że wynika to z wielkiej rutyny brytyjskiej ekipy, która brała już udział w niejednej takiej akcji. Ale nie, wszyscy ci lekarze znaleźli się w takich warunkach po raz pierwszy w życiu.

Cisza... To dziwne. Nie wiem, czemu dźwięk słów „cholera” i „epidemia” sprawia, że człowiek spodziewa się grzmotów, czegoś jak wystrzały, a może bicia w dzwony. Tymczasem jest cisza, tylko w szpitalach rosną statystyki. Choroby nie widać ani nie słychać. Czasem tylko ktoś nagle zasłabnie przy drodze, kogoś wyniosą z obozowego szałasu, rozlegnie się czasem płacz. Jest cisza i nieprzytomni ludzie na szpitalnych łózkach, zmordowani ludzie ze strzykawkami w rękach.

Punkt szczytu w Hasanabad, niedaleko granicy. Ciemna izba, sześciu młodych chłopców — ochotników, którzy przyjechali tu z Delhi. Nikt nie mówi zbędnych słów, przed stołem przesuwają się milcząca kolejka ludzi, którzy jeszcze nie są odporni na zarazę. Od świtu do zmroku trwa nieprzerwana procesja. Kieruje ją procesją i całą akcją ratowniczą w Hasanabad stary, siwy, przeraźliwie wychudzony człowiek, w którego oczach pali się coś szalonego. Nazywa się Bimal Kriszna Basz. Jest również uchodźcą, przyszedł tu z Pakistanu

Wschodniego. Jest lekarzem, zostawił dom, narzędzia, lekarstwa, wszystko, uratował natomiast rodzinę. Teraz opiekuje się tutaj takimi samymi jak on, tylko że bardziej jeszcze bezradnymi. O sobie mówić nie chce, informuje mnie tylko, że został bardzo pobity.

— Niech pan zanotuje — dodaje — że potrzeba nam chloromycetyny, terramycyny, tetracykliny, a także wszelkiego rodzaju witamin. Niech pan to dokładnie zanotuje.

Notuję. Notuję wszystko bardzo dokładnie, choć nie wiem, czy przyniesie to jakąś korzyść pacjentom w Hasanabad. To po prostu mój obowiązek, panie doktorze Basz. Zwyczajny obowiązek, nic więcej.

Cofnijmy się o cztery dni, zmieńmy scenerię, uczynmy tak, bo chodzi o to, abyśmy tu, nad Wisłą, dobrze zrozumieli, co dzieje się tam, nad Gangesem. Trzeba zrozumieć, bo przecież chyba to nie frazes, że los ludzki jest wspólny.

Mam możliwość przyjrzenia się i przysłuchania debacie w indyjskim parlamencie na temat problemu uchodźców, polityki rządu wobec Pakistanu, stosunku do Bangla Desz (Wolnego Bengal). Wspaniała, okrągła sala w kolorach ciemnego drzewa i kości słoniowej. Posłowie w amfiteatralnych ławach, strojów europejskich prawie nie widać, białe szaty do ziemi, trochę zawojów, dużo charakterystycznych białych furazerek, takich, jakie nosił Nehru. Na galerii sporo publiczności, wśród niej jedna zupełnie bajkowa postać: stary człowiek w turbanie, wspaniała broda i nieruchome oczy. Wszyscy ogromnie skupieni i poważni. Trzeba pamiętać, że to parlament drugiego, co do liczebności, narodu na świecie. Po prawej stronie siwy starzec z wielką brodą i charakterystycznym dla Sikhów za-

woju na głowie: minister spraw zagranicznych Republiki Indii, Swaran Singh. Obok niego kobieta: biała bluzka, srebrno-brunatne sari. Zamyślona trzyma w rękę okulary, czasem przygryza końce oprawki. To premier pięćset pięćdziesięciomilionowego kraju.

Rząd jest ostro atakowany przez opozycję, zarówno z lewa, jak i z prawa. Zarzuty można ująć w dwie kategorie. Po pierwsze, że podróż ministra Singha do stolic obcych mocarstw, mająca na celu nakłonienie ich do wywarcia nacisku na Pakistan, nie dała żadnych rezultatów, a co gorsza, rząd amerykański po prostu okpił ministra, składając mu przyrzeczenie, że pomoc wojskowa dla Pakistanu zostanie wstrzymana, podczas gdy w tym samym czasie ekspediowano amerykańskie statki z bronią. Po drugie, że rząd nie podjął żadnej zdecydowanej akcji, która by mogła zapewnić rozwiązanie problemu uchodźców, powstrzymać napływ nowych, umożliwić powrót do domu tym, którzy schronili się w Indiach.

Padają bardzo ostre sformułowania. Posłowie przemawiają po angielsku, jako że to jedyny język rozpowszechniony we wszystkich częściach tego ogromnego kraju. Próby zastąpienia go językiem hindi nie dały dotąd rezultatów. Nikt nie czyta przemówień z kartki, wszyscy mówią wprost, posługując się skrótami, metaforami, przenośnią. Któryś z posłów powiada: „demonstracja jest wtedy, gdy argumenty ścierają się wprawdzie w sposób bezlitosny, ale gdy mimo to wszyscy pozostają przy życiu”.

Zapoznawszy się z głównym kierunkiem ataku opozycji, pani Gandhi wstaje i opuszcza salę. Odpowiadać będzie minister spraw zagranicznych. Nie ma on łatwego zadania, bo prawda jest taka, że rząd niewiele może uczynić, by zażegnać katastrofalny bieg wypadków. Łatwo go więc atakować. Minister stara się przemawiać

swobodnie, unikając zbyt wiążących i jednoznacznych sformułowań. Rząd musi być nadzwyczaj ostrożny, zbyt wielka odpowiedzialność spoczywa na ministrach tej przeogromnej republiki.

Biegą godziny, biegą dni i tygodnie. Staje się całkiem jasne, że dyplomacja nie rozwiąże tego straszego węzła.

Wróćmy więc do miejsc, gdzie się rozgrywa dramat. Stąd do granicy z Pakistanem kilka zaledwie kilometrów. Niesamowita miejscowość o nazwie: Hasanabad. Dlaczego właściwie niesamowita? Taka, jakich w Bengalu tysiące: trzcinowe chałupy, trzcinowe dachy, autobus, leżące wokoło sterty drewna, koza wyjada wnętrze wielkiego arbuza, riksze, warsztaty rzemieślnicze, kilka zakładów obróbki trzciny, sklepiki, stacja benzynowa „Indianoil”. Po małym, szczelnie naokoło zabudowanym chałupami rynku przechadza się stara żebraczka. Duszno, zachmurzone niebo, za wsią pełno rozlewisk wody na polach. Zapach trociczek, nawozu, udeptanej gliny.

Za wsią wysoka skarpa, niżej rzeka Ichamoti: wielka, bura, widać dwie łodzie i statek. Za tą rzeką zaczyna się bengalskie dżungle. Z tamtej strony wciąż przybywają ludzie. Właśnie na środku rynku w Hasanabad siedzi rodzina pakistańska: pięć kobiet, paru mężczyzn, kilkanaście dzieci, trochę worków, pakunków i tłumoków. Szli prawie dwa tygodnie, aż doszli do tych wymarzonych Indii, gdzie nikt do nich nie strzela, gdzie nikt ich nie wygania, gdzie nie grozi śmierć. Jeszcze nie wiedzą, że tu, w Indiach jest mało żywności, że to wielu uchodźców, że nie ma gdzie mieszkać, a z Pakistanu przyszła tu wraz z nimi cicha śmierć — bez wystrzałów, bez krzyków, za to objawia-

jąca się gorączką i odwodnieniem organizmu: cholera. Nie wiedzą też, że tak się jakoś składa na świecie, iż uchodźcy nigdy nie wracają do domu. Prawie nigdy.

Z jednej z chałup przy rynku dobiega donośne, dźwięczne bicie w kotły, rytmiczne, bardzo głośne, uparte. Jest w nim coś niepokojącego, muszę przekonać się, co to takiego. Podchodzę bliżej i widzę przez szeroko otwarte drzwi straszną, czarną figurę o czerwonej twarzy, ozdobioną naszyjnikami z białych czaszek ludzkich. Jej cztery szponiaste zakrzywione ramiona wiją się jak węże nad bladoszarym trupem wyciągniętej u jej stóp ofiary. Przed posągami kapłan potrząsa dzwonkiem, naokoło miseczki z ofiarnymi owocami, dymią żarzące się kadzidła. Czerń, szkarłat, złoto. To bogini śmierci, Kali, żona Siwy, groźna Nemezis hinduska. Jej imię oznacza także w religii hinduistycznej ostatnią najgorszą epokę w dziejach ludzkich.

Rodzina pakistańska siedząca na rynku dotarła do celu swej wędrówki. Teraz nie wie, co robić dalej. Nikt tego nie wie.

Obóz uchodźców pod Basirkat — nie wybierany specjalnie, pierwszy lepszy z dziesiątków obozów mijanych po drodze. Ogromna kolejka po codzienny przydział żywności, stoi w niej parę tysięcy ludzi. Rozdział żywności jeszcze nie jest zorganizowany zbyt sprawnie, codziennie ktoś z rodziny musi stać przez wiele godzin. Na każdego człowieka przypada dziennie 200—400 gram ryżu, 100 gram jarzyn, czasem kartofle, szczypta soli, a także olej, na którym się to wszystko gotuje.

Władze przeznaczają na każdego uchodźcę półtorej rupii dziennie. W praktyce, ze względu na brak żywności

ności i ogromne trudności w transporcie, każdy otrzymuje pożywienia za nie więcej niż rupię, a dzieci połowę. Ale i tak, doliczywszy koszt transportu, pomocy lekarskiej, administracji, uchodźcy kosztują rząd Indii dziennie 15 milionów rupii, to znaczy dwa miliony dolarów. Jak obliczają w Delhi, jeżeli nadal będzie trwać napływ uchodźców, koszta osiągną w skali rocznej równowartość indyjskiego budżetu obronnego.

Ludzie w obozie w Basirkat stoją po żywność w milczeniu. Są spokojni, może apatyczni, tylko jeden człowiek pokazuje mi natarczywie kartkę, na której poświadczono przekroczenie granicy przez niego i rodzinę. Zaszła tam jakaś pomyłka, ale nie jestem uprawniony do robienia poprawek. Pozostali czekają cierpliwie.

Znowu zaczyna padać deszcz, po pierwszych kropkach przemienia się w gwałtowną, monsunową ulewę. Czekający wąż ludzki najeża się parasolami, niektórzy przykrywają się workami, większość nawet się nie poruszyła, bo i tak nie mają czym się przykryć. Deszcze monsunowe padają w czerwcu, lipcu, częściowo i w sierpniu. To straszne przekleństwo zamieniające obozy w bagno, zalewające naprędce wykopane latryny, rozprzestrzeniające zarazę. Lecz z drugiej strony, gdy deszcze przestaną padać, wyschną sadzawki i kałuże, pojawi się problem wody. Słońce będzie świecić tak samo, lecz ziemia zamieni się w popiół. Łatwiej będzie opanować cholere, ale w wielu obozach nie będzie po prostu co pić. Narazie szalały pograżają się w wodzie i błocie. Naokoło wszędzie udeptana glina koloru grafitu, tak udeptana, ugnieciona, wymieszana tysiącami stóp, że sprawia wrażenie gliny garncarskiej, z której za chwilę sprawna ręka uformuje amfory i dzbany. Z tej gliny jest ulepiiony los siedmiu milionów ludzi.

\*

W gmachu rządu stanowego Bengal, w Kalkucie, przyjmuje mnie wysoki, tryskający energią mężczyzna. Nazywa się Szri Dutta Chowdhury, jest pełnomocnikiem do spraw pomocy dla uchodźców. Emanuje z niego w naturalny sposób ogromna pewność siebie, przekonanie, że można podjąć wszelkim zadaniom. Ale owa pewność siebie chwilami opuszcza i jego.

Opowiada mi, że z całego kraju ściągnięto do pomocy 10 tysięcy ludzi z aparatu administracyjnego, ale trzeba ich będzie pięć razy tyle.

— Na szczęście — powiada śmiejąc się — my, w Indiach, nie możemy narzekać na brak ludzi.

Życie zostało niemal sparaliżowane. Trzeba było zamknąć wszystkie szkoły w najechanych przez uchodźców powiatach, a budynki przemienić w szpitale i punkty pomocy. W ciągu jednego tylko tygodnia w samym tylko rejonie miasteczka Boyra przekroczyło granicę pół miliona ludzi. Później fala nieco opadła, ale i dziś jeszcze przybywa do Bengal Zachodniego do sześćdziesięciu tysięcy dziennie. Łącznie na terenie stanu istnieje dziś 450 obozów, ale nie są one w stanie przyjąć wszystkich bezdomnych.

Najgorsze, że nie można niczego zaplanować. Jutro może napłynąć nowa fala i wszystkie obliczenia znowu zostaną obalone.

Z władzami indyjskimi współdziała wiele organizacji charytatywnych indyjskich i zagranicznych. Pomogły one uzupełnić najpilniejsze braki w lekarstwach. Lekarstw jest dość. Gorzej z żywnością. Tylko ZSRR przysłał trzy statki ze zbożem, poza tym nikt. Z innych krajów przyszło trochę mleka w proszku, ale była to kropla w morzu.

Uchodźcy dostają od władz żywność, ale nie dostają pieniędzy, chcą więc pracować. Ale w Bengal nie ma dla nich pracy, nie ma jej dość nawet dla stałych

mieszkańców. A z drugiej strony trudno trzymać miliony ludzi w obozach i nie dać im żadnego zajęcia. Może tak być przez miesiąc, dwa, może sześć, ale później to stanie się niebezpieczne.

Z wolna ów pewny siebie, energiczny mężczyzna, uświadomiwszy sobie, po raz zapewne setny, ogrom trudności i niebezpieczeństw, przestaje być sprawnym i dobrze poinformowanym urzędnikiem, staje się człowiekiem stroskanym i pełnym niepokoju. Pyta:

— Jak pan sądzi, jak długo to może trwać? Do czego dojdzie? I jakie jest wyjście?

Zapada milczenie, bo ja właśnie chciałem o to samo zapytać.

W wydanej przez Rząd Tymczasowy Bangla Desz ulotce czytam: „Śmierć grasuje w naszym Złotym Bengalu. Ale z udręki naszego ludu zrodził się nowy naród”.

Złoty Bengal. Monsunowe szaleństwo kwiatów i zieleni, zapach kwitnących drzew. Czarna bogini Kali pochyla się nad trupem. Graniczna rzeka szeroka i groźna z pakistańskimi żołnierzami po drugiej stronie, z wyładowanymi po brzegi łodziami przybijającymi nocą do indyjskiego brzegu. Udeptana glina w obozach. Zgięta w pół kobieta podtrzymywana przez dziecko. Mdlejący ze zmęczenia lekarze w szpitalach. Nieprzytomni pacjenci na łózkach.

Złoty Bengal. Bardzo daleko od nas, a zarazem blisko. To przecież również część naszego świata.

Warszawa, wrzesień 1971 r.



## SPIS TREŚCI

Dlaczego nie wstydę się zdziwienia . . . . .	7
<b>ZDZIWIENIE PIERWSZE: Mongolia, czyli jak zabudo-</b> <b>wać step . . . . .</b>	<b>19</b>
<b>ZDZIWIENIE DRUGIE: Pekin, czyli wszyscy maszerują .</b>	<b>65</b>
Rozdział I Tu opowiada się ogólnie o mieście oraz o pracach w nim prowadzonych . . . . .	67
Rozdział II Tu mówi się o życiu codziennym mieszkańców Pekinu . . . . .	71
Rozdział III W którym próbuje się rozważyć, co to właściwie było . . . . .	81
Rozdział IV Tutaj mówi się o kulturze i sztuce oraz o oświacie, czyli o tym, co zostało wywró- cone do góry nogami . . . . .	98
<b>ZDZIWIENIE TRZECIE: Wietnam, czyli współczesna</b>	
Sparta . . . . .	106
Dzień pierwszy . . . . .	106
Dzień drugi . . . . .	114
Dzień trzeci . . . . .	125
Dzień czwarty . . . . .	132
Dzień piąty . . . . .	146
Dzień szósty . . . . .	156
Dzień siódmy . . . . .	160
<b>ZDZIWIENIE CZWARTE: Japonia, czyli wizyta w Kom-</b> <b>putopii . . . . .</b>	<b>169</b>
<b>ZDUMIENIE I GROZA: Złoty Bengal — śmierć w pro-</b> <b>mieniach słońca . . . . .</b>	<b>249</b>